
3 1761 04464 1645

STEFAN BATORY

TEGOŻ AUTORA:

MICKIEWICZ JAKO POLITYK. — Kraków, 1908 (wyczerpane).

JOACHIM LELEWEL.—Zarys biograficzny. 1786–1831. Warsz., 191

MAURYCY MOCHNACKI.–Żywot i dzieła. Wyd. II. Warszawa, 192

KONSTYTUCJA TRZECIEGO MAJA. – Wydanie III. Warszawa, 192

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE. — Wydanie II. Warszawa, 192

POWSTANIE LISTOPADOWE. — Wydanie V. Warszawa, 1920.

POWSTANIE STYCZNIOWE. — Wydanie II. Warszawa, 1921.

HETMAN ŻÓŁKIEWSKI. — Warszawa, 1920.

POLSKA NIEPODLEGŁA. — Opowiadania z dziejów Polski. Warszawa, 191

W opracowaniu i z przedmową tegoż autora:

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO: PISMA,

po raz pierwszy edycją książkową objęte.

Lwów, 1910 (wyczerpane).



STEFAN BATORY,
według portretu w Kronice M. Kromera
z r. 1589.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

STEFAN BATORY



1922

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE.
NOWY-ŚWIAT 41.

WSTĘP.

Dnia 7 lipca 1572 r. zmarł w Knyszynie Zygmunt August, ostatni król polski z dynastji Jagiellonów.

Prawa polskie nie przewidywały zwierzchniej władzy w czasie bezkrólewia. Więc wraz ze zgonem króla zatrzymała się raptownie machina rządowa i cały ustrój państwowy zachwiał się w swoich podstawach. Wytworzyła się próżnia, mogąca wywołać niesłychany wewnątrz kraju zamęt. Położenie Rzeczypospolitej było tem poważniejsze, że uwaga całej Europy skupiła się na tronie polskim, który po śmierci ostatniego Jagiellona nęcił rywalizujących ze sobą monarchów.

W owym czasie głośno rozbrzmiewało imię Polski po szerokim świecie.

Wszystkie mocarstwa liczyły się z państwem, co zmiażdżyło potęgę krzyżacką, słynęło z bogactw, swobód, tolerancji, rozszerzało dzięki mądrej polityce swe wpływy i w stosunkach międzynarodowych odgrywało coraz donioślejszą rolę. Blask potęgi i sławy bił od korony Jagiellonów. Ale właśnie ta sława, to znaczenie Polski, łączącej zachód ze wschodem, czyniło z niej zdobycz niezwykle ponętną. Łatwo było przewidzieć, że nęcąca korona, pozbawiona dziedzica, sta-

nie się przedmiotem obcej pożądliwości, że w granice Rzeczypospolitej rozlewnemi falami wtargną zewsząd intrygi, knowania, matactwa, że z przesilenia wewnętrznego zapragną skorzystać obce moce, by na chwilowym bezwładzie ugruntować swe wpływy i kusić się o zdobycie korony.

Ale instynkt samozachowawczy pobudził naród do czynu, w jednej chwili zorganizował zbiorową wolę i uzbroił Rzeczpospolitą przeciw zamachom wrogich jej potęg. Dla dyplomacji europejskiej stało się jasnem, że na tronie polskim nie zasiądzie przemoc, że ktoby chciał w Polsce panować, ten musi przedtem pozyskać jej opinję, zdobyć jej zaufanie i względy. Śród rządzonych absolutnie państw europejskich, Rzeczpospolita, pomniejszając prawa i przywileje swych królów, od wielu lat przeciwstawiała się despotyzmowi monarchów.

Było to w Europie ówczesnej niezwykłe zjawisko.

Bezkrólewie przypadło na epokę wzrostu dążeń monarchicznych, na epokę, którą owiewał morderczy despotyzm Filipa II, a przesycało okrucieństwo wojen religijnych. W płomieniach stosów wielkiej inkwizycji, w lochach więzień, śród straszliwych tortur, na niezliczonych polach bitew walczyły i ginęły setki i tysiące bojowników o ustrój kościoła i prawdy religijne. Burza zniszczenia i śmierci szalała na zachodzie. Niemal wszędzie wznosiły się pale i szafoty, niemal wszędzie sterczały szubienice, a żałobny jęk dzwonów rozlegał się nieustannie w przestworzach. Ustalał się nowy porządek świata. Z oparów krwi, z mogił pomordowanych ofiar, z odmętu straszliwych prześladowań wyłaniał się drapieżny absolutyzm i triumfowało pojęcie silnej władzy monarchicznej.

W Polsce walka religijna toczyła się żywo, namiętnie, wytworzyła, jak w innych krajach, wielki ruch umysłowy, lecz nie doprowadziła do krwawych zawichrzeń, jakich widownią był stojący w płomieniach walk religijnych zachód Europy. „Nowinki" miały w Rzeczypospolitej potężnych wyznawców. Sam Zygmunt August przeżywał chwile walk wewnętrznych, chwile wahania się w swej wierności dla kościoła katolickiego, a wielu magnatów, porwanych prądem reformacji, osłaniało ją swą możną opieką i skutecznie broniło swobody sumienia. Nowowiercy w Polsce stanowili mniejszość, ale ta mniejszość miała ogromne wpływy i znaczenie, miała poczucie swej mocy. W tolerancyjnej Rzeczypospolitej tylko król tolerancyjny mógł się utrzymać na tronie. To też tolerancja polska wywoływała w świecie katolickim obawy, budziła czujność Rzymu i oddanych Rzymowi monarchów. W takim stanie rzeczy można było się lękać, że w okresie bezkrólewia rozpali się pożar waśni religijnej i, powiększając istniejący zamęt, osłabi siłę wewnętrzną narodu.

Do tych niebezpieczeństw przybywał jeszcze coraz widoczniejszy antagonizm pomiędzy możnowładcami a demokracją szlachecką, która, wzbijając się coraz wyżej na lotnych skrzydłach złotej wolności, dążyła do utrwalenia swej przewagi, zmierzała ku szczytom władzy i we własne ręce pragnęła pochwycić wodze wszystkich spraw państwa. Nie był ustalony pogląd, kto miał prawo wybierać nowego króla, więc w czasie bezkrólewia i w tej ważnej sprawie musiała zapaść stanowcza decyzja.

Przy tylu doniosłych zagadnieniach wewnętrznych a wobec zamętu, jaki w pierwszej chwili wytworzyła

śmierć króla, wielką baczność należało jeszcze zwrócić na zachowanie się dwu wielkich mocarstw, których zaczepna postawa kazała się lękać o byt i całość Rzeczypospolitej. We wschodnie ściany posiadłości polskich bił taran zaborczości moskiewskiej. Z drugiej strony zagrażały Polsce wynaradawiające wpływy polityki niemieckiej, które ogarnęły już Czechy i Węgry, a stawały teraz u bram Rzeczypospolitej: dom habsburski śmiało wyciągał ręce po koronę polską. Położenie było tem groźniejsze, że cesarz i car podawali sobie dłonie na zgubę i szkodę sąsiada. Obaj władcy zresztą byli gotowi zarówno oszukać się wzajemnie, jak połączyć swe siły, byle z przesilenia, które przeżywała Rzeczpospolita, wyciągnąć największe dla siebie korzyści. Car pragnął rozerwać wiekopomne dzieło Zygmunta Augusta i, po zniszczeniu unji lubelskiej, zagarnąć pod swe berło Inflanty i Litwę. Cesarz poprzestawał na uzyskaniu dla swego domu korony polskiej, choćby tę koronę miał pozbawić dotychczasowej świetności, a ziemiami Rzeczypospolitej podzielić się z carem.

A obok cesarza i cara inni monarchowie również interesowali się żywo tronem polskim i ważną sprawą, kto ten tron zdobędzie. Dla stosunków międzynarodowych polityka Rzeczypospolitej olbrzymie posiadała znaczenie. A kierunek tej polityki tym razem łączył się ściśle z wyborem i osobą nowego króla. Dla przeciwstawiającej się dążeniom Habsburgów Francji, dla walczącej z cesarzem Turcji, dla Rzymu, dla Anglji, Szwecji i Danji oczekiwana w Polsce elekcja była wydarzeniem, które mogło zmienić układ i wzajemny stosunek sił, kierujących losami Europy.

Wszystkie dwory zagraniczne z najwyższą uwagą śledziły wyniki gry dyplomatycznej i rozwój wypadków, rozgrywających się w Polsce.

Rzeczpospolita, zarówno ze względu na swój stan wewnętrzny, jak położenie zewnętrzne, stawała w obliczu wielkiego zadania, zbliżała się do mety, za którą czekał ją dalszy świetny rozwój lub początek upadku. Załamywała się przyszłość państwa, jego losy jakby ulegały zawieszeniu na szalach niewiadomej przyszłości. W takiej to przełomowej dla narodu chwili, po przelotnem panowaniu Henryka Walezego, którego nikły cień roztopił się w pomroczu stuleci, na widowni dziejów Polski i dziejów Europy, wspaniale zarysować się miała postać króla Stefana.

Cztery lata niespełna oddzielają śmierć Zygmunta Augusta od wstąpienia na tron Batorego. Ale były to lata niezwykle doniosłych wypadków i przeobrażeń, lata, które wstrząsnęły równowagą Rzeczypospolitej i zmieniły jej postać. Kiedy król Stefan obejmował rządy, rozkładała się siła moralna narodu, a rozkołatane ściany Rzeczypospolitej drżały od podstaw do szczytu.

Batory, jak kolumna z granitu nie tylko powstrzymał dalsze rozpadanie się gmachu państwowego, ale swą energją, pracą i wytrwałem męstwem otoczył Polskę nową świetnością i blaskiem.

Dlatego wydarzenia tego okresu ściśle się wiążą z działalnością wielkiego króla.

I.

DWIE ELEKCJE.

Żałobna wieść o zgonie Zygmunta Augusta lotem błyskawicy rozniosła się po całej Rzeczypospolitej, a wszędzie wywołała żywy niepokój i trwogę. Pomimo że katastrofę przewidywano, naród nie był przygotowany do rządów w czasie bezkrólewia. Śmierć ostatniego Jagiellona rozluźniła więzy, spajające Litwę i Koronę, zahamowała działalność sądów, wyrokujących w imieniu królewskiem, wstrzymała naturalny bieg wszystkich spraw bieżących, które bez udziału króla nie mogły być decydowane. Dla samowoli, dla gwałtów i nadużyć szerokie otwierało się pole. A w wolnej Polsce zbyt rozciągle pojmowano wolność, aby nie należało lękać się przekroczenia jej właściwych granic. Na szczęście była to doba rozkwitu Rzeczypospolitej, doba jej chwały i sławy. Poczucie odpowiedzialności za byt i losy państwa przenikało jeszcze dostojników, panowało w sercach i umysłach szlachty. Troska o przyszłość kraju wzięła górę nad egoizmem i prywatą jednostek.

Zjazdy w Krakowie i w Łowiczu, a następnie w innych miejscowościach szeregiem uchwał, zabezpiecza-

jących ład wewnętrzny i obronę granic, składały dowód, że tak rycerstwo, jak senatorowie świadomi są niebezpieczeństw i powagi chwili.

Na zjeździe krakowskim ubezpieczono zamek królewski, postanowiono siłą zbrojną ścigać każdego, ktoby cudze dobra zajechał i z całą bezwzględnością wystąpić przeciw warchołom, coby ośmielili się czynić swywolę lub gwałtami spokój publiczny zakłócić. W obawie przed intrygami dworów zagranicznych wydano rozporządzenia, dotyczące pobytu cudzoziemców w kraju, a ustanawiające surowy dozór nad każdym, ktoby przybywał z zagranicy lub za granicę wyjeżdżał. Postanowiono również wzmocnić załogi w twierdzach na pograniczu Węgier, obsadzić wojskiem przejścia w Karpatach i baczyć pilnie, by żołnierze cesarscy nie wdarli się w złych zamiarach do kraju.

Podobne uchwały zapadły w Łowiczu i na innych zjazdach późniejszych.

Ale żaden zjazd nie mógł rozstrzygnąć kwestji, kto w czasie bezkrólewia sprawować ma władzę naczelną, reprezentować nie jedną dzielnicę, lecz całą Rzeczpospolitą.

Rościł sobie do tego prawo z racji piastowanego urzędu marszałek wielki koronny i wojewoda krakowski, Jan Firlej z Dąbrowicy, mąż twardy, surowy, charakter nieugięty, głowa jasna, otwarta. Zamknięty w sobie, małomówny, ale pełen energji i zmysłu praktycznego, był duszą zjazdu krakowskiego, inicjatorem postanowień, które na zjeździe tym zapadły, a których przezorna dzielność, roztropność i patrjotyzm dla innych zjazdów stały się przykładem.

Lecz Firlej wyznawał kalwinizm, był głową nowowierców, którzy na zjeździe krakowskim stanowili

większość. Zaniepokoiła się Wielkopolska, najmniej podatna wpływom reformacji. Poruszyło się duchowieństwo katolickie, pragnące w prymasie widzieć pierwszego po królu dygnitarza i głowę państwa w czasie bezkrólewia. Nie było praw, któreby władzę taką dawały prymasowi, ale pod jego skrzydła garnęli się katolicy, jego ich opinja powoływała na stanowisko najwyższego sternika i zastępcy króla, w jego siedzibie, w Łowiczu zebrało się po raz pierwszy stronnictwo katolickie.

Godność prymasa piastował podówczas Jakób Uchański, arcybiskup gnieźnieński. Prymas nie odznaczał się siłą charakteru. W młodości przyjaźnił się z nowowiercami, na posiedzeniach synodów wypowiadał się za małżeństwem księży, a przez długi czas był nawet podejrzewany o chęć utworzenia w Polsce kościoła narodowego. Wyniesiony przez Zygmunta Augusta na godność prymasa, miał poczucie swego dostojeństwa, ale nie posiadał woli stanowczej a twórczej, mogącej oddziałać na bieg spraw państwowych. Chwiejny, trwożliwy, spętany lękiem wobec każdej ważniejszej decyzji, obawiał się zarówno wrogów, jak przyjaciół, a nazewnątrz występował najczęściej, jako ofiara ludzi i okoliczności, dźwigająca z pokorą ciężkie brzemię swych obowiązków. Rozumiejący wszystko, ale własnego zdania pozbawiony, przyoblekał swą chwiejność w pancerz uporu, który miał pozory stali, ale pękał, jak siatka z pajęczyny, gdy zetknął się z ostrzem szczerego przekonania, z siłą śmiałej a zdecydowanej woli. W takich wypadkach Uchański zawracał z drogi, zajmował nowe stanowisko i z równym uporem bronił przeciwnego zdania. Nie był to wódz, nie była to głowa, mogąca sprostać wielkiemu zadaniu.

Nie on też był duszą swego stronnictwa. Za prymasem stał biskup kujawski, Stanisław Karnkowski, człowiek mądry, śmiały, stanowczy. On to kierował stronnictwem katolickiem, prowadził pewną ręką prymasa i bronił jego dostojeństwa.

W ten sposób zaraz po śmierci króla wystąpili przeciw sobie dwaj pierwsi w Rzeczypospolitej dygnitarze.

Ale istota sporu tkwiła nie w urzędach: to katolicyzm wypowiadał walkę nowowierstwu, to Wielkopolanie stawali do boju z owianą duchem herezji Małopolską. Oba stronnictwa, strzegąc ładu wewnętrznego w kraju, usiłowały pochwycić w swe ręce władzę kierowniczą na czas bezkrólewia i, stosownie do swych widoków, zdecydować o sposobie, miejscu i terminie elekcji oraz o osobie nowego króla.

Rozpoczęła się walka żywa, gorąca, namiętna. Oba obozy na różnych zjazdach krytykowały wzajemnie swe postanowienia, ciskały w siebie zarzutami uzurpacji, samowoli, bezprawia, dążyły do tego, by z własnej inicjatywy zwołać zjazd powszechny i na nim zdecydować wszystkie sprawy, związane z elekcją.

Wszechwładny w Małopolsce Firlej był groźnym przeciwnikiem prymasa. Ale Firlej we własnym obozie miał nieprzyjaciół w osobach braci Zborowskich, ludziach możnych, śmiałych, niebezpiecznych. Zborowscy, acz należeli do filarów stronnictwa nowowierczego, z największą zawiścią spoglądali na znaczenie i rosnącą powagę Firleja. Bogaci, spokrewnieni z najmożniejszemi rodzinami w Koronie i na Litwie, mający na swem utrzymaniu zbrojne hufce i ogromny tłum karmionej przez nich szlachty, stanowili potęgę, z którą każdy rachować się musiał. Piotr Zborowski

był wojewodą sandomierskim, a po zagadkowej śmierci Firleja, która wkrótce nastąpiła, został wojewodą krakowskim. Jan doszedł do godności kasztelana gnieźnieńskiego i dowództwa nad wojskiem nadwornem królewskiem, Andrzej piastował godność miecznika, a następnie marszałka nadwornego koronnego, Krzysztof został podczaszym koronnym, a Samuel w zawodzie wojskowym dobijał się zaszczytów i sławy. Różni usposobieniem i charakterami, bracia wspierali się wzajem, trzęśli sejmikami, dążyli do zagarnięcia najwyższych stanowisk i pierwszych w Rzeczypospolitej dygnitarstw. Pewni siebie, odważni, pełni przedsiębiorczości, niespokojni, skłonni do wszelkich intryg a nadewszystko chełpliwi i próżni, gotowi byli porwać się na każde ryzykowne przedsięwzięcie, a nawet na szaleństwo, byle błysnąć, byle zyskać poklask i sławę, byle wznieść się wyżej i nowym blaskiem otoczyć swe imię. Poważny, surowy Firlej, nie ubiegający się o popularność, ale własną wartością wyrastający ponad głowy Zborowskich, był solą w oku braci, był osobistością, której zazdrościli wpływów i jako tamę, hamującą ich niepomierne ambicje, pragnęli usunąć ze swej drogi. Zaraz po śmierci króla Zborowscy powzięli plan, by wtargnąć zbrojno do Krakowa, wyrwać zamek królewski z twardych rąk Firleja, opanować stolicę i stać się na czas bezkrólewia panami położenia. Ale legat papieski, kardynał Commendoni, któremu donieśli o tych zamiarach, powstrzymał ich od nieobliczalnego w swych skutkach szaleństwa. W Małopolsce Firlej pozostał panem wszechwładnym. Nie mogąc się z tem pogodzić, Zborowscy zdradzili interes swego stronnictwa i acz nowowiercy, przeszli do obozu Uchańskiego. Manewr ten przechylił szale wpływów

i przyczynił się wielce do zwycięstwa prymasa nad marszałkiem koronnym.

Ostatecznie po zjeździe dostojników w Kaskach arcybiskup Uchański wezwał senatorów i posłów ziemskich do Warszawy na sejm konwokacyjny, pierwszy tego rodzaju sejm w Rzeczypospolitej. Sejm miał się zacząć 6 stycznia 1573 r., a zadaniem sejmujących było ustanowienie porządku, terminu i miejsca elekcji.

Zygmunt August nie pozostawił po sobie męskiego potomka, ani nawet dalszego po mieczu krewniaka, a siostrze swej, doletniej królewnie Annie, nie zabezpieczył dziedzictwa tronu. Zmarły król przewidywał niebezpieczeństwa, w jakich po jego śmierci może się znaleźć Rzeczpospolita. To też niejednokrotnie myślał o swoim następcy i o ustanowieniu praw, któreby po jego śmierci obowiązywały przy wyborze nowego króla. Na sejmie r. 1558 posłowie ziemscy przedstawili projekt, mający uregulować tę sprawę, ale senatorowie projekt odrzucili, a sami nie opracowali innego. Rzecz poszła w odwłokę. Mądry Zygmunt August niejednokrotnie powracał do tej ważnej sprawy, nie okazał jednak dość energji i siły, aby uskutecznić swe zamierzenia.

Więc dopiero w zamęcie bezkrólewia, śród walk i sporów, śród podnieconych namiętności miała się urodzić ta niezwykle doniosła dla przyszłości narodu uchwała. Postanowienia pierwszego sejmu konwokacyjnego na całe stulecia mogły zabezpieczyć Rzeczpospolitą przed niebezpieczeństwami ciężkich przesileń, lub też po śmierci każdego króla wystawiać ją na straszne wstrząśnienia wewnętrzne, na łup cudzoziemskiej intrygi, na pastwę rodzimych ambicyj i gry dyplomatycznej przebiegłych sąsiadów.

Zwołanie sejmu konwokacyjnego wywołało wielkie ożywienie w obu dzielnicach Polski. Natomiast Litwini wznowili spór o przynależność Kijowszczyzny, Wołynia i Podlasia i oświadczyli delegatom prymasa, że nie wezmą w konwokacji udziału. Jeszcze większą niechęć okazały Prusy. Za to sejmiki w Małopolsce, w Wielkopolsce i na Rusi, przejęte sprawą konwokacji, obradowały żywo i namiętnie. Odznaczyły się szczególniej sejmiki ruskie, gdzie przewodził młody, bo dopiero trzydzieści lat liczący starosta bełski, Jan Zamoyski. Na jego wniosek już w lipcu 1572 roku na sejmiku bełskim zapadła uchwała, aby w czasie bezkrólewia, jako w okresie wielce dla państwa niebezpiecznym, za wszelki kryminał podwójną karę wymierzano przestępcom. Całą szlachtę wzywał sejmik, by jak jeden mąż porwała się przeciw każdemu, jako przeciw zdrajcy, ktoby wchodził w konszachty z cudzoziemcami, otrzymywał od nich środki i pieniądze, lub chciał przeciw woli współobywateli dokonać wyboru króla. Obecnie Zamoyski całym swym wpływem przeciwstawiał się dążeniom tych senatorów, co w elekcji pragnęli ograniczyć udział i wpływ masy szlacheckiej.

Burzliwie zapowiadała się pierwsza konwokacja.

Obok sprawy dysydentów głównym przedmiotem, wywołującym spór, były prawa do udziału w obiorze króla. Senatorowie chcieli wykluczyć od tego udziału masę szlachecką, byli zwolennikami wyboru króla systemem reprezentacyjnym, to jest, za pośrednictwem sejmu (w zwykłym, w zmniejszonym lub w powiększonym składzie), szlachta zaś wypowiadała się za elekcją *viritim*, to jest za elekcją, dającą możność każdemu szlachcicowi oddania głosu na swego kandydata.

Zygmunt I, przeprowadzając za swego życia wybór Zygmunta Augusta, uczynił szlachcie ustępstwo na rzecz następnej elekcji, wydając dwa statuty (r. 1530 i 1538), które wkładały na senat obowiązek uprzedzenia kraju o terminie elekcji, aby na nią jechał każdy, ktoby chciał. Miała to być elekcja wolna, dokonana za zgodą wszystkich, co na sejm przybędą.

Takiej wolnej elekcji domagała się szlachta, a jako jej rzecznik na sejmie konwokacyjnym wystąpił głośny już w województwach ruskich Jan Zamoyski, starosta bełski.

Była to osobistość potężna, wkraczająca dopiero na szeroką widownię życia publicznego, ale bijąca w oczy, jak wschodzące słońce. Trybun masy szlacheckiej, obrońca jej praw i swobód, wykształcony gruntownie we Francji i Włoszech, wyniesiony za młodu na godność rektora słynnej akademji w Padwie, autor dzieła O senacie rzymskim, pisanego wyborną łaciną, a głośnego zagranicą, doskonały znawca prawa, ulubiony sekretarz Zygmunta Augusta, później kanclerz i hetman wielki koronny, prawa ręka króla Batorego, człowiek wielkiej wiedzy i w wielkim stylu działacz, wielki statysta, wielki wódz, wielki mówca, był fenomenem, który na wszystkich polach swej działalności wycisnął niezagładzone piętno genjuszu.

Niezrównany doktryner i teoretyk, posiadał także niezrównaną zręczność życiową, która każdą jego teorję pozwalała mu wcielać w życie, a z życia snuć wszelkie doktryny i wszelkie teorje. Wiedział zawsze, czego chce i w całej swej działalności miał zawsze przed oczyma cel, do którego szedł krokiem zdobywcy. Zdanie swe, gdy przestało być środkiem, wiodącym do celu, gotów był zmienić, gotów był na-

wet publicznie je odwołać i z jednego krańca przerzucić się w drugi. Ale posiadając umysł obrotny, giętki i nad podziw zręczny, umiał każdy swój odwrót uczynić zwycięstwem. Wymową swą rzucał czar na słuchaczów, hypnotyzował szlachtę, wodził ją na pasku, stosownie do swych widoków, a kazał wierzyć w siebie, jak w wyrocznię. Był w rozprawach i wszelkich deliberacjach niezrównanym djalektykiem, był zarazem niezrównanym mówcą dla szerokich tłumów. Mówił płomiennie a uczenie, zapał i wspaniały gest trybuna godził z argumentacją rzeczową, ścisłą i oryginalną, jędrność, dobitność i jasność słowa urozmaicał niespodziewanym a jak błyskawica olśniewającym efektem. Przenikliwy i czujny, nawskroś przezierał ludzi, a w duszy szlachty czytał, jak w otwartej księdze. Rzecznik mas szlacheckich, uczony wielbiciel republiki rzymskiej, wzorami rzymskiemi przejęty, był demokratą, ale demokratą w każdym calu szlacheckim. Chełpił się bezapelacyjną władzą szlachty nad chłopami, żywił pogardę dla plebsu, ale jako ideolog równości szlacheckiej, był przeciwnikiem wywyższania się magnatów, był wrogiem senatu. Przepadała za nim najpierw brać szlachecka województwa bełskiego, później wszystkich województw ruskich, w końcu całej Rzeczypospolitej. Stał się ulubieńcem szlachty i wodzem.

Jakoż na wodza był stworzony.

Ożywiony szczerym patrjotyzmem, uczciwy w zamiarach, niedościgły w pracy, niezwykle wszechstronny, bystry, decydujący się szybko, dbał o dostojeństwo Rzeczypospolitej, pragnął ją widzieć kwitnącą, szczęśliwą i potężną. Był dzieckiem swego wieku, był szlachcicem polskim swej epoki, ale wolność i równość

szlachecka, podniesiona do ideału, nie zagasiła w nim poczucia karności wobec ideału i majestatu ojczyzny. Sam nie był wobec tej karności bez grzechu, lecz osiągnąwszy władzę i najwyższe zaszczyty, starał się tę karność tak na urzędach, jak w wojsku utrzymywać ręką z żelaza. Miał wolę z granitu, miał w sobie srogość i wspaniałość. Miał czarującą przystępność dobrodusznego szlachcica i pazury lwa. Miał surowość rzymską i jasną wesołość Polaka. Górował nad współczesnymi tajemnicą genjuszu, tajemnicą mocy rozkazodawczej, co promieniowała w jego słowach i czynach, wyciskała na nim znamię wyższości i samą przez się ujarzmiała ludzi.

Był wodzem urodzonym.

Taki to człowiek wystąpił przeciw dążeniom senatorów i zabrał głos w obronie elekcji *viritim*.

Pierwotnie i Zamoyski przechylał się do systemu reprezentacyjnego, ale później przejął się poglądem, że senatorowie sami wybrać chcą króla i, zgodnie z opinją masy szlacheckiej, „królowi senatorskiemu" przeciwstawiał „króla szlacheckiego", to jest króla, wybranego przez szlachtę. A do zmiany tego stanowiska przyczyniły się ogromnie intrygi senatorów, co wchodzili w konszachty z cesarzem i, zgodnie z widokami Rzymu, oddawali się na usługi dynastji habsburskiej. Zamoyski, jak ogół szlachty, być zawziętym przeciwnikiem domu rakuskiego.

Zawziętość ta miała swe głębsze przyczyny.

W walce dwóch dynastyj: Jagiellonów i Habsburgów, ci ostatni, skutkiem niezdecydowanej polityki Zygmunta I, stanowcze odnieśli zwycięstwo. Habsburgowie, dzięki chytrej polityce i zręcznie zawieranym związkom małżeńskim, panowali w Austrji, panowali

w Hiszpanji, Niderlandach, we Włoszech, wyparli Jagiellonów z Węgier i Czech i oba te kraje również pod berło swe zagarnęli. Doszedłszy do niesłychanej potęgi, nie ustawali w dążeniu do zdobycia nowych tronów i hegemonji w Europie. Szermując hasłami katolicyzmu, reprezentowali dążności monarchiczne, a na ziemiach, przylegających do krajów niemieckich, prowadzili politykę wynaradawiającą, politykę przewagi germańskiej nad ludnością rdzenną. Masa szlachecka, obawiając się wpływów niemieckich, a lękając się zamachu na swe przywileje, prawa i swobody, wrogo była usposobiona względem przebiegłej dynastji. Tymczasem cesarz porozumiewał się z carem, gotów był dzielić się Rzeczpospolitą, a jednocześnie agenci cesarscy uwijali się po kraju, sypali złotem i, kaptując sobie między panami stronników, urabiali opinję na rzecz syna cesarza, arcyksięcia Ernesta. A za domem rakuskim, wspieranym przez papieża, stało wyższe duchowieństwo polskie, stała olbrzymia większość senatu.

Elekcja przez reprezentację zawsze dawała, jeśli nie przewagę, to wielkie wpływy senatorom, elekcja *viritim* ustalała przewagę tłumu szlacheckiego.

Otóż Zamoyski, jako zdecydowany przeciwnik kandydatury habsburskiej, miał jeszcze jeden powód więcej, by zwalczać system reprezentacyjny. Zgłębiając archiwa królewskie, poznał on zapomniane statuty Zygmunta I i przypomniał je obecnie. Powołał się na przeszłość, dla której w Polsce zawsze miano szacunek, powołał się na prawo, które często było w Polsce łamane, którem nieraz osłaniano bezprawia, ale przeciw któremu nie ośmielano się podnosić jawnego głosu protestu. A prócz wywodów prawnych inny jeszcze znalazł argument. Oto twierdził, że skoro każdy

szlachcic broń dźwiga i w razie potrzeby broni ojczyzny, przeto każdemu służy równe prawo, każdy powinien mieć możność oddania swego głosu przy obiorze króla. Nie był to argument zbyt mocny, bo z tą samą słusznością można było żądać, by każdy szlachcic na każdym walnym sejmie miał równe prawo głosu. Ale tłum szlachecki gorąco podchwycił to hasło, a temu tłumowi schlebiali „starsi bracia", zabiegali o jego łaski, więc nie śmieli protestować.

W ten sposób zwyciężyła zasada, której bronił Zamoyski. Nie on tę zasadę stworzył, nie on pierwszy stał się jej głosicielem. Już przed nim niektórzy magnaci, mający na swych usługach szlachtę, myśleli o użyciu jej przy elekcji dla swych widoków. Ale ze strony samych tłumów szlacheckich Zamoyski wysunął się na plan pierwszy, on tę zasadę wyłuskał z praw dawnych, on za te tłumy myślał i mówił, on reprezentował ich wolę.

Zwyciężyło hasło, aby na elekcję „jechał, ktoby chciał".

Tak w życiu Rzeczypospolitej dokonał się wielki przewrót, co na widownię dziejową wprowadził masy szlacheckie, dał im w ręce panowanie, dał im możność stawiania warunków obieranym królom, możność zbiorowego rozstrzygania najważniejszych spraw państwa. Wolna elekcja, równając w prawach najbiedniejszego szlachcica z najmożniejszym magnatem, uważana była odtąd za źrenicę wolności, za rękojmię i podstawę swobód szlacheckich. Dopiero po trzystu latach srogich doświadczeń i okropnych skutków podstawa ta runęła, podważona pracą twórców Konstytucji 3 maja.

Sejm konwokacyjny rozstrzygnął jeszcze ważny spór o władzę prymasa i ostatecznie przyznał mu na czas

bezkrólewia pierwszeństwo, dał mu w tym czasie prawo zwoływania sejmów oraz nominowania króla po oddaniu wotów, a marszałkowi wielkiemu koronnemu przyznał prawo obwołania króla na polu elekcyjnem. Zapewniony został ponadto wymiar sprawiedliwości, powzięte uchwały w celu utrzymania ładu i karności społecznej. Wreszcie pomimo protestów Uchańskiego i duchowieństwa, pomiędzy postanowieniami sejmu konwokacyjnego znalazła się uchwała, którą zebrani za siebie i za potomnych uroczyście przyrzekali sobie zachować pokój religijny, „a dla różnej wiary i odmiany w kościele — krwi nie przelewać".

Elekcja wyznaczona została na dzień 6 kwietnia (1573 r.) na polach wsi Kamienia pod Warszawą.

Na wiele dni przed oznaczonym terminem wszystkiemi traktami, wiodącemi do Warszawy, płynęły gwarne i huczne fale zbrojnej szlachty, jadącej sobie obierać nowego króla. Magnaci wiedli ze sobą uzbrojone poczty, prowadzili przepyszne orszaki sług dworskich i licznej czeladzi. Zajęto w Warszawie wszystkie gospody, stłoczono się po wsiach okolicznych, ale zjazd był tak olbrzymi, że większość zmuszona była pod gołem niebem obozować.

Miejscem zbornem były rozległe pola wsi Kamień na prawym brzegu Wisły.

Wielkie, bo o trzymilowym obwodzie obozowisko utworzyło się na rozległych polach.

Każdy z wojewodów wystawił dla szlachty swojego województwa obszerny namiot, w którym miały odbywać się narady, a po środku pola marszałek wielki koronny Firlej zbudował dla senatorów namiot osobny, wspanialszy i piękniejszy nad inne, a tak obszerny,

że kilka tysięcy ludzi mógł pomieścić w swem wnętrzu. Ów namiot, **szopą** przez szlachtę przezwany, był zarazem miejscem audjencji dla posłów zagranicznych, których wysłały dwory europejskie, by zalecali kandydatów do korony polskiej.

Rojno i gwarno było na polu elekcyjnem, ale wszędzie panował wzorowy porządek. Szlachta, skłonna do zwad i bójek, nie rwała się do szabel, bo za zadanie rany gardłem karać miano.

Elekcja rozpoczęła się od wysłuchania posłów zagranicznych, których wprowadzano kolejno do szopy, by w obliczu senatu i deputatów szlacheckich od województw, mogli wyrazić życzenia swych dworów.

Najpierw wprowadzony został z wielkiemi honorami legat papieski, kardynał Commendoni.

Wypowiedziawszy kilka pochwał dla narodu, który przez cały czas bezkrólewia umiał zachować spokój i zapewnić bezpieczeństwo rozległego państwa, Commendoni, nie zalecając żadnego kandydata, wzywał tylko Polaków do zgody i prosił, by wybrali króla, któryby Bogu był miły, a więc w zasadach religji katolickiej wychowany. Gdy jednak mówca krytykować zaczął uchwałę ostatniego sejmu w sprawie pokoju religijnego, pomruk wszczął się między dysydentami. Marszałek Firlej zwrócił legatowi uwagę, że jako cudzoziemiec nie powinien się wtrącać do wewnętrznych spraw polskich, a Jan Zborowski krzyknął, by mówca nie zapominał, że nie jest radcą, lecz posłem. Wszczął się rozruch. Podnieśli się senatorowie katoliccy, a kilku krewkich dostojników, groźnie patrząc na Zborowskiego, zaczęło już trzaskać szablami. Uspokojono przecież zapalczywość przeciwników i Commendoni spokojnie ukończył swą mowę.

Zkolei przyjęci zostali posłowie cesarscy: Wilhelm Rosemberg i Pernstein, obaj Czesi. Pierwszy z nich, znakomity magnat, spokrewniony z domami panujących, a nawet z Jagiellonami, do tego stopnia ujął zgromadzenie swym wdziękiem, roztropnością, wymową, że wzbudził wielką sympatję, a nawet znalazł takich wielbicieli, co nie cesarza, lecz jego posła na tronie polskim zapragnęli widzieć. Rosemberg przemówił w języku czeskim, a jako kandydata do korony polskiej wysunął syna cesarskiego, arcyksięcia Ernesta. Podniósłszy zalety arcyksięcia, twierdził, że ten monarcha mógłby Czechy połączyć w jedno państwo z Polską, boć oba narody są jako dwaj bracia, a wspólne mają interesy. Ale nie były to obietnice szczere. Poseł cesarski w poufnych rozmowach przestrzegał podobno Polaków, by mieli się na baczności i nie ufali obietnicom Habsburgów.

Nazajutrz otrzymał głos poseł francuski, Jan de Montluc, biskup Walencji. Był to człowiek lekkomyślny, ale niezwykle zręczny, dyplomata przebiegły, obserwator przenikliwy i bystry. Montluc szybko orjentował się w stosunkach i równie szybko przenikał słabości ludzkie. Acz biskup katolicki, był tolerantem, pocichu sprzyjał reformacji. Dzięki swej dwuznaczności umiał przychylnie usposobić dla siebie katolików, a jednocześnie zyskać życzliwość różnowierców. Nie przebierając w środkach, nie cofał się przed przekupstwem, ale wolał sypać obietnicami, któremi szafował z hojnością bez granic. Nie chodziło mu zresztą o politykę na dalszą metę: gotów był przyrzec wszystko i nic nie dotrzymać, byle osiągnąć cel doraźny i zyskać poklask dla swego kandydata. Wymowny, chytry,

poznał słabostki szlachty i na tych słabostkach zagrał po mistrzowsku.

Zręczny Francuz wyraził najpierw żal z powodu zgonu Zygmunta Augusta, a później mówić zaczął o przyjaźni, jaką król francuski żywi dla Polaków. Bo i jakże Polaków nie kochać? Naród to, prawił Montluc, szczególną łaską Boga obdarzony, a do wielkich powołany przeznaczeń, gdyż jest jakby warowną twierdzą całego chrześcijaństwa. To też wszyscy monarchowie chrześcijańscy powinni kochać Rzeczpospolitą. Nuż dopiero rozwiódł się nad charakterem Polaków, nad ich urządzeniami, nad budującą zgodą szlachty, nad cnotami polskiemi i pełną światowej sławy przeszłością narodu. Nie zapomniał wspomnieć o waleczności polskiej i o jeździe na świat cały z czynów rycerskich głośnej.

Słowa posła dźwięcznie wpadały w uszy, mile głaskały serca, wbijały słuchaczów w dumę, zawierały to właśnie, co łatwowierny Polak rad bierze za dobrą monetę.

A Montluc, wypowiedziawszy tyle pochlebstw Polakom, rozgadał się następnie o cnotach narodu francuskiego i, nie troszcząc się o prawdę, wywiódł, jak na dłoni, że Polska i Francja oddawna są ze sobą zaprzyjaźnione, oddawna płoną ku sobie wzajemną miłością. Nic w tem zresztą dziwnego, bo Polacy i Francuzi, to w całej Europie dwa najpodobniejsze do siebie narody.

Na takim gruncie postawiwszy sprawę, zaczął charakteryzować swego kandydata, którym był brat króla francuskiego, książę andegaweński, Henryk de Valois. Teraz z ust wymownego posła popłynął istny potok olśniewających określeń i zwrotów. Henryk de Valois

był młodzieńcem znakomitego rodu a tak wyjątkowych zalet i talentów, że drugiego na całym świecie znaleźćby trudno. Wsławił się już we własnej ojczyźnie wielką roztropnością, a Francja niejedno zawdzięczała jego radom, zarówno w czasie wojny, jak w czasie pokoju. Henryk nie miał jeszcze sposobności rozgłosić po szerokim świecie swego imienia, jako wódz wielki, niemniej przeto posiada doskonałą znajomość sztuki wojennej, umie wojska szykować, zwodzić w polu bitwy zwycięskie, szturmem brać miasta. Pan to możny, bogaty a hojny. Ma on w swoich posiadłościach trzy księstwa, sześć hrabstw, dziewięć biskupstw, dwieście opactw, tysiąc przeorstw. Wystawi flotę, ubezpieczy porty, podniesie akademję krakowską, stu synów szlacheckich własnym kosztem kształcić będzie w sławnych uczelniach Paryża. A trzeba będzie Rzeczypospolitej zbrojnej pomocy, to wnet wojska francuskie zawitają na statkach do Gdańska. Zaraz zresztą 4.000 znakomitych strzelców gaskońskich przyprowadzi ze sobą do kraju. Wódz taki z łatwością porazi cara, dawnego wroga Polski, i przeciw wszystkim nieprzyjaciołom potrafi się z chwałą obronić. Zapłaci długi państwa, żołnierzom z własnej szkatuły wyda żołd zaległy, a 450.000 dukatów z dochodów swoich corocznie wnosić będzie do kraju. Dołoży wszelkich starań, by nie dopuścić do waśni religijnych i Rzeczypospolitej spokój wewnętrzny zapewnić. Dobijając się o koronę polską, nie ma na widoku żadnych osobistych korzyści, prócz tego, by zostać królem nad szlachtą tak liczną i tak zacną, jaką jest szlachta polska. To też Polacy najlepiej, najzaszczytniej i najszlachetniej dla podniesienia ojczyzny swej uczynią, gdy powołają na tron księcia andegaweńskiego, Henryka.

— Mowa Montluca, — powiada kronikarz współczesny, Hejdensztejn, — „wszystkich umysły ku sobie pociągnęła”.

Zalety kandydata francuskiego olśniły wyborców. Nie zastanawiano się nad prawdziwością słów, myślano tylko o świetności i dobrodziejstwach, jakie spaść miały na Polskę. Ciemny tłum szlachecki, według kronikarza Bielskiego, nie umiał nawet nazwać kandydatów do tronu, lecz nastrojony przez zwolenników Henryka, wypowiadał się przeciw „Rdestowi”, jak nazywano arcyksięcia Ernesta i obstawał za księciem „Gawińskim”.

Po Montlucu miał zabrać głos poseł króla hiszpańskiego, ale obrażony, że Polacy dali pierwszeństwo posłowi francuskiemu, nie chciał przemawiać. Nie wywołały też większego zaciekawienia mowy innych posłów, natomiast ze skupioną uwagą słuchano Haraburdy, który na zlecenie Litwinów posłował do cara Iwana Groźnego, a wprowadzony do namiotu senatorów, zdawał relację ze swego poselstwa.

Kandydatura syna carskiego Fiedora, a nawet samego cara cieszyła się śród szlachty wielką popularnością. Ale sprawozdanie Haraburdy rozczarowało słuchaczów.

Iwan Groźny twierdził, że panowie polscy nie carewicza Fiedora, ale jego samego, cara Iwana, pragną widzieć na tronie polskim. Kto mówi inaczej, głosił car, ten kłamie. O zwróceniu Rzeczypospolitej Smoleńska i Połocka ani chciał słyszeć. Wyposażenie carewicza uważał za głupstwo, gdyż carewicz, jak się wyraził, nie jest dziewką, aby otrzymywać posag. Zresztą zaszczyt przynosi rozszerzanie, a nie uszczuplanie carstwa. Chełpił się car, że z panujących tylko

on i sułtan turecki są prawdziwymi monarchami, obaj bowiem pochodzą z rodu, panującego od wieków. Siebie wywodził, z pogwałceniem wszelkiej prawdy historycznej, od cezarów rzymskich. W myśl tego, że zaszczytem jest rozszerzać granice carstwa, domagał się oddania mu Kijowa. Obiecywał za to wspaniałomyślnie zrzec się swoich pretensyj do ziem litewskich po Berezynę, a za oddanie mu Inflant gotów był oddać Połock i Kurlandję. Żądał, aby tytuł jego brzmiał: z bożej łaski car i wielki książę wszystkiej Rusi, kijowski, włodzimierski, moskiewski, król polski i wielki książę litewski. Godził się nawet, aby dwa ostatnie tytuły przesunąć wyżej, ale domagał się jednocześnie, aby w całej Rzeczypospolitej mógł wznosić cerkwie. Koronować go miał na króla polskiego nie prymas, lecz metropolita moskiewski. Oświadczał wreszcie, że wolałby zrzec się korony polskiej i zostać wielkim księciem litewskim. Obiecywał nawet poprowadzić Litwinów do walki z Polską dla odebrania ziem Litwie należnych.

Żądania północnego barbarzyńcy, który nie wysłał nawet poselstwa, czekając aż Polacy sami o przyjęcie korony błagać go zaczną, powinny były otworzyć oczy wszystkim jego zwolennikom. A jednak okazało się później, że okrutny car nie przestał być w Polsce popularnym.

Równie dzikie, jak cara, było wystąpienie sułtana, który w nadesłanym liście polecał na tron polski Francuza lub Polaka, protestował przeciw wyborowi Habsburga, a groził, że w razie nieusłuchania go, nie uwzględni później żadnych tłumaczeń.

Dwie kandydatury najwięcej miały widoków: francuska i austrjacka. Przedtem wszakże trzeba było

zastanowić się nad wyborem rodaka, wielu bowiem twierdziło nie bez słuszności, że rodak, czyli jak mówiono wówczas, Piast na tronie polskim traktować będzie Polskę, jak własną ojczyznę.

Król-Polak istotnie zabezpieczał Rzeczpospolitą przed knowaniami obcych potęg, przed łudzeniem się ich pomocą, przed obowiązkami, które ciążyły na całym narodzie, a które chciano lekkomyślnie złożyć na barki króla-cudzoziemca.

Wymieniano różnych kandydatów, jako to: Łaskiego, Radziwiłła, Chodkiewicza. Lecz przeciwnicy Piasta, chcąc rzecz całą ośmieszyć, coraz to nowych proponowali kandydatów, często niedołęgów i ludzi bez zasług, a marszałek wielki koronny Opaliński cisnął całkiem nieznane nazwisko szlachcica Słupskiego z przezwiskiem Bandury. Dowcip ten wywołał śmiech i ogromnie podkopał sprawę króla-rodaka.

Ale najenergiczniej i najskuteczniej kandydaturę polską zwalczał Jan Zamoyski.

Dowodził on, że wybór rodaka pogwałciłby równość szlachecką, wyniósłby ponad ogół szlachty nie tylko samego króla, ale całą jego rodzinę, doprowadziłby do opanowania godności i zaszczytów przez jedną familję. Gdy zaś kasztelan Tomicki upierał się przy Piaście, Zamoyski chytrze zażądał, by rodacy, którzy się o tron ubiegają, natychmiast opuścili obrady, jak to muszą czynić posłowie zagraniczni, gdy toczą się debaty nad zalecanymi przez nich kandydatami. Propozycja wielce podobała się wszystkim. Z zapałem ją przyjęto. Lecz teraz dopiero okazało się, do czego zmierzał wniosek Zamoyskiego. Kto bowiem z Polaków myślał o koronie, a niejeden magnat w głębi swej duszy marzył o niej skrycie, ten

miał wstać i opuścić obrady. Ale gdy trzeba to było uczynić, nikt nie ośmielił się wystąpić jawnie, nie mając gruntu przygotowanego, a jak ognia lękając się śmieszności.

W taki to sposób kandydatura rodaka ostatecznie została pogrzebana.

Większość województw oddała swe głosy za Henrykiem. Wtedy senatorowie katolicy domagać się zaczęli od prymasa, aby księcia andegaweńskiego natychmiast ogłosił królem. Sprzeciwili się temu nowowiercy, wołając, że król powinien być obrany jednomyślnością. Nie występowali oni przeciw Henrykowi, ale chcieli, aby przyszły król zapewnił dysydentom pokój. Partja katolicka szybkiem ogłoszeniem króla pragnęła nie dopuścić do rozpraw nad tym tematem i udaremnić zamiary dysydentów. Wtedy zerwał się marszałek Firlej, poszli za nim Mikołaj Mielecki, wojewoda podolski, Anzelm Gostomski, wojewoda rawski oraz wielu innych znaczniejszych senatorów i opuścili obrady. Za tym przykładem ogromny tłum szlachty ustąpił z pola elekcji.

Niezadowoleni ze stanowiska prymasa oponenci przenieśli się na pola pod Grochowem i groźną zajęli postawę.

Zanosiło się na poważne starcie dwóch obozów.

Prymas Uchański, na którego wpływano, by nie zważał na różnowierców, rad był królem ogłosić Henryka, ale lęk przed rozlewem krwi wstrzymywał go od stanowczego kroku.

Tymczasem wzburzenie rosło.

Oba stronnictwa miotały groźbami, oba zaczęły się uzbrajać. Namiot senatorów, co pozostali pod Kamieniem, otoczono działami, a szlachta, stojąca za

prymasem, uszykowała się, jak do bitwy. I na polach grochowskich głośno było od szczęku oręża. Stronnicy prymasa dla odróżnienia się od przeciwników upiększyli sobie czapki i przyłbice gałązkami choin i świerków. Na drugi dzień Zielonych Świątek w obu obozach ruch zapanował wielki, szykowały się hufce i stawały w ordynku bojowym. Błyskały szable, padały szybkie słowa komendy i szum przedbitewny roznosił się po szerokich błoniach. Wydawać się mogło, że lada chwila zagrzmią działa, odezwą się rusznice i pocwałuje do ataku jazda.

Ale myśl o przelewie krwi bratniej wstrzymywała zapał bojowy i we wszystkich uczciwych a wolność miłujących sercach budziła chęć pojednania. Najpierw opamiętała się partja katolicka i wysłała do Grochowa deputację, chcąc porozumieć się z przeciwnikami. Układy szły, jak po grudzie, wiele bowiem w sercach było zawziętości. Wreszcie ustalono, że oba stronnictwa nic nie mają przeciw Henrykowi. Nowowiercom chodziło tylko o to, by do przysięgi, którą król przyszły miał złożyć, włączono ustęp, poręczający zupełną wolność religijną.

Gdy kasztelanowie: Andrzej Górka i Stanisław Szafraniec przybyli z Grochowa, by przedstawić żądania swego stronnictwa, prymas uciekł się do wybiegu, prosto z mostu zapytując posłów:

— Zgodziliścież się waszmościowie wszyscy na Henryka?

— Wszyscy, — odpowiedział Górka, — byle się temu zadość stało, z czem nas tu posłano.

— Skoroście się wszyscy zgodzili, — zakończył Uchański, — więc mianuję go królem polskim.

Wielki krzyk radości powstał na te słowa, burza oklasków je przytwierdziła.

Zborowski, acz popierał Henryka, przeląkł się, jako nowowierca, podstępu i z oburzeniem zgłosił swój protest. Z obu stron padły słowa ostre, przykre, wyzywające. Ale radosne głosy zgromadzonych tłumów zagłuszyły protesty posłów stronnictwa grochowskiego. Przerwały się układy, by wnet na nowo się rozpocząć. Wreszcie ułożono przysięgę dla króla, w której i poręczenie swobody wyznania zostało umieszczone.

Dnia 15 maja w obecności posłów francuskich odczytano przysięgę. Montluc bez wahania przysięgę wykonał, byle prędzej całą sprawę ukończyć. Gotów był zgodzić się na wszystko i wszystko obiecać. Powiadał później Firlej, że gdyby zażądano, aby nowy król most złoty zbudował na Wiśle, to Montluc nie namyślałby się ani chwili i pytałby tylko, z jakiego złota, francuskiego, czy węgierskiego, ma być most wzniesiony.

Prawa, które ułożono, zwane artykułami henrycjańskiemi, stanowiły wolność elekcji, poręczały swobodę wyznania, domagały się od króla zwoływania co dwa lata sejmu, dodawały mu radę przyboczną z 16 senatorów, nie pozwalały na powołanie pospolitego ruszenia bez zgody sejmu, wreszcie śród innych warunków uwalniały naród od posłuszeństwa, jeśliby król wykroczył przeciw swym zobowiązaniom.

Oprócz artykułów henrycjańskich, mających i w przyszłości obowiązywać obieranych królów, ułożono warunki, tak zw. *pacta conventa*, odnoszące się specjalnie do obranego królem Henryka, a przystosowane do tego, co nowy król mógł Rzeczypospolitej zapewnić. Wkładały one na panującego nowe obowiązki, z których niejeden sam naród powinien był wypełnić.



HENRYK WALEZY

rys. Hieronima Vierichsa.

W ten sposób szlachta uwalniała się od wielu ciężarów, a jednocześnie coraz bardziej ograniczała władzę królewską, wznosząc swą wolność na takie wyżyny, że utrzymać ją mogła na nich bez szkody dla interesów państwa jedynie dojrzałością obywatelską i stawianiem dobra publicznego ponad własne interesy. Niestety, już ta pierwsza wolna elekcja, podczas której sypano zarówno obietnicami, jak złotem, świadczyła, że korona polska stać się może w przyszłości przedmiotem najohydniejszych targów. Naród, szukając korzyści w potędze panującego, uczył się polegać nie na sobie, lecz na sile obcej. A lekkomyślna, ciemna masa szlachecka, biorąc obietnice za dobrą monetę, nie liczyła się z tem, czy te obietnice mogą być spełnione, czy postawione królowi warunki nie staną się przyczyną nieporozumień, a może i srogiej zawieruchy w kraju.

Na nową drogę wkraczała Rzeczpospolita, przed niewiadomą stawała przyszłością.

Okazało się wkrótce, że Montluc oszukał Polskę.

Nowy król niczem nie przypominał wspaniałego wizerunku, jaki poseł francuski odmalował i jakim olśnił łatwowierną szlachtę. Henryk de Valois był to młody, pyszałkowaty lekkoduch, szukający łatwych uciech, rozkochany w tańcu, w zabawach, lubiący grę w karty, leniwy, próżny, wyniosły. Zamiast człowieka z hartem, rozumem i wolą, zamiast wodza, pełnego cnót rycerskich, wybrała Rzeczpospolita młodzika, który nie zasługiwał na zaufanie, a nie posiadał żadnych przymiotów, by rządzić sławnem a rozległem państwem.

Tymczasem wspaniałe poselstwo polskie udało się do Francji, a cały kraj z niecierpliwością oczekiwał

na nowego króla, który bynajmniej nie kwapił się z przyjazdem. Wreszcie 18 lutego 1574 roku Henryk, otoczony świetnym orszakiem, stanął w Krakowie, witany entuzjastycznie przez senatorów i licznie zgromadzone rycerstwo. Cieszono się młodym królem, najpiękniejsze w nim pokładano nadzieje.

Lecz radość nie trwała długo.

Postępowanie Henryka odstręczało od niego serca i wzbudzać zaczęło obawy.

Już podczas turniejów, urządzanych na cześć króla, zaszedł wypadek, który ujawnił lichy charakter Henryka, a wywołał następstwa, mające długo wstrząsać Polską i niepokoić opinję. Oto panowie Zborowscy umieli w czasie bardzo szybkim pozyskać łaski i zaufanie Henryka. Odznaczał się między nimi wielką gwałtownością Samuel Zborowski, młody rycerz niepospolitej odwagi. Chcąc udziałem swoim uświetnić turniej, Samuel zatknął w szrankach kopję, a na niej zawiesił kartę, wyzywając do walki każdego, ktoby na cześć króla chciał się z nim zmierzyć. Wielu znakomitych rycerzy odczytało wyzwanie, lecz nikt długo nie zgłaszał chęci spotkania się z takim przeciwnikiem. Znalazł się wreszcie śmiałek, wojskowy z orszaku kasztelana Jana Tęczyńskiego, człek z gminu, który wyrwał kopję na znak, że przyjmuje wyzwanie. Stało się to bez wiedzy kasztelana, ale Zborowski, sądząc, że Tęczyński przez wysłanie sługi pragnie okazać mu wzgardę, zapłonął straszliwym gniewem i postanowił pomścić zniewagę. Wyzwawszy kasztelana na pojedynek, czekał go na podwórcu zamkowym. Już miało dojść do walki, już obaj uzbrojeni zapaśnicy spięli ostrogami konie, by runąć na siebie, gdy wpadł pomiędzy nich kasztelan przemyski, Andrzej Wapowski, aby nie do-

puścić do starcia. Lecz rozwścieczony Samuel rzucił się na rozjemcę i dwukrotnie uderzył go w głowę czekanem. Padł Wapowski, zalany krwią, a w kilka dni później umarł z ran odniesionych.

Wydarzenie to poruszyło do żywego szlachtę. Zborowski ściągnął na swą głowę oburzenie. Jako zabójcy, który dokonał morderstwa w pobliżu osoby królewskiej, groziła mu infamja i śmierć. Ale Zborowscy umieli chodzić koło swych interesów. Mając za sobą króla i wielu senatorów, wyjednali wyrok, którego mocą Samuel wbrew prawom skazany został tylko na opuszczenie kraju bez pozbawienia czci i sławy.

Ten stronniczy wyrok obruszył na króla niezależną opinję.

Wielkie niezadowolenie wywołało również rozdawnictwo dostojeństw, któremi Henryk obdzielił przedewszystkiem Zborowskich, ich krewnych oraz klientów. Okazało się wkrótce, że nowy król nie przejmuje się sprawami państwowemi, że coraz mniej czasu im poświęca. Za to na zamku odbywały się nieustannie maskarady, karuzele, bale, a król, ku zgorszeniu gości, sam puszczał się w tany. Festynami usypiał Henryk czujność swego otoczenia. Myśl jego była zajęta czem innem. Król francuski umierał — i Henryk zamierzał cichaczem wyjechać do Francji, by zająć tron po dogorywającym bracie. Jednocześnie starał się ująć możnych panów hojnością, w nadziei, że i koronę polską będzie mógł przy ich pomocy zatrzymać. Gdy w czerwcu 1574 r. przyszła wieść o zgonie Karola IX, Henryk w nocy z 18 na 19 czerwca opuścił potajemnie zamek i z kilkoma towarzyszami, ukradkiem, jak przestępca, uciekł z Polski ku oburzeniu narodu.

Takim skandalem skończyła się pierwsza wolna z udziałem całej szlachty dokonana elekcja.

Na zbiegłego króla szlachta miotała skargi, obelgi, powiadała, że naród okrył sromotą, że wydał Rzeczpospolitą na wzgardę i pośmiewisko całego świata. Zdrajcami ogłaszano tych, co takiego króla ośmielili się zalecać. Życie państwowe skutkiem nowego bezkrólewia znowu uległo rozprzężeniu. Rozpoczęły się zwady, bójki, zajazdy, wzmagał się zamęt, rosła anarchja. Szlachta domagała się natychmiast nowej elekcji, duchowieństwo pragnęło utrzymać Henryka, a możni panowie, lawirując pomiędzy dwiema dążnościami, działali na zwłokę, chcąc przed powzięciem decyzji zaczekać, aż się położenie wyjaśni. Roztrząsano kwestję, według wyrażenia Hejdensztejna, „czy króla, czy bezkrólewie mają Polacy?" Prymas, ulegając powszechnemu głosowi, zwołał sejm na 10 września 1574 roku. Sejmiki odbywały się burzliwie, szlachta porywała się do szabel, powstawała na możnych panów, odgrażała się Henrykowi. Lecz sejm postanowił wezwać Henryka do powrotu, ostrzegając go, że jeśli nie stawi się na oznaczony termin (12 maja 1575 r.), to naród do nowej przystąpi elekcji.

Z niepokojów w Polsce skorzystali Tatarzy, wtargnęli na Podole, spustoszyli dużą połać kraju, uprowadzili mnóstwo ludzi i koni, nim rycerstwo polskie zdążyło się skupić i wyruszyć w pole.

Tymczasem Henryk, dowiedziawszy się o zwołaniu sejmu, czynił prymasowi wymówki, że bez jego wiedzy to uczynił, a listownie i przez posłów zapowiadał swój przyjazd, upewniał o swem przywiązaniu do Polski. Lecz zajęty sprawami Francji, słowa nie dotrzymał.

Więc gdy w dniu 12 maja zebrał się olbrzymi zjazd w Stężycy, szlachta podniosła krzyk o natychmiastowe przystąpienie do wyboru króla.

Jej kandydatem był car Iwan Groźny lub syn jego Fiedor. Kandydatura ta w mniemaniu szlachty kończyła z Moskwą spór o Inflanty i potężnego wroga Rzeczypospolitej czyniła sprzymierzeńcem. Marzono o nowej unji, o zjednoczeniu wszystkich Słowian w jedno olbrzymie państwo, któreby było władne porazić Turcję, a w którem szlachta polska odgrywałaby rolę przodowniczą.

Nie lękano się despotyzmu i okrucieństwa cara, nie zrażano się jego żądaniami, nie rozumiano ich istoty, nie zdawano sobie sprawy, że w razie wyboru Iwana nie król polski panowałby w Moskwie, ale car moskiewski zasiadłby na Wawelu i, posiadłszy koronę Jagiellonów, myślałby nie o roli szlachty polskiej w swych państwach, ale o potędze carstwa, o powiększeniu go ziemiami Rzeczypospolitej, które uważał za swe prawowite dziedzictwo. Ale wobec olśniewających widoków, jakie otwierała perspektywa nowej unji, ustawały wszystkie względy, milknął wszelki krytycyzm. Wódz szlachty Jan Zamoyski był zwolennikiem tej myśli podczas elekcji poprzedniej, a to najwymowniej świadczy, jak wielkie było powodzenie kandydatury moskiewskiej. Ale Zamoyski zrozumiał, że interes Rzeczypospolitej nie da się pogodzić z interesami carstwa i myśli tej poniechał. Tłum szlachecki niczem rozczarować się nie dał: carewicz Fiedor był na zjeździe stężyckim najpopularniejszym w tym tłumie kandydatem. O cesarzu, który miał wielu zwolenników w senacie, nie chciano słyszeć. Głuche wieści o konszachtach z domem cesarskim,

krążące na zjeździe, wywoływały najstraszliwsze oburzenie. Odgrażano się senatorom. W nocy przed namiotem senatu wbito krzyż, na którym widniał następujący czterowiersz:

Kto cesarza mianuje,
Ten śmierć sobie gotuje!
By chciał być Fiedor, jak Jagiełło,
Dobrzeby nam z nim beło.

Ale goniec carski, zjawiwszy się w Stężycy, dał nowy wyraz intencjom carskim. Wprowadzony przed senat, oświadczył hardo, że jeśli panowie polscy zamierzają obrać nowego króla, a sądzą, że car może im w tem dopomóc, to niech zawiadomią go o tem, a wtedy dopiero wyśle swe poselstwo.

Car drożył się, czekał, aby go Rzeczpospolita prosiła o przyjęcie korony, gdyż sam chciał dyktować warunki.

Rozczarowana szlachta, nie mając innego kandydata, rozjechała się do domów.

Zjazd stężycki uznał Henryka za odpadłego od tronu i nic więcej nie postanowiwszy, rozszedł się na niczem.

Dopiero sejm konwokacyjny wyznaczył termin elekcji, która zapowiadała się bardzo burzliwie.

Cesarz nie ustawał w swoich zabiegach, a pozyskawszy większość senatorów, najwięcej miał widoków. Prymas Uchański chwiał się, jak trzcina. Był czas, że przechylał się na stronę carską i gotów był głos swój połączyć z głosami szlachty. Nuncjusz papieski, donosząc o tem do Rzymu, utrzymywał, że nie jest to projekt do odrzucenia, że, oczywiście, należałoby skłonić cara do uznania władzy kościoła katolickiego, co, jak sądził, dałoby się uskutecznić, gdyby papież

obiecał carowi tytuł „imperatora carogrodzkiego”, a Uchańskiego, dla nadania większej świetności koronacji, mianował „carogradzkim patrjarchą”. Lecz Rzym widocznie lepiej orjentował się w sytuacji, bo nie przestał popierać kandydatury cesarskiej. Nuncjusz, otrzymawszy odpowiednie wskazówki, rozmówił się z prymasem i bez trudności przekonał go, że cesarza powinien popierać.

Od tej pory i Uchański wiedział, jak się ma zachowywać.

Sejm elekcyjny, zebrany w początkach listopada 1575 r. na polach Woli pod Warszawą, był szumny, gwarny, tłumny i zbrojny. Niektórzy senatorowie przyprowadzili ze sobą liczne oddziały jazdy i piechoty, a nawet działa, z których strzelano na wiwat lub ku postrachowi przeciwników. Znowu stawiły się poselstwa monarchów i książąt, co wyciągali ręce po koronę, a szlachcie wielce podobało się to „najświetniejsze teatrum”, na którem wysłańcy monarchów stawali pokornie i zabiegali o łaski dla swego pana. Znowu zaczęły się sypać obietnice, znowu zaczął się handel koroną, znowu tron polski szedł na licytację, stawał się przedmiotem nieuczciwych targów.

Ogromna większość senatorów z prymasem Uchańskim na czele była za domem rakuskim, śród szlachty ciągle jeszcze car miał najwięcej zwolenników.

Inni kandydaci nie zdobyli większej popularności. Ani król szwedzki, ani Alfons, książę Ferrary, obaj wyciągający ręce po koronę, nie posiadali liczniejszego stronnictwa. Nie miał również widoków książę siedmiogrodzki Stefan Batory, zalecany przez sułtana. Przeciwne mu było duchowieństwo, gdyż na dworze jego doznawali opieki arjanie, a nieprzyjaciele księcia

głośno wołali, że jest to niewolnik turecki, sułtanowi całkiem zaprzedany. Batory przysłał na sejm swego lekarza Blandratę, znanego arjanina, ale, nie licząc na powodzenie, nie dał swemu wysłańcowi potrzebnych pełnomocnictw. Blandrata, zalecając księcia, podkreślał, że Batory oddaje pierwszeństwo cesarzowi, że sam wtedy tylko ubiegałby się o koronę, gdyby kandydatura cesarska została pominięta. Zarazem przecież w znaczący sposób mówił o wspólnych interesach Węgrów i Polaków, o węzłach, które łączyły oba narody w przeszłości, o podobieństwie ustroju państwowego, o tych samych skłonnościach, o jednakiem zamiłowaniu wolności i takim samym sposobie wojowania Węgrów i Polaków. Przypomniał świetną przeszłość obu narodów, zwrócił uwagę na fakt, że ilekroć razy jeden z nich był zagrożony w swym bycie, tylekroć drugi musiał obawiać się o swe losy. Wskazywał na zalety księcia, na jego głęboką naukę i sławę wojenną, prostował plotki, jakoby Batory zaprzedał się sułtanowi w niewolę: nie on bowiem, lecz poprzedni władcy Siedmiogrodu zobowiązali się do płacenia haraczu.

Na dworze Batorego bawił w owym czasie banita Samuel Zborowski. On to porozumiewał się z braćmi i zalecał im księcia. Zborowscy radzi byli przeprowadzić swego kandydata, w przeświadczeniu, że król przez nich wyniesiony potrafi sowicie nagrodzić zasługi. Ale jako ludzie przebiegli, ostrożni, nie chcieli narażać się innym kandydatom. A osobą Batorego nie interesował się senat, nie popierała jej szlachta. Więc Zborowscy, obiecując poparcie swe Batoremu, czekali aż się położenie wyjaśni, zachowując się dwuznacznie, nieszczerze. Wojewoda krakowski, Piotr

Zborowski, gdy senat rozpoczął głosowanie, wypowiedział się niespodzianie za Rosembergiem, który o koronie nie myślał. Tylko marszałek nadworny, Andrzej Zborowski obok księcia Ferrary, nie mającego widoków powodzenia, rzucił nazwisko Batorego. Zresztą cały senat był zgodnie za Austrjakiem. Jeden Tęczyński, wojewoda bełski, domagał się wyboru króla-rodaka.

Cesarz, stary i schorzały, nie ubiegał się o koronę dla siebie. Lecz ta starość stała się właśnie powodem, że dano mu pierwszeństwo przed arcyksiążętami. Wrogą Habsburgom szlachtę upewniał prymas Uchański, że to obiór na próbę, bo Maksymiljan umrze wkrótce, a doświadczenie pouczy, czy cesarz niemiecki może być królem polskim.

Lecz w kole rycerskiem nie chciano słyszeć o Habsburgach. Mówcom, co zalecali cesarza, przerywano mowę krzykami. Nic nie wskórał w tem kole Krzysztof Zborowski, przemawiający za domem rakuskim (Zborowscy podzielili między siebie role), ani Czarnkowski, ani głośny rycerz Secygniowski. Jedynie poeta Jan Kochanowski, szanowany dla cnót i nauki, acz wypowiadał się, jako stronnik domu cesarskiego, słuchany był cierpliwie. Natomiast wielki poklask zyskał śród szlachty mową swą Jan Zamoyski, wybrany na posła jednocześnie przez sześć sejmików ruskich, głośny pogromca kandydatury Piasta na elekcji poprzedniej.

Trybun szlachecki zmienił swoje zdanie, a gorącem wystąpieniem wsparł potężnie chytre zabiegi Zborowskich.

Tym razem Zamoyski zalecał... wybór rodaka.

Sam on później mówił, że nic w życiu tak mu się nie udało, jak te dwie przeciwne sobie mowy na

dwóch kolejnych elekcjach. Podejrzewano nieraz Zamoyskiego, że, oświadczając się za Piastem, nie kogo innego, lecz samego siebie miał na myśli, licząc na wielką śród szlachty wziętość, a nie widząc śród senatorów i znanych dostojników nikogo, ktoby z powodzeniem mógł sięgnąć po koronę. Trudno odgadnąć, co tam w głębi swego serca ukrywał ten ambitny a niezwykły człowiek. To pewna, że jeżeli, zwalczając Piasta, miał wiele racyj na poparcie swoich wywodów, to teraz, przemawiając za Piastem, znalazł jeszcze więcej argumentów, aby dawne swe racje obalić i wykazać dowodnie, że jedynie król-rodak odpowie wielkiemu zadaniu i spełni życzenia narodu.

Trybun szlachecki z niesłychaną zręcznością zabrał się do dzieła.

Słynną swą mowę zaczął od stwierdzenia, że od pierwszej elekcji zmieniły się czasy i usposobienie umysłów w Rzeczypospolitej. Jak wielu innych, tak i jego, Zamoyskiego umysł olśniony był blaskiem majestatu królewskiego. Jak inni, tak i on sądził, że przeciwnem będzie godności narodu, jeśli na miejsce zmarłego króla ze sławnej, a zdawna panującej dynastji, Polacy nie wybiorą następcy, coby również z rodu panującego pochodził. Wypadki okazały co innego, a niebezpieczne położenie Rzeczypospolitej nie pozwala wątpić, jaki król jest bardziej wskazany: rodak czy cudzoziemiec?

Tu powołał się mówca na swą młodość i niedoświadczenie ówczesne, na światłe zdanie starszyzny szlacheckiej, za której głosem idzie posłusznie, przekonawszy się, że źle czynił, gdy występował przeciw Piastowi.

— „Miałżebym, — wołał Zamoyski, — szukając próżnej chwały w upieraniu się przy swem zdaniu, stronnictwo moje i ojczyznę moją na widoczne narazić niebezpieczeństwo?!"

Człowiek zręczny, który publicznie bije się w piersi i wyznaje swe błędy, zawsze może liczyć na uznanie tłumu. Któżby w takiego mówcę śmiał rzucić kamieniem potępienia?

Więc Zamoyski, słuchany z największą uwagą, mówił dalej, a w słowach jego szlachta dostrzegała odbicie własnych poglądów, z tą tylko różnicą, że Zamoyski poglądy te pogłębiał i rzucał na nie blaski swego krasomówstwa.

Przykład Walezjusza był wymowną ilustracją tego, czem jest król-cudzoziemiec, nie znający zwyczajów, języka, nie rozumiejący potrzeb i ducha narodu.

— „On dla nas, — dowodził Zamoyski, — a my dla niego byliśmy niemi... Każdy swojemu bardziej sprzyja: rodak-rodakowi, cudzoziemiec — cudzoziemcowi!"...

Nuż dopiero wystąpił przeciw domowi rakuskiemu, który olśniewa wielu swoją świetnością, potęgą, dostatkami. W tem wszystkiem tkwi właśnie największe niebezpieczeństwo dla swobód szlachty, dla przyszłości Rzeczypospolitej.

— „Boję się, — prawił zasłuchanej szlachcie Zamoyski, — aby się z nami to samo nie stało, co się staje z małemi rzeczkami, że, wpadłszy w wielkie rzeki, nazwiska swoje tracą... Przypuśćmy rządy niemieckie, a wnet imię polskie w niemieckie spłynie, bo chwała króla sławę narodu za sobą ciągnie, a tak wszystko, czego tylko wewnątrz i zewnątrz dokonamy, Niemiec sobie przypisze. Będziemy tedy dla Niemca miasta i zamki stawiać, bić się będziemy dla Niemca,

za sławę Niemców krew i życie nasze oddamy, słowem, staniemy się kolonją, albo prowincją niemiecką, może niedługo i dziedziczną... Może myślicie, że się nam lepiej powiedzie, niż Czechom, Węgrom i samym Niemcom? Nie gwałtami oni zwykle rządy swe rozpoczynają, ale cóż to znaczy, czy siłą, czy sztuką, czy podejściem wolność utracimy? Zawsze służyć i więzy na siebie nałożyć musimy".

Nie przepomniał mówca wspomnieć o niebezpieczeństwie, jakim groziło Rzeczypospolitej wyniesienie na tron polski cesarza, którego sułtan do największych swych wrogów zaliczał.

„... Od tylu wieków zostawaliśmy z Turkami w spokoju, a nie mamy czego się wstydzić, boć przecie inne kraje chrześcijańskie, jako to Anglja, Francja, pokój z nimi zawarły, a inne, jako to Wenecja, cesarstwo pieniędzmi go okupiły"...

Mowę Zamoyskiego przyjęto burzą oklasków. Zdecydowała ta mowa o postawie tłumu, ugruntowała pogląd, że dom rakuski nieszczęściem dla Rzeczypospolitej będzie, a zarazem wzbudziła podziw dla człowieka, który tak znakomicie uzasadnił niechęć szlachty do Habsburgów.

Hejdensztejn powiada, że wszyscy wychwalali najbardziej zręczność Zamoyskiego, „że tak wybornie dwóch tak przeciwnych założeń dowodził, raz radząc usunąć Piasta, a teraz znowu jedynie Piasta do tronu zalecając". To pewna, że niechętne domowi rakuskiemu tłumy natchnął Zamoyski wolą wyraźną i zdecydowaną.

— Precz z Rakuszaninem! niech żyje Piast! — wołała szlachta na polu elekcyjnem i gotowa była od-

dać swe głosy za rodakiem, byle jej tylko rodaka wskazano.

Ale śród tysięcy zgromadzonych „Piastów” nie było dla tej szlachty Piasta, któryby mógł liczyć na poparcie.

Wprawdzie wymieniano kandydatury wojewodów Kostki i Tęczyńskiego, ale obaj możni panowie nie zalecali się wyższemi zdolnościami, a nie czuli się na siłach, by udźwignąć koronę. Rozpoczęły się kłótnie, krzyki, bo olbrzymia większość senatorów trwała przy cesarzu, a miała za sobą prymasa i wołała na niego, by królem ogłosił Maksymiljana. Oburzona szlachta groziła senatorom, że do szabel się porwie.

Rósł zamęt, wzmagała się zawziętość, huczały namiętności.

Śród wrzawy, która lada chwila mogła przemienić się w burzę nie do opanowania, prymas Uchański, popychany do energicznego działania, zdecydował się na krok stanowczy. Pozbywszy się podstępem senatorów, co byli przeciwni domowi rakuskiemu, mianował królem cesarza Maksymiljana i wraz z duchowieństwem wyruszył do kościoła, gdzie uroczyście zaintonował *Te Deum laudamus.*

Na wieść o tym postępku, gwałcącym prawa świeżo zdobyte przez szlachtę, wzburzenie ogarnęło zgromadzone na polu elekcyjnem tłumy. Do Uchańskiego, jak zapewnia świadek owych wydarzeń, Orzelski, dwukrotnie strzelano z rusznicy, a szlachta, odgrażając się senatorom, zgodnie wołała, że nigdy cesarza królem swym nie uzna. Jednakże dla kandydatury Piasta nominacja Maksymiljana była ciosem potężnym: trudno było rodakowi, choćby znakomitego rodu, stanąć do walki z takim potentatem, jak cesarz. A dzia-

łać trzeba było szybko, bo każdy dzień stracony powiększał widoki Habsburga.

W takim stanie rzeczy wojewoda Tęczyński i Jan Zamoyski wpadli na śmiały pomysł pokrzyżowania planu senatorów przez ogłoszenie królową siostry Zygmunta Augusta, Anny Jagiellonki. Królewna, jako ostatnia gałązka domu Jagiellonów, miała pomóc do zwycięstwa szlachcie, albowiem przez nią, jak wyrozumował Zamoyski, i cudzoziemiec stać się mógł „Piastem".

Wtedy to Stefan Batory, o którym niewiele mówiono na początku elekcji, wypłynął na widownię, jako kandydat do ręki Anny Jagiellonki, a zarazem kandydat do tronu. Teraz dopiero z wielką energią uchwycił się Batorego Piotr Zborowski, przemówił za księciem siedmiogrodzkim kasztelan Stanisław Szafraniec, a Jan Zamoyski na czele ziem ruskich Annę ogłosił królową, a jej mężem i królem Stefana Batorego. Inne województwa przyklasnęły tej myśli, ale nie wszystkie. Panowała zgoda, że królem nie może być cesarz, ale jedni chcieli prawdziwego „Piasta", inni ciągle jeszcze opowiadali się za Iwanem Groźnym.

Wysłano posłów do królewny.

Nieszczęsna Anna Jagiellonka w srogiej była rozterce. 54-letnia dziewica nie wiedziała, co począć, bo wojewoda wileński Mikołaj Rudy Radziwiłł, brat zmarłej królowej Barbary, krzyczał na nią, że musi wyjść za mąż za syna cesarskiego, arcyksięcia Ernesta, a szlachta wołała, że rękę swą ma oddać Batoremu. Odpowiadała na to, że we wszystkiem chce być posłuszna wyrokowi Boga i woli Rzeczypospolitej.

Wreszcie dnia 14 grudnia, a więc w dwa dni po ogłoszeniu królem Maksymiljana, marszałek koła rycerskiego, Mikołaj Siennicki Annę Jagiellonkę i Ste-

fana Batorego ogłosił królową i królem. Nikt już nie protestował, a rozgłośne wiwaty świadczyły, że szlachta rada jest z wyniku elekcji.

Zdumieli się senatorowie, nie wiedząc, jak się zachować, co czynić. Tymczasem stronnicy Batorego postanowili odwołać się do głosowania powszechnego w całej Rzeczypospolitej. Za radą Zborowskiego przyrzeczono sobie pod gardłem, wiarą i poczciwością stać wiernie przy swobodach Rzeczypospolitej i nie odstępować od sprawy Anny i Batorego. Pod utratą czci nakazywano całej szlachcie stawić się zbrojno 18 stycznia 1576 roku w Jędrzejowie, tak, aby wszyscy, co nie brali udziału w elekcji, mogli głosy swe oddać [1]). Zamoyskiemu polecono ułożyć uchwałę elekcyjną, a wojewodowie Zborowski, Tęczyński i Tarło wysłali list do cesarza, ostrzegając go, że jeśli wbrew woli szlachty o tron kusić się będzie, to wielki pożar wojny domowej rozpali.

Ze swej strony zwolennicy cesarscy wysłali do Wiednia poselstwo, wzywając Maksymiljana do objęcia rządów. Jednocześnie domagali się od Anny, by zrzekła się tronu, gdyż inaczej w całym kraju wywoła rozruchy. Batorego przestrzeżono, aby nie narażał się cesarzowi i zarówno na siebie, jak na Polskę nie ściągał nieszczęścia.

Miała tedy dwóch królów Rzeczpospolita, a żaden prawnie nie został wybrany. Oddanie korony Maksymiljanowi oznaczało zwycięstwo senatu, spychało szlachtę z tego stanowiska, na jakie po śmierci Zygmunta

---

[1]) Od udziału w zjeździe wyłączono Wołyń, Podole i województwo bracławskie, a to z powodu obaw przed napadami Tatarów.

Augusta dźwignął ją genjusz Zamoyskiego. Zwycięstwo Batorego było zwycięstwem szlachty, ale narażało Rzeczpospolitą cesarzowi, wywoływało niełaskę papieża i spowodować musiało zbrojny zatarg z zaborczem państwem moskiewskiem. U granic Rzeczypospolitej stawało niebezpieczeństwo zewnętrzne, a wewnątrz piętrzyły się idące ku sobie fale przeciwieństw i namiętności.

Ale tym trudnościom miał stawić czoło mąż niepospolitego rozumu i żelaznej woli, znakomity wojownik i wielki statysta.

Takim bowiem mężem był książę siedmiogrodzki, Stefan Batory.

II.

STEFAN BATORY.

Ogłoszony przez szlachtę królem książę siedmiogrodzki, Stefan Batory, przeszedł twardą szkołę życia. Wypiastowały go klęski i nieszczęścia rodzimego kraju, zahartowało cierpienie, wyniosły na widownię dziejową burze, szalejące w jego nieszczęsnej ojczyźnie. Oczyma wczesnej młodości przyglądał się wydarzeniom, które wstrząsały piękną ziemią węgierską, stojącą w płomieniach ciągłych wojen, najeżdżaną ustawicznie przez wojska tureckie, to tratowaną przez żelazne zastępy cesarza.

Urodzony 28 września 1533 roku w rodzinnej majętności Somlyo, z matki Anny Katarzyny Thélegdy, córki podskarbiego korony węgierskiej, chował się w murach zamku, który jako warownia przepełniony był ludem zkrojnym a rozbrzmiewał nieustannie zgiełkliwą wrzawą obozu. W zaraniu swego życia słyszał wszędzie chrzęst zbroic i szczęk oręża, przyglądał się marszom i obrotom żołnierskim, wyrastał w atmosferze, przesyconej gorącym oddechem wojny. Wychowanie przygotowywało chłopca do czynów rycerskich, a skrzydła płomiennej wyobraźni unosiły go w wir

bitew, na pola krwi, śmierci i sławy. Wcześnie, bo mając lat piętnaście, wyruszył po raz pierwszy na wyprawę przeciw Turkom, a okrutna rzeczywistość nie zdołała zachwiać rycerskiem usposobieniem chłopca. Widocznie wojna była jego żywiołem, bo historyk węgierski świadczy, że już w czasie tej wyprawy „wszelką służbę obozową wiernie odbywał, objeżdżając stanowiska, staczając potyczki, znosząc wszystkie trudy zwyczajem żołnierskim".

Natura szczodrze obdarzyła przyszłego króla.

Bystry, żywy, wytrwały, tchnący krzepkością, urodą i zdrowiem, ciekawemi oczyma rozglądał się po świecie, interesował się wszystkiem, a dużo chciał wiedzieć, bo z tą samą ochotą, z jaką rwał się do szabli, garnął się do książek. Uczył się pilnie, wiele czytał, studjował, rozmyślał. Wyniósłszy z lat młodych zamiłowanie do wojaczki i nauki, przez całe życie z jednakim zapałem oddawał się wojnie i książkom. Zczasem też zasłynął szeroko nie tylko jako znakomity wojownik, ale również jako mąż światły i wykształcony, opiekun nauk i przyjaciel ludzi uczonych. Batory kochał się szczególniej w historykach rzymskich, a Juljusz Cezar był ulubioną jego lekturą.

Rodzina Batorych odgrywała na Węgrzech rolę wybitną i zasłużoną cieszyła się sławą. Historyk węgierski Wolfgang de Bethlen wywodzi Batorych od króla panońskiego Batho, który się wsławił walecznością i śmiałym czynom wojennym zawdzięczał swe nazwisko: *bàthor* znaczy po węgiersku odważny. W XIII i XIV stuleciu ród Batorych rozpadł się na kilka gałęzi. Król Stefan pochodził z linji Batorych de Somlyo, tytułujących się tak od zamku, będącego w ich posiadaniu. Pradziad, dziad stryjeczny i ojciec Stefana

piastowali godność wojewodów siedmiogrodzkich, a wszyscy wsławili się czynami wojennemi. Pradziad z królem polskim i węgierskim Władysławem wyruszył na wojnę przeciw Turkom i poległ bohatersko pod Warną. Dziad stryjeczny odniósł nad Turkami świetne zwycięstwo w r. 1479 w niesłychanie krwawej, ale klęskowej dla najeźdźców rozprawie. Ojciec zasłynął w wojnie domowej, która w ciągu półwiecza srożyła się na ziemi węgierskiej, a śród której wzrastał i do męskiego wieku doszedł przyszły król polski.

Przyczyny tej wojny, co w skutkach swych miała wynieść Stefana na księcia Siedmiogrodu, a następnie na tron polski wprowadzić, tkwiły w polityce domu rakuskiego, w jego intrygach i podstępach, równie groźnych dla Węgrów, jak i dla Polaków, a z dziejami obu narodów związanych w jeden przedziwnie splątany węzeł, w którym zduszona została niepodległość Węgier.

W roku 1526 w nieszczęśliwej bitwie z Turkami pod Mohaczem poległ król węgierski Ludwik Jagiellończyk. Na mocy układu, zawartego w Wiedniu w roku 1515, pomiędzy cesarzem Maksymiljanem, królem polskim Zygmuntem I i bratem Zygmunta, Władysławem Jagiellończykiem, królem czeskim i węgierskim, korona węgierska dostała się arcyksięciu Ferdynandowi, ożenionemu z siostrą poległego pod Mohaczem Ludwika.

W ten sposób dom rakuski, skutkiem chytrze zawartego w swoim czasie małżeństwa, wydarł Jagiellonom korony czeską i węgierską, a zkolei zarzucał zdradzieckie sieci na Polskę. Ciągłemi knowaniami, to z zakonem krzyżackim, to z Moskwą, to znowu później z kozakami, to intrygą i przekupstwem, to swa-

taniem królom polskim arcyksiężniczek, a zawsze za pomocą polityki obłudnej i przebiegłej, dążyli Habsburgowie do osłabienia Rzeczypospolitej lub do zagarnięcia jej pod swoje berło. Szlachta polska zdawna widziała w cesarzu podstępnego wroga, a w czasie dwóch ostatnich elekcyj wymownie manifestowała swą nienawiść do potężnej a zdradzieckiej dynastji. I szlachta węgierska, tą samą nienawiścią darzyła dom rakuski. Więc gdy w roku 1526 arcyksiążę Ferdynand chciał zająć tron węgierski, znaczne stronnictwo możnych panów i szlachty węgierskiej, nie uznając w Ferdynandzie swego monarchy, wybrało królem walecznego Jana Zapolyę, hrabiego na Śpiżu i Trenczynie, dzielnego wojownika, reprezentującego interes narodowy Węgrów [1]). W ten sposób mieli Węgrzy dwóch królów: Ferdynanda i Jana. Obaj królowie wystąpili przeciw sobie zbrojno i rozpoczęli wojnę, która z małemi przerwami toczyła się z górą lat czterdzieści, gdyż po śmierci Ferdynanda i Jana nie przestali z sobą walczyć ich następcy.

Zapolya, poniósłszy stanowczą klęskę pod Tokajem, nie złożył broni, lecz w najwyższej rozpaczy zwrócił się przez Polaka Hieronima Łaskiego do Turcji z prośbą o pomoc przeciw Ferdynandowi. Ale wielki wezyr oświadczył Łaskiemu ku jego największemu zdumieniu, że królestwo węgierskie jest własnością sułtana, że Zapolya wtedy tylko liczyć może na poparcie, gdy uzna się hołdownikiem Turcji i będzie

---

[1]) Zapolya ożeniony był z Izabellą Jagiellonką, rodzoną siostrą Zygmunta Augusta, król zaś polski Zygmunt I miał za pierwszą żonę Barbarę Zapolya, córkę wojewody siedmiogrodzkiego Stefana Zapolyi.

wrogiem wrogów oraz przyjacielem przyjaciół sułtana. Łaski zdołał wyjednać dość łagodne warunki hołdownictwa, ale rozpaczliwy krok Zapolyi sprowadził straszliwe dla Węgier następstwa. Ostatecznym rezultatem tego wmieszania się Turcji do wojny domowej było rozdarcie Węgier na trzy części: turecką, austrjacką i narodową w Siedmiogrodzie.

Siedmiogród do roku 1540 należał do korony węgierskiej, a rządzili nim wojewodowie z ramienia króla węgierskiego. W roku 1540 kraj ten, oderwany od Węgier, przeszedł pod zwierzchnictwo sułtana, aczkolwiek cesarze, jako królowie węgierscy, nie wyrzekali się do Siedmiogrodu pretensyj i gdy wypadki wojenne na to pozwalały, w dalszym ciągu mianowali swoich wojewodów. W roku 1548 Siedmiogród wyłamał się z pod zwierzchnictwa Turcji i na mocy umowy z Izabellą, matką Jana Zygmunta Zapolyi, przeszedł pod władzę Ferdynanda. Ten krok miał rozpocząć wojnę z Turcją. Ale Ferdynand nie umiał wykorzystać sprzyjających okoliczności i przeciw Turcji nie wystąpił. Po kilku latach do władzy w Siedmiogrodzie przyszła Izabella — i walka między Ferdynandem a młodym Zapolyą zaczęła się na nowo. Dopiero w roku 1570 układy, pomiędzy Maksymiljanem a Janem Zygmuntem Zapolyą doprowadziły do zgody przeciwników i zakończyły „wojnę dwóch królów”. Zapolya zrzekł się tytułu króla węgierskiego wzamian za oddanie mu Siedmiogrodu, jako księstwa. W razie jego bezpotomnej śmierci siedmiogrodzianie mieli obrać sobie następcę. Jan Zygmunt otrzymał tytuł księcia dziedzicznego Transylwanji (*Serenissimus Princeps Transylvaniae*), ale przystał na tajemny układ, że gdyby umarł bezpotomnie, to jego następca uzna się wojewodą, zale-

żnym od cesarza. Był to warunek straszliwy, bo między cesarzem a sułtanem, uznającym się za zwierzchniego władcę Siedmiogrodu, stale panowała nieprzyjaźń. Zbliżenie się do Turcji wywoływało łatwo zrozumiałą podejrzliwość cesarza, a przyjazne stosunki z cesarzem mogły każdej chwili rozpalić gniew sułtana i zmieść z widowni świata małe, nie mogące się bronić własnemi siłami książstewko.

Śród ciągłych burz i zmian, wstrząsających krajem rodzimym, wzrastał Stefan Batory.

Wysłany w szesnastym roku na dwór króla Ferdynanda, poznał się z życiem dworskiem, zajrzał w tajniki dyplomacji, zetknął się z dostojnikami, co wpływali na losy Europy. Wyróżniony przez króla, towarzyszył do Włoch córce jego Katarzynie [1]), zaślubionej w roku 1549 księciu Mantui. Znajdował się również w orszaku Ferdynanda, gdy ten wyruszył na sejm do Augsburga. Wielki prąd reformacji przenikał wówczas całą Europę. Batory, wychowany w zasadach katolicyzmu, przebywając na wybitnie katolickim dworze Ferdynanda, umocnił się w rzeczach wiary i acz miał wyrozumienie dla innych wyznań, pozostał gorliwym katolikiem rzymskim.

Kilka lat życia dworskiego wyposażyły go w doświadczenie. Wyuczył się dobrze języków niemieckiego i włoskiego, a poznanie obcych krajów, praw i urządzeń, bliska styczność z mężami stanu, rozszerzyły jego widnokręgi myślowe, dały mu znajomość ludzi i świata, ugruntowały w nim pogląd na nieszczęśliwe położenie własnej, rozdartej ojczyzny.

---

[1]) Katarzyna, zostawszy wdową, wyszła później za mąż za Zygmunta Augusta.

Powróciwszy do rodzinnego zamku w Somlyo, zaczął marzyć o zjednoczeniu Węgier i wyzwoleniu ich z pod obcej przemocy. Mianowany przez Jana Zygmunta Zapolyę starostą Waradynu, czekał okazji, by swój talent i swą energję oddać na usługi ojczystego kraju. Nie czekał długo, bo czasy były niespokojne i wojska cesarskie raz wraz naruszały granice Siedmiogrodu. Batory miał się na baczności. Zamiłowany w sztuce wojennej, wiele uwagi poświęcał artylerji. Miał ją nawet ulepszyć przez wynalazek kul ognistych, przydatnych szczególniej w wojnie oblężniczej. Wyniesiony przez Jana Zygmunta na naczelnego wodza wojsk siedmiogrodzkich, mężnie i wytrwale odpierał najazdy wojsk austrjackich. W bitwie pod Kereki dostał się do niewoli, pod Hadad otrzymał ran kilka, ale wyleczył się niebawem i znowu wyruszył na plac boju. Powagą swoją powstrzymywał samowolne napady pogranicznych Turków, których ujmował podarkami lub straszył, groźnie potrząsając mieczem.

W roku 1564 umarł Ferdynand.

Cesarzem i królem węgierskim został syn Ferdynanda, Maksymiljan II, ten sam, któremu prymas Uchański wraz z senatorami chciał później oddać tron polski. Gdy wojska Maksymiljana naruszyły granice Siedmiogrodu, Jan Zygmunt Zapolya porwał się do walki i wznowił swe pretensje do tytułu króla węgierskiego. Rozpętała się na nowo „wojna dwóch królów węgierskich". W tej wojnie wsławił się Batory, stając po stronie Zapolyi. Zdobył fortelem warownię Szatmar, wziął zbrojną ręką zamki Wielką Banię i Hadad, pociągnął za sobą wielu panów, dzięki czemu cała połać kraju aż po Koszyce przeszła pod władzę Jana Zygmunta. Gdy jednak Maksymiljan wojnę wy-

powiedział Janowi, jako sprzymierzeńcowi sułtana i, nadając jej charakter wojny świętej, uzyskał poparcie papieża, Jan Zygmunt wyraził chęć zawarcia pokoju. Do Wiednia wyruszyło poselstwo ze Stefanem Batorym na czele. Rozpoczęte układy wróżyły wynik pomyślny. Lecz Jan Zygmunt, otrzymawszy za sprawą Gaspara Bekiesza zapewnienie pomocy sułtańskiej, przesłał swemu posłowi do Wiednia nowe a znacznie zmienione żądania. Batory, posłuszny instrukcji, zaczął się domagać zwrotu zamków i tytułu króla oraz pełni władzy dla Jana Zygmunta.

Maksymiljan, do żywego urażony takim obrotem sprawy, rozkazał niepraktykowanym zwyczajem uwięzić Batorego.

Wojna wybuchła na nowo.

Na pomoc Zapolyi wyruszył z wielkiem wojskiem sułtan Soliman, jako opiekun i protektor Jana Zygmunta. Na szczęście dla cesarza, Soliman umarł w obozie, a następca jego Selim II okazał usposobienie pojednawcze. Narzuciwszy Maksymiljanowi upokarzające warunki, zawarł z nim ośmioletnie zawieszenie broni. Kosztem zwrotu zagarniętych zamków i haraczu, wynoszącego 30.000 dukatów rocznie, uzyskał cesarz upragniony pokój.

Następstwa tej wojny fatalne były dla Węgier. Potęga turecka umocniła się na ziemiach węgierskich aż po Dunaj i Cisę, miasta, twierdze i zamki leżały w gruzach, cały kraj wyniszczony przedstawiał jedno olbrzymie rumowisko. Po tak strasznych doświadczeniach Maksymiljan i Jan Zygmunt zawarli wspomniany już układ, który zakończył wojnę „dwóch królów”, a który zawierał ów tajemny a niebezpieczny dla przyszłości Siedmiogrodu warunek, opiewający, że w razie

bezpotomnej śmierci ostatniego Zapolyi, następca jego uzna się lennikiem cesarza. Była to stała a dobrze już wypróbowana metoda Habsburgów. Spekulowali na ożenku, na śmierci, na bezdzietności, wdzierali się w stosunki rodzinne, przenikali tajemnice małżonków, a każde nieszczęście umieli wyzyskać na swą korzyść. Zbieg okoliczności sprzyjał przebiegłej dynastji. Cesarze rośli krzywdą sąsiednich ludów, ich kosztem rozszerzali swoją potęgę, tuczyli się ich nędzą, nieszczęściem, niewolą.

I tym razem nie zawiodły Maksymiljana jego szachrajskie przewidywania.

W roku 1571 umarł bezpotomnie w 31-ym roku życia Jan Zygmunt Zapolya: Siedmiogród, stosownie do zawartego układu, stać się miał lennym krajem cesarskim, chociaż oddawna rozciągała nad nim swe zwierzchnictwo Turcja. Wytwarzało to dla małego księstwa położenie nad wyraz trudne, ale właśnie na dwuznaczności tego położenia opierał Maksymiljan swe na przyszłość rachuby.

Teraz dopiero na szerszej widowni dziejowej miał się ukazać Stefan Batory.

Ostatnie lata wojny, lata tak obfite w wielkie dla Węgrów wydarzenia, spędził on w niewoli cesarskiej. Trzymano go w Wiedniu pod strażą. Zczasem uzyskał tyle swobody, że pod ścisłym nadzorem mógł chodzić po mieście, zwiedzać zabytki i pamiątki stolicy cesarskiej, a nawet bywać u wybitniejszych osobistości. Mając wiele wolnego czasu, uzupełniał swe wykształcenie, czytał dużo wybornych książek, studjował przeszłość i zastanawiał się nad przyszłością. Być może, że wtedy w głowie jego skrystalizowały się wielkie idee, na które padał blask genjuszu, rozkuwa

jącego więzy własnej ojczyzny. Być może, że wtedy powziął wielkie plany, którym do końca życia pozostać miał wiernym, a któremi poruszył zczasem Europę. Lecz przymusowa bezczynność musiała jego mężne serce okropną przenikać goryczą. Ważyły się losy ojczystego kraju, ziemia węgierska stała w płomieniach najstraszliwszej wojny, ociekała krwią, a on, jeniec cesarski, on wódz i żołnierz, mógł tylko zdala przysłuchiwać się echom gromów wojennych, z zapartym tchem śledzić przebieg bitew, a zarazem patrzeć bezsilnie na straż cesarską, stojącą czujnie u progu jego więziennej komnaty. Przebył wtedy nową szkołę cierpienia. Lecz to cierpienie nie zagasiło w nim woli, rwącej się do wielkiego czynu. Odzyskawszy wolność, opuścił Wiedeń, uzbrojony w niezłamaną moc ducha, doświadczeńszy, cierpliwszy i pewniejszy siebie.

Zgon bezdzietnego Zapolyi miał mu otworzyć nowe pole działania.

Sejm konwokacyjny, zebrany w Białogrodzie, uchwalił elekcję na dzień 17 maja 1571 roku. Wyboru księcia miał dokonać sejm elekcyjny, który składał się nie z ogółu szlachty, jak w Rzeczypospolitej Polskiej, lecz z posłów, których komitaty wysyłały w liczbie dziesięciu, a tak zw. stolice saksońskie w liczbie sześciu. Obronę granic powierzono starszemu bratu Stefana Krzysztofowi, a w razie wtargnięcia wrogów postanowiono zwołać pospolite ruszenie.

Dwóch kandydatów miało największe widoki otrzymania berła książęcego: Gaspar Bekiesz, przeciwnik rodziny Batorych i Krzysztof, brat Stefana, cieszący się, jako wódz wielką śród rodaków sławą. Jakoż na Krzysztofa padła większość głosów. Ale elekt, z po-

wodu steranego zdrowia odstąpił swe głosy młodszemu bratu, a sejmujące stany mile to przyjęły.

Zalecała Stefana sława wojenna, przemawiały za nim młodość, zdrowie, wspaniała postać i ujmująca serca prostota, przez którą przecież przezierał majestat powagi iście królewskiej, powagi, co budziła podziw, szacunek, pociągała a zarazem kazała trzymać się w pewnem oddaleniu.

Nowy książę wykonał natychmiast przysięgę na konstytucję państwa i rozpoczął swe rządy.

Batory rozumiał doskonale, jak niebezpiecznym sojusznikiem jest sułtan i równie dobrze wiedział, czego spodziewać się może po cesarzu. Węgry, napierane przez dwie potęgi, nie mogły dźwignąć się same, nie miały dość sił, by jednym zamachem wyzwolić się z pod przewagi cesarskiej i zrzucić jarzmo sułtana. Siedmiogród, który stał się teraz kolebką narodową Węgrów, pilnie był strzeżony przez obu mocarzy, a nierozważny krok ze strony siedmiogrodzian mógł każdej chwili przesądzić los kraju. Wprawdzie rywalizacja między sułtanem a cesarzem wprowadzała do wzajemnych stosunków pewną równowagę, zabezpieczającą księstwo przed zakusami obu sąsiadów, ale polityka na tej rywalizacji oparta, była drogą krętą, śliską, pełną wilczych dołów i zdradliwych przepaści. Maksymiljan trzymał w zanadrzu tajemny układ, zawarty z Janem Zygmuntem. Odrzucenie tego układu narażało nowego księcia cesarzowi, stawiało Batorego w niebezpiecznem położeniu otwartej wojny, mogło spowodować tysiączne intrygi, w które obfitował Wiedeń, a które prowadziły do zamieszek wewnętrznych i burzy domowej. Zastosowanie się do układu oddawało Stefana na łaskę i niełaskę cesarza, który w każ-

dej chwili mógł otworzyć karty i skompromitować księcia w oczach sułtana. Prawda, że w ten sposób kompromitował i siebie, ale wszystko zależało od okoliczności, a nie po to przecież wymógł na Zygmuncie ów tajemny warunek, by nigdy go nie wykorzystać.

Wobec dwóch niebezpieczeństw, Batory wybrał mniejsze, bo przynajmniej nie zaraz prowadziło do zatargu z cesarzem. Wykonał tedy przysięgę na wierność Maksymiljanowi, zgodził się na jego skinienie złożyć swą godność, ale zarazem wskazywał, że przez wzgląd na Turcję należy zachować pozory zupełnej od cesarza niezależności. W myśl tego prosił, aby od jego wyroków nie wolno było nikomu apelować do Wiednia, aby wypadki, w których może nastąpić złożenie go z urzędu, z góry zostały przewidziane. Cesarz chciał w nim widzieć tylko swego sługę, ale sam lękając się Turcji, spełniał niektóre życzenia. Srożył się jednak, gdy Batory występował, jako panujący, gdy słał posłów za granicę i tytułował się księciem. Nie mogąc jawnie przeciw temu występować, a nienawidząc Batorego, knuł ciemną intrygę i cudzą ręką minę wybuchową zakładał pod tron swego lennika.

Sułtan Selim postępował szczerzej. Zatwierdziwszy wybór Stefana, przysłał mu chorągiew, berło, miecz, mitrę książęcą, bogate dary i pysznego konia ze wspaniałym rynsztunkiem. Ponadto przyrzekł księciu swą ojcowską opiekę i pomoc zbrojną, gdyby został zaczepiony przez wrogów.

Batory pragnął zająć się urządzeniem zrujnowanego księstwa. Uczony mąż, widząc upadek szkół i niski poziom oświaty, spowodowany ciągłemi wojnami, pomyślał przedewszystkiem o podniesieniu uczelni,

które niegdyś w kwitnącym znajdowały się stanie. Ale nie zdołał uskutecznić zamiarów, bo skutkiem intryg cesarza ambitny a niefortunny kandydat do tronu, Bekiesz porwał się do broni.

Teraz Maksymiljan narzucił się z pośrednictwem.

Ale Stefan odesłał komisarza cesarskiego z niczem, a przeciw Bekieszowi wystąpił zbrojno i żelazną ręką bunt stłumił. Wojska Bekiesza, napadnięte nad rzeką Marosz, poniosły stanowczą klęskę, sam Bekiesz uciekł z kraju, a ważniejsi jego wspólnicy wyrokiem sądu sejmowego skazani na śmierć i konfiskatę majątków, pod mieczem katowskim utracili głowy.

Maksymiljan wyparł się wszelkiego udziału w buncie Bekiesza, ale Batory wiedział, co o tem sądzić. Ten bunt drogo go kosztował, bo Turcja, acz nie myślała popierać buntownika, skorzystała z zamieszek, by skrępować swego wasala i podwyższyć mu haracz.

Batory miotał się, jak lew ujęty w sieci. Wtłoczony pomiędzy dwie potęgi, w obu widział wrogów nieprzejednanych, śmiertelnych. W głębi swej duszy nienawidził Turków, którzy łupieską polityką uciskali wielki szmat jego ojczyzny, a Siedmiogrodowi dyktowali swą wolę. Rad byłby przechylić się na stronę cesarza, zostać wodzem wojsk jego, uzbroić całe Węgry, poprowadzić je na wojska sułtańskie i Turcję, której potęga zagrażała światu chrześcijańskiemu, wyzwać do boju na śmierć i życie.

Podwójny lennik, świeżo-wyniesiony pan małego księstwa, zapłonął do tej wielkiej idei, dniem i nocą o niej myślał, dla niej pracował w skrytości swego serca, na niej osnuł plan wyzwolenia Węgier, o niej marzył, nią żył. Opowiadał później nuncjuszowi papieskiemu, że „nie miał innego celu, jak chwycić za

broń dla chwały Bożej i zyskać dla swego imienia nieśmiertelność" w walce z Turkami.

Był czas, gdy mu się zdawało, że dla wielkiej sprawy zjednać może cesarza Maksymiljana. Przedstawił mu listownie swe śmiałe plany, sądząc, że urzędowy obrońca świata chrześcijańskiego, sam nieustannie przez Turków zagrożony, sam opłacający sułtanowi hańbiący haracz, zapali się do jego idei, rozwinie swe wpływy, zyska pomoc innych dworów chrześcijańskich i uwolni swe państwa od strasznego wroga. Ale Maksymiljan chciał zgnębić Batorego. Zamiast oczekiwanej od cesarza pomocy, książę siedmiogrodzki najstraszniejszego doznał zawodu. Chytry Habsburg ujawnił przed Portą tajny układ, który czynił Batorego cesarskim lennikiem, a później przesłał do Konstantynopola kilka listów Stefana, które obnażały jego plan uwolnienia Węgier z pod jarzma tureckiego.

Batory musiał tłumaczyć się przed Portą. Na szczęście, miał na dworze sułtańskim kilku przekupnych baszów, którzy za pieniądze ułatwili mu odzyskanie kompromitujących listów. Ale od tej pory powziął najgłębszą nieufność do cesarza, wiedząc, że z jego strony liczyć może tylko na najczarniejszą zdradę, że ma w nim stokroć fałszywszego wroga, niż w sułtanie.

— „Bóg sam wie, ile mnie kosztowała przyjaźń Maksymiljana, zdradliwego monarchy", — powiedział później.

Lecz myśli swej nie porzuca. Stara się niczem nie drażnić sułtana, okazuje Turcji uległość i przyjaźń, usypia czujność Porty, zdobywa jej zaufanie do tego stopnia, że sułtan zaleca wybór jego Polakom. Jednocześnie przecież rozgląda się po świecie, marzy o sojuszu z Polską i Francją, bada ostrożnie grunt, uczy

się być przebiegłym, cierpliwym, czeka okazji, by mieczem błysnąć przed oczyma sułtana i zwalić z Węgier jego hańbiące zwierzchnictwo. Czuje się powołanym do wielkich przeznaczeń, ma wolę, ma żelazną wytrwałość, ma wiarę, że do celu dojdzie.

Myśli o sojuszu z Francją i Polską. Czyni obiecujące pomyślny skutek starania, by spowinowacić się z rodziną królewską we Francji, a w Polsce, z którą Węgry łączą dawne stosunki, jedna sobie stronników.

Po ucieczce Walezego wszystkie jego myśli skupiają się na Polsce.

I potężna Rzeczpospolita musi liczyć się z Turcją, i Rzeczpospolitą opasują zewsząd intrygi domu rakuskiego. Niema pomiędzy Węgrami a Polską sprzecznych interesów, są natomiast tradycje wspólnej walki z Turcją, są węzły, które oba narody zbliżają do siebie i wskazują tę samą drogę przeznaczenia.

Batory zaczyna starać się o koronę polską, lecz rozumie dobrze, że niema widoków jej otrzymania.

Tron polski trzeba kupić, a on, szlachcic węgierski, od niedawna książę, lecz wasal dwóch monarchów, nie może mierzyć się bogactwem z wielu magnatami polskimi, którzy w ogromnych swych posiadłościach liczą wsie na tysiące, miasta na setki, dochody na miljony. Nie może również zaimponować starożytnością rodu, a choć zaleca go tęgi charakter i sława wojenna, rozumie, że to nie wystarcza, by zasiąść na sławnym tronie Jagiellonów. Pomimo to nie zwraca uwagi na gniew cesarza, pozornie nawet oddaje mu pierwszeństwo, ale czyni ze swej strony wszystko, by nie dopuścić Habsburga do panowania w Polsce. Wie dobrze, że korona polska na skroniach cesarza, to ostatnia godzina dla niezawisłości

Siedmiogrodu, to grób dla narodu węgierskiego. Księstwo siedmiogrodzkie, osaczone zewsząd posiadłościami cesarskiemi, byłoby w końcu bądź do tych posiadłości włączone, bądź skutkiem rywalizacji cesarza z sułtanem, stałoby się zwykłą prowincją turecką. A koniec Siedmiogrodu, to śmierć Węgier, to zgon wszelkiej na przyszłość nadziei.

Wspierany przez Zborowskich, którzy za swe usługi otrzymują znaczne pieniądze, Stefan działa przezornie, ostrożnie, nie występuje w Polsce z obietnicami, którychby nie mógł spełnić, przedewszystkiem jednak myśli o tem, jakby pokrzyżować zabiegi cesarza. Uważa chwilę za tak ważną, że stawia na kartę swą głowę, wysyła do Polski agenta Polaka Filipowskiego i przez niego prosi sekretnie przyjaciół, by czynili wszystko, aby koronę polską oddać Iwanowi Groźnemu. Wiedząc, że car ma dużą śród szlachty popularność, stara się wzmocnić jego widoki wspaniałą perspektywą, którą rozsnuwa przed oczyma rycerskich Polaków. Rzuca ideę rozgromienia Turcji. Obiecuje tajemnie, że gdy Iwan zasiądzie na tronie, on, Batory, natychmiast porozumie się z hospodarami Mołdawji i Wołoszczyzny, wystawi wspólnie z nimi 100.000 jazdy, która wraz z wojskiem połączonych państw Polski i Moskwy wyruszy natychmiast przeciw Turcji i skończy z potęgą sułtana.

Interes Rzeczypospolitej łączy się w umyśle Batorego z najżywotniejszym interesem Węgier, dla których chce żyć i umierać. Jeśli sam myśli o koronie polskiej, to dlatego, że ta korona nie przeszkadza mu być najżarliwszym patrjotą węgierskim, wrogiem cesarza i wrogiem sułtana. Nie mając przecież wielkiej nadziei, popiera cara, a czyni to w sposób trafny,

świadczący o doskonałem zorjentowaniu się w nurtujących Polskę prądach i w nastroju umysłów szlacheckich.

Zabiegi jego ocenia należycie Dudycz, najżarliwszy agent cesarza, przerażony śmiałością planów Batorego.

— „Jeśli się to rozgłosi,—donosi Maksymiljanowi,— to stronnictwo moskiewskie śród szlachty wzrośnie ogromnie"...

Na pociechę dodaje:

— „Ale się zgubi człowiek niepomny swych obowiązków!"

Nie sprawdziła się złowróżbna przepowiednia.

Nie zgubił się Stefan, choć prawdopodobnie, jak większość szlachty polskiej, nie widział, że car żywi tak wrogie względem Rzeczypospolitej zamiary, iż nawet jego wybór zamiarów tych nie zmieni, że wreszcie Iwan nie jest monarchą, któregoby wielka idea, pełna niebezpieczeństw i trudów, mogła sama przez się porwać i zapalić. W inną stronę skierowana była uwaga i drapieżność carska, w innym kierunku gotował się Iwan Groźny uderzyć.

Niespodziewanie dla Europy głos szlachty polskiej skromnego księcia Siedmiogrodu powoływał do tronu.

Wiadomość o tem do głębi duszy musiała wstrząsnąć Batorym. Iściły się jego złote marzenia, otwierały się przed nim wrota najświetniejszej przyszłości, ukazywała się jego oczom błyszcząca droga sławy nieśmiertelnej. Pozostając wiernym narodowi polskiemu, mógł rozpocząć gigantyczną pracę, by zmienić postać rzeczy w Europie, rozgromić Turcję, zabezpieczyć pokój chrześcijaństwu i rozkuć kajdany swej nieszczęśliwej ojczyzny. Wasal cesarza i wasal sułtana, miał stanąć w ich obliczu, jako niezależny monar-

cha, król wielkiego państwa, wódz zbrojnych zastępów sławnego w świecie rycerstwa. Wielbiciel Juljusza Cezara, rycerz, miłujący sławę, mógł teraz śmiało myśleć o dokonaniu czynów heroicznych, o związaniu imienia swego z pomnikami dzieł wiekopomnych, wyrąbanych ciosami jego nieugiętej woli.

Batory nie wahał się, co mu czynić wypada.

A trzeba było mieć niezłomną wiarę w siebie, aby w istniejących okolicznościach wyciągać ręce po koronę.

Do tronu polskiego prowadziła droga, najeżona olbrzymiemi trudnościami: zagradzał ją cesarz, zasłaniali ją butni możnowładcy polscy, stawało wpoprzek duchowieństwo z prymasem Uchańskim na czele. Przeciwne były Batoremu stojące za cesarzem Prusy, przeciwna była mu Litwa. Ale wielki zjazd szlachty w Jędrzejowie, potwierdził wybór, a Stefan śmiało patrzał w oczy niebezpieczeństwom, umiał przeszkody łamać siłą, do celu iść przebojem. Nadaremnie cesarz Maksymiljan prosił go, aby zrzekł się nieprawnie ofiarowywanej mu korony, nadaremnie próbował przekupić go odstąpieniem Siedmiogrodowi kilku zamków węgierskich, a wkońcu nadaremnie gniewał się i ciskał groźbami. Nic również nie pomogły zabiegi prymasa, który, stojąc uparcie przy cesarzu, powiadał, że woli gardło utracić, niż odmienić swe zdanie. Batory był nieugięty. Nie zmiękczyły go prośby, nie zastraszyły pogróżki. Przyjaciołom, gdy mu przedstawili wszystkie trudności i niebezpieczeństwa, odpowiedział stanowczo:

— „Tego królestwa mi ofiarowanego nie popuszczę, choćbym trzy dni tylko miał chodzić w koronie”...

O wolę jego, jak o skałę z granitu rozbijały się wszelkie perswazje i wątpliwości otoczenia.

Innym razem, zajęty przygotowaniem do odjazdu, przypomniał sobie ulubionego Cezara i rzekł:

— „Kość już rzucona. Bóg chce cudowne rzeczy na mnie pokazać ku podziwowi całego chrześcijaństwa”...

Rozpłomieniony wielką ideą, niezłomny i nieustraszony, czynił wszystko, by stawieniem się w Polsce uprzedzić swego rywala.

Nie okazał takiej stanowczości cesarz Maksymiljan. Sprawa wymagała pośpiechu, a cesarz wahał się, zwlekał, namyślał, to proponował posłom polskim zamiast siebie arcyksięcia Ernesta, to targował się o *pacta conventa*, to czynił dwuznaczne zastrzeżenia, by, w myśl tradycyjnej polityki swych poprzedników, móc później nie dotrzymać zaprzysiężonych narodowi warunków.

Tymczasem Batory szybko regulował sprawy siedmiogrodzkie. Nie chcąc być dłużej lennikiem sułtana, bo to uwłaczałoby powadze Rzeczypospolitej, powierzył rządy krajem bratu Krzysztofowi, a 8 lutego (1576 r.) w kościele katedralnym w Meggesz złożył uroczystą przysięgę na *pacta conventa* wobec poselstwa polskiego.

Pacta conventa, zobowiązywały nowego króla do odzyskania na carstwie moskiewskiem ziem utraconych, a obok innych ciężarów wkładały na Stefana obowiązek zaślubienia Anny Jagiellonki. Licząca 54 lata królewna nie grzeszyła wdziękami niewieściemi, nie mogła mieć powabu dla urodziwego a pełnego sił męskich rycerza. Ciężki to był warunek. Dorodny książę zżymał się na myśl o tem małżeństwie, chciał uniknąć narzuconego mu związku, ale widząc, że to rzecz nie

podobna, postanowił wkońcu poświęcić wolność osobistą i własne serce złożyć w ofierze na ołtarzu wielkiej sprawy, w którą, jak w przewodnią gwiazdę swego życia, utkwione miał oczy.

Jechał do Polski na losy niepewne, jechał straszony, że rozpęta burzę, wywoła przelew krwi, ściągnie nieszczęście na siebie i na naród, który mu zaufał. Ale Batory wiedział, że kto chce dokonać dzieł wielkich, ten na wiele ważyć się musi. Więc co prędzej ukończywszy przygotowania do podróży, wyruszył w marcu 1576 r. przez Wołoszczyznę do Polski.

Kości były rzucone.

III.

PIERWSZE KROKI KRÓLA.

Niebezpieczeństwa, które przedstawiano Batoremu w Siedmiogrodzie, istotnie były bardzo poważne, ale największym sprzymierzeńcem odważnego księcia była opieszałość samego cesarza. Kraj, wyczerpany rozterką wewnętrzną, zgnębiony chaosem drugiego bezkrólewia, pragnął spokoju. Wprawdzie stronnictwo cesarskie gotowe było porwać się do wojny domowej, ale to stronnictwo było w owej chwili wojskiem bez wodza. Maksymiljan nie przyjeżdżał, a najżarliwiej popierający go prymas Uchański nie był zdolny do czynu. Biskup Karnkowski, śmiały, stanowczy a pewny siebie doradca prymasa, opuścił go, wziął udział w zjeździe jędrzejowskim, był jedynym biskupem, który połączył się ze szlachtą i bronił sprawy Stefana.

W każdym razie wielkie to było zadanie przełamać potężne stronnictwo, nakłonić je ku sobie, zjednać oporną Litwę i pozyskać stojące za cesarzem Prusy. Ale nietylko na tem polegały trudności, które piętrzyły się przed Batorym.

Cały kraj znajdował się w rozprzężeniu.

Po śmierci Zygmunta Augusta zatrwożony o swe losy naród przejawił dojrzałość obywatelską, wykazał

roztropność i dzielność. Uchwały zjazdów i sejmików tłumiły gwałt i swywolę. Ogół stał czujnie na straży ładu wewnętrznego i z szablą w ręku strzegł granic ojczystych. Ale panowanie Henryka i drugie bezkrólewie rozluźniły więzy moralne i głęboko zapuściły korzenie demoralizacji. Ten sam naród dopuścił do tego, że Tatarzy spustoszyli ziemie nadgraniczne, że w całym kraju rozpoczęły się zwady, burdy, zajazdy i łupiestwa.

Nierząd ogarnął Rzeczpospolitą.

A na tle tego nierządu wybujały ambicje królewiąt-magnatów. Intrygi cudzoziemskie, przekupstwa, układanie się na własną rękę z domami panujących o koronę polską, zachwiały równowagą głów słabych a próżnych bez granic. Urośli szczególniej panowie Zborowscy, niedawno wszechwładni faworyci Henryka, dziś dobrze zapłaceni protektorzy Batorego. Ponadto na widownię życia publicznego wystąpiły masy szlacheckie, upojone powodzeniem i rolą, jaka im przypadła dzięki wolnej elekcji. Te masy pięły się coraz wyżej, dążyły do nowych swobód i przywilejów, do ograniczenia wszelkiej władzy, nie wyłączając władzy samego króla, po którym, jako po „królu szlacheckim" spodziewały się łask wszelkich, a w którym chciały widzieć pogromcę senatu i powolnego wykonawcę swych pragnień.

W takich warunkach nie łatwo było utwierdzić się na tronie.

Ale Batory wzrósł w ogniu niebezpieczeństw, całe życie musiał wyrąbywać sobie drogę w gąszczu przeciwieństw, przyzwyczaił się łamać ludzi i okoliczności. Przygotowany na wszystko, ale wierzący niezachwianie w swe siły, z orszakiem panów węgierskich, z 600

piechoty i 1100 jazdy przekroczył granice Rzeczypospolitej.

Nad Prutem, oddzielającym Podole od Mołdawji, powitali króla panowie Sieniawscy, Hieronim, wojewoda ruski i Mikołaj, kasztelan kamieniecki, w otoczeniu pięknego pocztu rycerstwa. Nikt ze znaczniejszych senatorów nie przybył na to pierwsze powitanie. Natomiast w Śniatyniu zabiegł Batoremu drogę kanonik Solikowski, wysłany przez biskupa Karnkowskiego, który pierwszy z biskupów stanął po stronie „szlacheckiego króla”, a zatrwożył się wielce wieściami o heretyckiem usposobieniu elekta. Solikowski przywiózł pozdrowienie biskupie, ale miał na celu wybadać króla i przekonać się, co prawdy jest w rozpowszechnianych pogłoskach. Dotarłszy do Batorego, miał z nim długą dysputę i z zadowoleniem stwierdził, że nowy król, acz otoczony heretykami, jest prawowiernym katolikiem rzymskim. Uspokoił zaraz listownie Karnkowskiego, lecz w otoczeniu królewskiem wywołał najżywsze niezadowolenie.

Król jechał na Halicz, Lwów, Przemyśl, witany po drodze przez panów i rycerstwo, raz gorąco, innym razem wręcz nieprzyjaźnie (w Gródku wojewoda Mielecki rozkazał zamknąć bramy przed orszakiem królewskim), ale samą obecnością w kraju wywierał wielkie wrażenie i zdobywał sobie chwiejną opinję.

Popłoch padł na stronnictwo cesarskie. Wzywano Maksymiljana, by czem prędzej przyjeżdżał. Uchański był w opałach, bo przerzedzały się stojące przy nim szeregi, a wkrótce Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński, magnat wielkich na Litwie wpływów, a stronnik cesarza miał mu oświadczyć, że jeśli Maksymiljan zaraz nie przybędzie, to on wraz z innymi przejdzie

na stronę Batorego. Prymas trwał uparcie na swem stanowisku, ale cesarz nie myślał się śpieszyć, a jego przeciwnik zbliżał się do stolicy.

Stanąwszy d. 18 kwietnia 1576 r. w Mogile, odległej o milę od Krakowa, Stefan zatrzymał się w miejscowym klasztorze, by spędzić święta wielkanocne. Był dobrej myśli i pogodną twarz ukazywał otoczeniu. Namiętny myśliwiec, kilka dni zabawiał się nawet w pobliskich borach łowami „tak spokojnie i w tak małej asystencji,—powiada współczesny dziejopis Orzelski,—jakby mu nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo".

A tymczasem w Krakowie przygotowywano się do przyjęcia króla. Już od dłuższego czasu gościła tam zdecydowana oddać swą rękę Stefanowi Anna Jagiellonka, przybył biskup kujawski Karnkowski, przybyli senatorowie, co stali za Batorym lub opuścili już sprawę niezdecydowanego cesarza, przybyło liczne rycerstwo, by stanąć murem za swoim elektem.

Dnia 23 kwietnia (1576 r.), w drugie święto Wielkiej Nocy Batory opuścił klasztor i, otoczony przepysznym orszakiem, wyruszył do Krakowa. Dzień był jasny, słoneczny. Na powitanie króla wyjechali zgromadzeni w stolicy senatorowie, posłowie, rycerstwo, a wielu panów prowadziło ze sobą strojne a wspaniale uzbrojone poczty. Całą przestrzeń pomiędzy Krakowem a Mogiłą wypełnił lud orężny, ciekaw ujrzeć nowego króla, o którego rozumie i sławie wojennej coraz głośniej mówiono w Polsce.

Pierwsze wrażenie nie zawiodło oczekiwań.

Król jechał na skarogniadym koniu tureckim w purpurowej delji, podbitej sobolami, a na głowie miał kołpak, ozdobiony kitą piór czarnych. Okazałej marsowej postawy, o twarzy pięknej, poważnej, o oczach

bystrych, żywych, kształtny a krzepki, doskonale prezentujący się na przepysznym rumaku, od pierwszego wejrzenia jednał i cieszył serca rycerskie, odgadujące w tym wspaniałym jeźdźcu wojennego męża. Przed królem masztalerze prowadzili trzy nad podziw piękne wierzchowce. Pochód rozpoczynała królewska gwardja piesza, złożona z Węgrów i Polaków. Gwardziści, przybrani w barwę fioletową, uzbrojeni w długie arkabuzy, w proste miecze i halabardy, chłop w chłopa jak ulani, maszerujący, jak jeden mąż, budzili podziw doskonałą sprawnością ruchów i prawdziwie wojenną postawą. Za gwardją postępowała sławna piechota węgierska, przybrana w barwę jako krew czerwoną, a uzbrojona podobnie, jak gwardja. Dalej prowadzono znowu 14 pięknych wierzchowców królewskich. Wkońcu posuwała się wspaniała jazda w zbrojach z kutego żelaza, w szyszakach na głowie. Ta budziła szczególną ciekawość, bo żaden naród nie kochał się tak w koniach i nie umiał ich tak w boju zażywać, jak Polacy i Węgrzy.

I możni panowie polscy wystąpili na powitanie króla z przepychem, a szczególniej wysadził się kasztelan Tęczyński. Hufce jego odznaczały się doborem ludzi, koni i rozmaitością rynsztunku. Jedna chorągiew ubrana była w skóry lamparcie, druga – w skóry czarnych i białych niedźwiedzi, inne znowu uformowane i przybrane były na sposób lekkiej jazdy tatarskiej. Samego kasztelana otaczała świta chorążych, opancerzonych w złote i srebrne blachy, usiane drogiemi kamieniami. Inni panowie również się wysilili, aby jak najokazalej przedstawić królowi swe roty. Więc obszerne błonia, przez które król zbliżał się do miasta, mieniły się w słońcu od blasku złota, srebra

i stali, od barwnych szat i strojnych pióropuszy. Szczęk broni rozlegał się wszędzie, rozgłośne dźwięki kotłów i trąb grzmiały triumfalnie w przestworzach i wstrząsały powietrzem.

Król, wyminąwszy zbrojne roty, zbliżył się do senatorów, zsiadł z konia i każdego zosobna witał uprzejmie podaniem ręki. Następnie w otoczeniu senatorów odbył przegląd zgromadzonych chorągwi i skierował się do miasta. Przed bramą florjańską powitał króla biskup Karnkowski, przedstawiciele władz miejskich, Akademji i innych korporacyj. Od bramy jechał przed królem Andrzej Zborowski, jako marszałek nadworny koronny i przez tłumy ludności, wiódł go przez miasto na Wawel. Wreszcie huk dział obwieścił światu, że nowy król stanął na zamku.

Tak więc bez krwi przelewu, bez wywoływania zawieruchy, stanął Stefan w stolicy Rzeczypospolitej. Ten pierwszy krok równał się wielkiemu zwycięstwu, ale nie świadczył jeszcze o ostatecznym triumfie. Większość senatorów świeckich trzymała w dalszym ciągu stronę Maksymiljana, a z senatorów duchownych trzech tylko stało za Batorym. Cesarz obiecujący niedawno łaskę tym wszystkim, co odstąpią Stefana, obecnie na sejmie ratysbońskim odgrażał się, że mieczem praw swych dochodzić będzie i układał się z poselstwem moskiewskiem, które car przysłał na przeszpiegi, bo sam gotował się do wojny z Rzecząpospolitą. Prymas nie wątpił, że Batory nie utrzyma się w Polsce i nie przestawał pracować na rzecz Maksymiljana.

Ale i Stefan nie próżnował.

Opanowawszy stolicę, miał w rękach potężne środki, by złamać przeciwników. Nie chciał przecież na

wstępie okazywać srogości, pragnął nawet odwlec koronację, by porozumieć się ze stronnikami cesarza i dać im czas do namysłu. Odrazu przecież osobistym urokiem wielu do sprawy swej przywiązał. A ten urok musiał być wielki, bo pisarze ówcześni, jak Hejdensztejn, Bielski, Orzelski w pochwalnych słowach malują postać króla Stefana. Widocznie trudno było temu urokowi się oprzeć, bo jeden z nuncjuszów papieskich, najgorzej dla króla usposobiony, zaraz po pierwszej z nim rozmowie pisał z zachwytem:

„Król Stefan jest wzrostu wysokiego, jak ojciec święty, dobrej tuszy i dobrze zbudowany, włosów kędzierzawych i czarnych, nosi brodę krótko strzyżoną, a kompleksja jego i zdrowie są zadziwiające. Po łacinie mówi nie tylko dobrze, ale wytwornie i wymownie, jest poważny i rozważny wszystkim na podziw. Z rozmowy jego widać, że się dobrze zna z doświadczenia na wszystkiem, a najbardziej na zarządzie państwem i na sposobie prowadzenia wojen ważnych. Ubiera się po węgiersku, w suknie szkarłatne, po kostki podbite sobolami, jada potrawy proste, jest niezmiernie wstrzemięźliwy i gardzi wszelką rozkoszą. Widocznie nie bez przyczyny wyniósł go Pan Bóg na takie panowanie!”

Na sejmie koronacyjnym Batory wielu ujął znajomością spraw, trafnością zdania, uprzejmością i prostotą. Do kilku możnych panów trafił przez oddanych sobie dygnitarzy, a po koronacji, kiedy jako król prawowity uznał, że musi wymagać dla siebie posłuszeństwa, chwycił się środków ostrzejszych, by przekonać nieprzyjaciół, że żartów z nim niema. Oto najoporniejszych stronników cesarza zaczął pozbawiać dóbr skarbowych. Tym stanowczym krokiem rzucił

strach na całe stronnictwo i odrazu wielu przeciągnął na swą stronę.

Obrzędu koronacyjnego, stosownie do obyczaju, powinien był dokonać prymas. Ale Uchański pomimo wezwań i napomnień Piotra Zborowskiego ani myślał stawić się w Krakowie. Szlachta podniosła krzyk. Rozległy się głosy, by Uchańskiego pozbawić godności i oddać ją biskupowi Karnkowskiemu.

— Mogliśmy zrzucić króla Henryka czémuż nie mamy uczynić tego z prymasem! — wołali zapalczywsi posłowie.

Ale król, gdy mu doradzano, aby rozprawił się z Uchańskim, oświadczył:

— Wolę prymasa pozyskać, niż zgubić!

Koronował króla i królową w katedrze na Wawelu w dniu 1 maja biskup Karnkowski, on im też ślubu tego samego dnia w sali zamku krakowskiego udzielił, a te dwa akty ogromnie umocniły Batorego na tronie. Ale Stefan nie poprzestał na tem. Nie czekając aż zgłoszą się do niego wszyscy przeciwnicy, postanowił szukać nieprzyjaciół w ich własnym obozie, zbliżyć się do prymasa, pojechać do Warszawy, odwiedzić Prusy, wejść w styczność z Litwinami. Ci ostatni wkrótce po koronacji przesłali swe poselstwo pod przywództwem kasztelana mińskiego Chlebowicza i protestowali, że elekcja i koronacja króla odbyły się bez ich udziału. Chlebowicz na udzielonej mu audjencji wyraźnie podkreślał, że Litwa pozdrawia Stefana nie jako w. księcia litewskiego, lecz jako polskiego króla.

Przed wyjazdem z Krakowa czekało Batorego jeszcze rozdawnictwo wakujących urzędów, a była to sprawa delikatna, zwłaszcza dla króla, który w krótkim czasie nie miał możności rozejrzeć się lepiej

w ludziach i stosunkach. Mnóstwo osób czekało na nagrody i z wielkiem natręctwem oblegało Stefana, dopominając się o wakanse. Szczególniej wielkie ambicje mieli Zborowscy, którym Batory istotnie dużo zawdzięczał, a którzy głośno przechwalali się swemi wpływami. Chodziło im przedewszystkiem o urząd kanclerski. Urząd ten sprawował zniedołężniały Walenty Dębiński. Zborowscy, pragnąc kanclerstwo pozyskać dla brata Andrzeja, nakłaniali Dębińskiego, aby zrzekł się swej godności. Starzec, nie czując się na siłach podołać wielkim obowiązkom, gotów był ustąpić, ale z dobrej woli, nie zaś pod naciskiem butnych magnatów. A gdy Zborowscy coraz natarczywiej nalegali, gdy zaczęli wyrządzać mu przykrości, rozgniewany kanclerz oświadczył, że złoży urząd, wszakże pod warunkiem, by nie dostał się żadnemu z braci Zborowskich.

Sprawa musiała oprzeć się o króla.

I teraz okazało się, że Batory szybko orjentuje się w ludziach, że drażliwe sprawy potrafi rozstrzygać samodzielnie, stanowczo i śmiało. Poznał się on na farbowanych lisach Zborowskich, wiedział, że mają wielkie siły i znaczenie, zdawał sobie sprawę, że dużo im zawdzięcza, ale wiedział zarazem, że zbyt głośno przechwalają się swemi stosunkami, że za wiele mówią o swych wpływach na dworze królewskim, że wyciągają ręce po zaszczyty, bo chcą tylko błyszczeć i rządzić. Nie widział natomiast w dumnych braciach talentów i nauki, nie widział charakterów, a szukał do najbliższej współpracy mężów mocnych, godnych zaufania, wybitnych a zdolnych. Znawca ludzi odrazu zbliżył do siebie Zamoyskiego. W uczonym trybunie szlachty dostrzegł niepospolitego człowieka; dostrzegł

siłę i rozum. Na szlacheckim lwie Rzeczypospolitej odrazu się poznał lew z Siedmiogrodu. Nie Zborowskich, lecz Zamoyskiego postanowił wyróżnić. Znaczyło to, że nie na magnatach, ale na szlachcie oprzeć się pragnie.

I tak było istotnie.

Król zdawał sobie sprawę, dokąd szlachta zmierza, ale ta szlachta bliższa była jego sercu, niż chytrzy a dumni magnaci, którzy wszystkie sprawy Rzeczypospolitej pragnęli podporządkować własnym widokom i ambicjom.

Decyzja królewska posiadała ogromną doniosłość.

Łatwo było przewidzieć, że ta decyzja podoba się szlachcie, która „króla szlacheckiego" chciała widzieć na tronie. Nie wiedziano tylko, że nowy król jest człowiekiem samodzielnym, że nie dając opanować się magnatom, nie ma zamiaru zostać narzędziem w rękach tłumu, że, strzegąc praw szlachty, będzie strzegł zarazem praw królewskich, że stanie do walki z samowolą, ale nie zgodzi się na jej falach królować. Jak we wszystkich silnych indywidualnościach, tkwiło i w Batorym poczucie własnej wartości, a zarazem świadomość, że ta wartość, wspierająca wielkie idee i olbrzymie plany, gruntować się musi na władzy. Ustrój Rzeczypospolitej podobny był do ustroju Siedmiogrodu, a szlachta i magnaci polscy nazbyt przypominali szlachtę i magnatów węgierskich, by król nie widział wszystkich niebezpieczeństw z jednej i drugiej strony. Na wstępie swych rządów w Siedmiogrodzie musiał poskramiać Bekiesza, na wstępie rządów w Rzeczypospolitej spotykał się z dumą Zborowskich, z ich niepomiernemi ambicjami, z dążeniem do skrępowania go swemi wpływami. Ale nie był to król,

któryby wraz z koroną pozwolił więzy na siebie nałożyć.

Batory stanowczą ręką odsunął od siebie potężnych braci. Gdy Dębiński ustąpił z kanclerstwa, na jego miejsce powołał Piotra Wolskiego, a podkanclerstwo oddał Zamoyskiemu. Ze Zborowskich jeden Jan obdarzony został kasztelanją gnieźnieńską. Wakującą kasztelanję krakowską otrzymał Dębiński.

Zborowscy doznali ogromnego zawodu. Czuli się upokorzeni, dotknięci, w duszy zachowali urazę i gniew. Jakoż z przyjaciół stali się wkrótce zawziętymi wrogami króla.

Za to szlachta tak była ucieszona wyróżnieniem Zamoyskiego, że koło rycerskie wysłało do króla deputację, by złożyć mu podziękowanie. Było to wbrew obyczajowi, a świadczyło, że szlachta zrozumiała króla. Jakoż wyniesienie Zamoyskiego jednało Batorego ze szlachtą, było jakby pieczęcią królewską na nieoficjalnym sojuszu, wymierzonym przeciw wybujałym dążeniom magnatów.

A w Zamoyskim przybywała królowi niezawodna znajomość praw, kraju i ludzi, przybywała najtęższa głowa, przybywała siła, na której można było się oprzeć, jak na kolumnie z granitu. Odtąd podkanclerzy, a wkrótce kanclerz Zamoyski jest najbardziej zaufanym doradcą i powiernikiem Stefana, wykonawcą jego planów, obrońcą jego imienia, zamiarów i dążeń. Odtąd Batory i Zamoyski, idąc ręka w rękę, wspierając się wzajem, stanowią nazewnątrz nierozerwalną jedność woli i czynu. Są też jakby stworzeni dla współpracy. Mają wiele wspólnych upodobań, jednakową wytrwałość, jednakowe umiłowanie wielkości. Odtąd też, razem bronią się i razem stawiają czoło

wszystkim przeciwnościom, razem pracują dla sławy i potęgi Rzeczypospolitej.

Stosownie do swych planów, zaraz po sejmie koronacyjnym król, pozostawiwszy królową w Krakowie, wyruszył zbrojno do Warszawy, by zbliżyć się do przeciwników, pozyskać prymasa, nawiązać stosunki z Litwą i Prusami, a w razie potrzeby stanąć w tych krajach własną osobą. Był to krok mądry, a owocny w skutkach. Król w Krakowie, zdala od stronników cesarskich, nie wzbudzał obaw, nie przeszkadzał niechętnym zjeżdżać się, naradzać i obmyślać środki celem oddania tronu Maksymiljanowi. Ale już sama podróż wywierała wrażenie, budziła śród zwolenników cesarskich niepokój.

Nuncjusz papieski, pracujący na rzecz Maksymiljana, a będący w stałych stosunkach z Uchańskim, otrzymawszy zawiadomienie, że król chętnie go wysłucha, jeżeli ma do niego polecenia z Rzymu, wolał nie stawać przed oczy Batoremu, a widząc swą bezsilność, opuścił Polskę i umknął do Wrocławia. W Rawie zjawił się przed królem z wyrazami hołdu i posłuszeństwa jeden z najpoważniejszych stronników cesarza, marszałek wielki koronny Opaliński. To samo uczynił referendarz Czarnkowski. Pozostawał prymas i większość biskupów, trzymających z upartym prymasem. Król-dyplomata wysłał do Uchańskiego z drogi list z uprzejmem zaproszeniem do Warszawy, gdzie chciał się z nim spotkać. Przestraszony prymas nie wiedział, co począć, jak się zachować. Czuł się osamotnionym, widział, że Batoremu coraz więcej przybywa stronników, ale nie chciał się poddać. Więc odpisał, że wiek i zdrowie nie pozwalają mu stawić się na zaproszenie. Mądry król zawiadomił arcybiskupa,



JAN ZAMOYSKI

że wobec tego sam go w Łowiczu odwiedzi. Ale jednocześnie skierował na Łowicz oddział piechoty węgierskiej. Teraz na dobre przeraził się Uchański. Widząc, że z Batorym żartów niema, ruszył czem prędzej do Warszawy.

Tu łatwo przyszło do zgody.

W ten sposób król Stefan pozyskał najzawziętszego ze swych przeciwników i ostatecznie pogrzebał sprawę Maksymiljana.

Na Litwie, dzięki szwagrowi Zborowskich Chodkiewiczowi, dzięki kilku innym pozyskanym przez Batorego panom, oraz wrażeniu, jakie na Litwinach wywarła koronacja, a szczególniej ślub z Anną Jagiellonką, prysła niechęć, ustały wątpliwości. Przed Batorym stawiło się poselstwo z Chodkiewiczami Janem i Aleksandrem na czele.

Król zaprzysiągł Litwie przywileje i zaraz też został uznany.

Pozostawały do zdobycia Prusy, gdzie cesarz miał najzacieklejszych stronników.

Ale ociąganie się Maksymiljana i postępy Stefana srodze niepokoiły Prusaków. Przyszły do Warszawy wieści, że i w Prusach wszyscy gotowi są uznać Batorego.

Stefan ze stolicy Mazowsza wyjechał do Tykocina i Knyszyna po skarby zmarłego króla, przyjął hołd od witających go panów litewskich i znowu wrócił do Warszawy. Chcąc złamać skuteczniej opór Prusaków, wydał 8 sierpnia (1576) uniwersał, zwołujący sejm walny na początek października, tym razem do Torunia „dla niebezpieczeństw, które się w tamtych stronach pokazują”. W dziesięć dni później sam do Prus wyruszył.

Okazało się, że król miał myśl szczęśliwą, gdyż samo zbliżanie się do przeciwników osłabiało ich upór i skłaniało do złożenia broni.

Już w Brześciu Kujawskim złożyli Stefanowi hołd posłuszeństwa posłowie księcia pruskiego, a w Toruniu, po zapewnieniu wyższych i niższych stanów pruskich, że przywileje Prus Królewskich zostaną zachowane, i ta dzielnica uznała Batorego.

Jeden Gdańsk trwał niezłomnie przy Maksymiljanie.

Tak więc w krótkim czasie cała Rzeczpospolita, z wyjątkiem jednego miasta, podporządkowała się nowemu królowi.

Trzeba było wielkiego rozumu i niepospolitej zręczności, aby pomimo tylu przeszkód dojść do celu i w ciągu kilku tygodni pociągnąć ku sobie serca, zjednać umysły, bez dobycia miecza zawojować tron i całe państwo. Zadanie było tem trudniejsze, że w tym bujnym a skłonnym do wybuchów kraju, Batory był cudzoziemcem, nieznającym obyczajów, języka, stosunków. Dzielny żołnierz dowiódł, że jest bardzo zręcznym dyplomatą, że nie tylko z ognia bitew, ale i z zapasów politycznych umie wychodzić zwycięsko.

Nie wszystko przecież działo się po myśli króla.

Już na sejmie koronacyjnym domagał się Stefan, aby w razie potrzeby mógł bez zezwolenia sejmu zwoływać pospolite ruszenie, na co nie zezwalały zaprzysiężone przez niego artykuły henrycjańskie. Troskał się o to jeszcze w Siedmiogrodzie, dowodząc, że działający pośpiesznie nieprzyjaciel mógłby kraj opanować prędzej, niż sejm zdążyłby się zgromadzić, nie mówiąc już o zebraniu się pospolitego

ruszenia. Ale szlachta nie chciała od tego warunku odstąpić, twierdząc, że król posiada wielkie dobra i dochody, których w razie potrzeby może użyć na prowadzenie wojny. Batory, człek wojenny, a zdający sobie sprawę z grożących Polsce niebezpieczeństw, wielce był stroskany tym uporem szlachty.

Powodzenie nie upajało króla.

W instrukcji, rozesłanej przez swych posłów na sejmiki przed sejmem walnym w Toruniu, złożył dowód, że widzi jasno wszystkie trudności, wszystkie ujemne strony życia ówczesnego w Polsce, wszystkie niebezpieczeństwa, co zagrażają państwu, a wymagają wytężenia sił całego narodu.

Ubolewa Batory, że ta rozległa Rzeczpospolita, mająca przyrodzone bogactwa, bujne urodzajne ziemie, spławne rzeki, prowadząca ożywiony handel z sąsiadami, szarpana jest rozterką, wstrząsana wewnętrznym nieładem. Ubolewa, że skarb państwa jest wycieńczony, pusty. Widzi wiele zła w życiu publicznem, a główną przyczynę smutnego stanu rzeczy dopatruje w nierządzie.

„... Acz teraz na początku panowania ukazało się trochę pokoju i dobrej nadziei o dobrem Rzeczypospolitej naszej, ale poźrzawszy na fundamenty i przyczyny, skąd płynie to dobre, barzo o niem nadzieja słabieć musi, gdy doma nierząd, którego się u nas we wszystkiej Rzeczypospolitej częściach jej dosyć najduje. Musi też być strach, jako od postronnego nieprzyjaciela, tak i od domowych niezgód a rozterków, których pewnie a nieomylnie może się każdy spodziewać w nierządzie”.

Król wylicza trapiące Polskę nieszczęścia i śmiało rąbie słowa prawdy.

— „Tenże nierząd, — powiada w swej instrukcji, — wszystkie dobre starożytne obyczaje psuje, na których miejsce nastąpiły srogie zbrodnie, mężobójstwa, gwałty, łupiestwa, mordy, z rusznic zabijania, wszeteczeństwa, lichwy, krzywoprzysięstwa, zbytki, utraty i innych wiele szkaradnych występków. A wejrzawszy dalej w sprawy rycerskie i wszytek inny nierząd, którego się dosyć w wojskowości namnożyło, k'temu iż wszytko wojowanie jest utrudnione. Boże daj, by to wszytko w Rzeczypospolitej ustało, a do pierwszych się spraw przodków naszych wróciło, mogłaby jeszcze ta Rzeczpospolita zakwitnąć, iżby nad nią ozdobniejszą trudno kto miał naleźć!”...

Ze swej strony zapewniał król całą Rzeczpospolitą i każdego zosobna, że niczyjego prawa nie naruszy, „owszem, więcej jeszcze czyni i czynić ma wolę, nie tak słowy, jako rzeczą samą to okazując, że jest tym panem, który nic innego, jedno wszystko dobre, poczciwe, poddanym swym i wszytkiej Rzeczypospolitej obmyślawa, a jej pożytek nad swój i nad zdrowie swe przekłada”...

Mówiąc o konieczności ustalenia dobrego rządu i zaprowadzenia ładu a porządku w kraju, król wzywa jednocześnie szlachtę, by przygotowała się mężnie stawić czoło burzom, jakie idą ku Polsce.

A więc mówi o knowaniach cesarskich w rzeszy niemieckiej, o chciwości króla duńskiego, który już wiele krzywdy wyrządził napadami na Gdańsk i okręty polskie, a o nowych napaściach zamyśla. Mówi o carze, który rad się z Duńczykiem połączy, jak już sprzymierzył się z cesarzem na szkodę Rzeczypospolitej. Wspomina, że i z Turcją pokój niepewny, bo kozacy dopuszczają się grabieży na posiadłościach

sułtana, co spowodować może odwet Turków i Tatarów. Ponadto zwraca uwagę na buntowniczy Gdańsk, który zachowuje się nieprzystojnie, a dotąd nie złożył winnego poddaństwa koronie.

Wielka troska i wielka czujność przezierała z każdego wyrazu królewskiego. Widać przecież było ze słów stanowczych, jasnych a męskich, że Batory śmiało spogląda w oczy niebezpieczeństwom, że gotów jest stanąć w pierwszym szeregu do walki z tem wszystkiem, co wewnątrz, czy z zewnątrz zagrażało powadze i dobru Rzeczypospolitej.

Chodziło tylko o to, by do tej walki ogół porwać za sobą. Więc prosi i napomina król sejmiki, aby wybierały na „posły, męże stateczne, pożytek i dobre Rzeczypospolitej więcej miłujące, niźli swe afekty, albo też pożytki jakie osobliwe".

Ale w Polsce łatwiej było opanować serca, niż trafić do rozumów.

Po pierwszych powodzeniach czekały Batorego o wiele większe trudności i przeszkody, niż te, które mądrem a energicznem postępowaniem pokonał w ciągu kilku miesięcy. Szlachta, odwykła od wojny za ostatniego króla, rozkochana w swobodach, rozmiłowana w wygodnem życiu domowem, sarkała na podatki, nie martwiła się pustkami w skarbie, ani brakiem wojska. Przeżywszy cztery burzliwe lata, wybrała nareszcie króla, który miał myśleć o wszystkiem. Więc powróciwszy do zagród domowych, spokojnie układała się do snu. Masa szlachecka nie miała wielkiej idei, którąby, zapładniając umysły a podnosząc serca, powoływała ją do pracy odrodzeńczej, uzbrajała przeciw chytrym wrogom, prowadziła na pola czynu,

walki i sławy. Magnaci rywalizowali ze sobą, myśleli o blasku swych rodów, o nowych zaszczytach, urzędach, dostojeństwach.

Ale Batory miał idee a kochał się w sławie.

Przeciwieństwa musiały doprowadzić do starcia.

Jakoż najbliższy sejm stał się widownią ostrego zatargu pomiędzy narodem a królem.

IV.

BUNT GDAŃSKA.

Przedmiotem, który ten zatarg wywołał, stała się sprawa Gdańska. Pomimo usiłowań Batorego, harde miasto nie tylko nie chciało uznać go królem, ale zaufane w swe potężne mury i środki obronne, jawnie wywiesiło chorągiew buntu.

Gdańsk, zamieszkały w przeważnej liczbie przez Niemców, był jednym z najcenniejszych klejnotów śród wszystkich miast i posiadłości Rzeczypospolitej. Przepysznie zabudowany, słynący ze swych monumentalnych kościołów, rozsiadł się majestatycznie nad brzegami morza, jak pan i władca bezmiernych wód Baltyku. Wspaniałe miasto, wesołe, gwarne, kipiące życiem, przepełnione rojem cudzoziemców, przybywających z różnych stron świata, kwitło dostatkiem, kąpało się w bogactwach, błyszczało przepychem. Słynne, jako wielki port handlowy, było dla Rzeczypospolitej głównemi wrotami, przez które szły w świat szeroki płody ziemi polskiej, spławiane rozłożystą Wisłą i znaczniejszemi rzekami, co do Wisły wody swe niosą.

Był Gdańsk zarazem znakomitą twierdzą, groźną samym widokiem obronnych baszt, warownych bram i wysokich, zębatych murów, co go okalały. Płynąca przez miasto rzeka Motława, zatamowana szczelnie przy ujściu do miasta, rozlewała się po nizinnych przestrzeniach i zapełniała wodą przekopy, broniące przystępu do warownych bram miejskich.

Z prawego brzegu Wisły strzegł portu obrònny zamek, nazywany Latarnią, gdyż w ciemne noce gorzał silnem światłem i był wskazówką dla zabłąkanych na morzu żeglarzy. Niedostępny od lądu, zabezpieczony był Gdańsk i od morza, gdyż statek morski, usiłujący dostać się do miasta Wisłą, musiałby wytrzymać deszcz śmiertelnych pocisków, któremi groziły liczne a doskonałe działa Latarni.

Potężna strażnica przestworów morskich miała swój rozległy samorząd z obieralnym burmistrzem i radą rajców, czyli senatem na czele. Dochodów na rzecz skarbu Rzeczypospolitej strzegł burgrabia, mianowany zwykle z pośród mieszczan gdańskich. Posłowie Gdańska wraz z posłami Elbląga i Torunia zasiadali w senacie pruskim obok biskupów, wojewodów i kasztelanów, a mieli pierwszeństwo przed posłami ziemskimi. Królowie polscy zachowywali sobie jeno władzę i panowanie nad morzem, lecz w wewnętrznem swem życiu miasto rządziło się własnemi ustawami.

Korzystając z wielu przywilejów a swobód, Gdańsk, dzięki możnej opiece Rzeczypospolitej i urodzajnym ziemiom polskim, stał się jednem z najbogatszych i najpotężniejszych miast w Europie. Dumni mieszczanie gdańscy, wysoko noszący swe głowy, nieraz przychodzili skarbowi polskiemu z pieniężną pomocą, ale ufni w swe siły, czasem przeciwstawiali się rozporzą-

dzeniom królewskim i rościli sobie prawa do samodzielnego panowania nad morzem. Za ostatniego króla ośmielili się zamknąć bramy przed jego wysłańcami, a choć ukorzyli się wkońcu i zgodzili się na obostrzenia, zabezpieczające prawa zwierzchnicze króla nad wodami Baltyku, to jednak nie przestali myśleć o wyłamaniu się z pod zwierzchnictwa polskiego.

Gdańszczanie, korzystając z bezkrólewia, przestali zważać na ograniczające miasto konstytucje sejmowe, wrócili do dawnych swobód, najwyraźniej lekceważąc Rzeczpospolitą. Wraz z Prusami, stojąc za Maksymiljanem, nie chcieli uznać królem Batorego i choć cała Rzeczpospolita złożyła mu hołd, oni jedni trwali w uporze. Nie zdołał ich przekonać wysłannik króla, mądry i wymowny szlachcic Mikołaj Kossobudzki, nie wskórał nic Andrzej Zborowski. Gdy wkońcu przybyli do Gdańska biskup chełmiński Kostka i wojewoda chełmiński Służewski, by odebrać od mieszczan przysięgę, burmistrz złożył im deklarację, w której miasto domagało się, aby najpierw król zaprzysiągł gdańszczanom wszystkie prawa, swobody i przywileje. Posłowie odrzucili harde pismo i odjechali z niczem.

Król Stefan, przebywający podówczas w Malborgu, wydał rozporządzenie, aby nikt odtąd nie śmiał spławiać zboża do Gdańska, a mieszczan gdańskich zawezwał do stawienia się w dniu 20 września przed sąd królewski. Ale termin minął, na sąd nikt się nie zjawił. Rozgniewał się na takie lekceważenie swej osoby Batory, oburzyli się otaczający króla senatorowie. Po naradzie postanowiono ogłosić gdańszczan, jako jawnych buntowników, jako zdrajców majestatu i Rzeczypospolitej.

Ale Gdańsk wiedział, że król rozporządza wojskiem bardzo nielicznem. Nie ustraszył się wyroku i na infamję odpowiedział zbrojną wyprawą na przyległe do miasta posiadłości biskupa Karnkowskiego oraz złupieniem sławnego klasztoru i opactwa cystersów w Oliwie.

Teraz Gdańsk rzucał królowi rękawicę.

Batory z garstką wojska ruszył ku zbuntowanemu miastu, ale rzuciwszy okiem znawcy na obronne położenie twierdzy, na przekopy, mury i baszty, odrazu przekonał się, że zdobywanie tak silnej fortecy bez dużych wojsk, należycie do oblężenia przygotowanych, jest niepodobieństwem. Z bólem serca cofnął się z pod miasta i, pozostawiwszy w okolicy Jana Zborowskiego z 2000-em wojskiem, wyjechał do Torunia na sejm, by żądać uchwalenia środków, któreby w szybkim czasie pozwoliły bunt stłumić.

W tej chwili sprawa uśmierzenia Gdańska była dla króla sprawą najpilniejszą, sprawą honoru i powagi Rzeczypospolitej, a nawet sprawą jej bezpieczeństwa. Obawiać się bowiem należało, że płomień buntu przerzuci się z Gdańska na całe Prusy, że ten bunt wykorzysta car moskiewski, że w razie przedłużenia się działań wojennych nad Baltykiem, Tatarzy wpadną na Podole. Trzeba było działać szybko i jednocześnie na wszystkie strony się ubezpieczać. Jechał więc król do Torunia, by domagać się od sejmu uchwalenia wojny zarówno przeciw Gdańskowi, jako i wszystkim wrogom, którzy miastu pomoc zbrojną okażą. Aby zaś tego dokonać, trzeba było otrzymać od sejmu środki pieniężne, uzyskać zezwolenie na zwołanie pospolitego ruszenia i taki podział zbrojnej szlachty, jakiego wymagać będą okoliczności czasu wojennego.

Takie żądania król przedstawił sejmowi, którego obrady zagaił w dniu 19 października (1576 r.).

Ale jeżeli liczył, że zostanie zrozumiany, że jedno miasto, urągające całej Rzeczypospolitej, oburzy posłów i skłoni ich do stanowczego w myśl przedstawionych życzeń działania, to srodze zawiódł się w swych nadziejach. Senat poparł króla, ale izba poselska wybuchła istną fontanną skarg, żalów, wyrzekań, podniosła mnóstwo spraw innych, lecz o zasiłku pieniężnym na wojnę z Gdańskiem nie chciała słyszeć. Nie straszyli tej szlachty Tatarzy, nie przerażał jej szykujący się do rozpoczęcia wojny car Iwan Groźny, nie oburzała hardość zbuntowanych mieszczan. Posłowie domagali się, aby król spełnił wszystko, co zawierały zaprzysiężone *pacta conventa*, ale o poborach nie chcieli słyszeć.

Batory uznawał słuszność stawianych mu żądań, nie wymawiał się od spełnienia tego, do czego się zobowiązał, ale nalegał, aby wobec wojny, której łuną świeciła nad Bałtykiem, a lada chwila rozpalić się mogła nad wschodnią i południową granicą, wszystkie inne sprawy zeszły na plan dalszy i ustąpiły gwałtownym potrzebom chwili.

Szlachta była głucha na te żądania. Izba poselska nie myślała pomagać królowi. Posłowie, wskazując senatorów, wołali, że bogaci posiadacze królewszczyzn i dóbr starościńskich od kilku lat nie płacą opłat skarbowych, a to są najwłaściwsze źródła pokrycia wszelkich wydatków. Wyrzutom, sarkaniom, żalom nie było końca. Atakowano i króla, żądając, aby zdał sprawę ze swych czynności i wyrachował się ze skarbów, które uwiózł ze sobą z Knyszyna.

Na jałowych rozprawach płynęły dni i tygodnie.

Wkońcu zgodzili się posłowie na pospolite ruszenie, ale zastrzegli sobie, że sił tych dzielić nie wolno, jak tego król żądał. Poborów odmówiono, na żadne ustępstwa nie chciano się zgodzić.

Batorego oburzała lekkomyślność i krótkowzroczność szlachty, gniewał go egoizm posłów i ton wyzywający w stosunku do jego własnej osoby, do „króla szlacheckiego”, któremu odmawiano wszelkich środków, a nie szczędzono wymówek. Zbyt wielkie miał poczucie swych praw i swej godności, aby się zgodzić na rolę igraszki, miotanej rozdrażnieniem i namiętnościami tłumu. Zabolały go przymówki o skarby królewskie, dotknęły wyrzuty. Więc gniew zadrżał w szorstkich słowach królewskich, skierowanych do posłów.

— „Nie urodziłem się w stajni, ale wolnym człowiekiem, — mówił król językiem zrozumiałym dla szlachty, — nie brakło mi jadła, ani odzieży, nim do was przybyłem. Wolność swą kocham i strzec jej będę. Za wolą bożą zostałem na króla wybrany. Na wasze prośby i nalegania tutaj przybyłem. Wy sami włożyliście mi koronę na głowę, jestem więc waszym rzeczywistym, nie zaś urojonym, ani malowanym królem. Chcę panować i rozkazywać, a nie ścierpię, aby ktokolwiek mną powodował. Bądźcie stróżami wolności waszych, ale nie chciejcie być bakałarzami mymi i senatorów moich. Strzeżcież tedy tak swojej wolności, aby się w swywolę nie wyrodziła!”...

Ale sejm po sześciu tygodniach jałowych rozpraw rozszedł się, nie spełniwszy ani jednego z żądań królewskich.

Batory został sam wobec zbuntowanego Gdańska i chmur, zbierających się nad Rzecząpospolitą. Uchwa-

lono mu pospolite ruszenie, które nie nadawało się do zdobywania potężnej fortecy, a którego nie mógł dzielić i rozstawić w pobliżu miejscowości, mogących wymagać obrony. Pomimo niezwykle ciężkiego położenia, król nie załamał rąk bezczynnie, nie pozwolił wypadkom rozwijać się ku szkodzie Rzeczypospolitej. Nie był to „król malowany”, zdający się na łaskę losu. Całą swą energję wytężył, aby stłumić bunt Gdańska.

W trakcie obrad sejmowych gdańszczanie, otrzymawszy glejt bezpieczeństwa, wysłali do Torunia poselstwo w osobach burmistrza Ferbera, rajcy Rosenberga i syndyka Lembkego. Raz jeszcze spróbowano układów, a zaszedł wypadek, który dla spokoju Polski posiadał ogromne znaczenie a dla butnych mieszczan był ciosem.

Oto 12-go października 1576 roku zmarł w Ratysbonie cesarz Maksymiljan.

Nie mogli już dłużej gdańszczanie pozorować buntu oczekiwaniem na przyjazd do Polski innego króla, nie mogli również liczyć na pomoc, jaką im zapewniały wpływy cesarza. Więc stali się do ustępstw skłonniejsi. Ale obrady sejmu, odmawiającego królowi wszelkiej pomocy, dodały posłom gdańskim odwagi, przekonały ich, że tej wielkiej Rzeczypospolitej bezkarnie można urągać. Więc odrzucili najsłuszniejsze żądania i doprowadzili do zerwania rokowań. A w parę miesięcy potem, zagajając układy, by widokami pokoju sparaliżować wysiłki króla, starali się przeciągnąć pertraktacje, gdy zaś przyciśnięci zostali do muru, odkryli karty, żądając zupełnej niepodległości i zerwania wszelkich związków z Rzecząpospolitą.

Rozgniewał się król, posłów gdańskich Rosenberga i Lembkego rozkazał uwięzić, a przeciw buntowni-

czemu miastu wydał nowy dekret, obwołujący butnych mieszczan, jako burzycieli i zdrajców.

Nie uchylając się od prób pokojowego załatwienia zatargu z Gdańskiem, Batory przez cały ten czas nie ustaje w staraniach, by przygotować niezbędne środki i z nastaniem wiosny chwycić się oręża. Wydaje odezwę do narodu i każdego, coby chciał nie z nakazu, ale z dobrej woli przyjść krajowi w ciężkiem położeniu z pomocą, wzywa do stawienia się zbrojno na dzień 23 marca 1577 roku. Zbiera we Włocławku radę senatu i za jej zezwoleniem zastawia klejnoty koronne, zaciąga pożyczki, wysyła poselstwo do Jerzego Fryderyka, margrabiego na Anspachu, by wzamian za przyznanie opieki nad chorym księciem pruskim i oddanie margrabiemu rządów otrzymać 200.000 złt.; przez biskupa Karnkowskiego pobudza do ofiar duchowieństwo, zebrane w maju na synodzie w Piotrkowie, z wielkim trudem skłania sejmiki generalne do uchwalenia podatków, ściąga zewsząd pieniądze, gromadzi ludzi. Codziennie z kancelarji królewskiej idą za podpisami króla listy do możnych panów, do głośniejszych rotmistrzów, do starych a wypróbowanych wojaków z wezwaniem, by szykowali hufce i prowadzili je na wskazane miejsca.

Niezmordowana praca króla zaczyna wydawać owoce.

Zbierają się roty konne, stają w gotowości bojowej oddziały najemnej piechoty, tworzy się z niesłychanym trudem artylerja, bo Batory osobiście stara się niemal o każdego puszkarza zosobna, a na każdym kroku przezwyciężać musi niezliczone trudności. Lecz nie zraża się niczem. Pracuje nieustannie, wgląda we wszystko. Energją, zapałem, wiarą w dobry sku-

tek swych zamierzeń pobudza do współdziałania dzielniejsze jednostki i bardzo powoli, lecz stale powiększa swe siły...

Gdańsk, wiedząc o czynnościach Batorego, również czyni przygotowania do obrony, sprowadza zaciężne wojska, umacnia mury, szykuje się do walki. Na dekret króla i uwięzienie posłów nową odpowiada zemstą. Uzbrojone tłumy mieszczaństwa gdańskiego napadają znowu na klasztor w Oliwie, niszczą go ogniem armatnim, wszystkie budowle obracają w gruzy, szaleją po wsiach okolicznych, roznoszą dokoła mord i pożogę. Jednocześnie wchodzą gdańszczanie w porozumienie z wrogami Polski, udają się do cara i za jego pośrednictwem nie bez powodzenia podburzają Tatarów do napadów na graniczne ziemie Rzeczypospolitej.

Rozzuchwaleni bezkarnością, w drugiej połowie kwietnia rozpoczynają buntownicy akcję zaczepną przeciw wojskom króla.

Stał w okolicach Tczewa Jan Zborowski na czele 2.000 Polaków i Węgrów.

Otóż ten oddział postanawiają gdańszczanie zaskoczyć znienacka przeważającemi siłami i rozgromić doszczętnie. Mając oprócz obsługi fortecznej i wielkiej liczby uzbrojonych mieszczan, trzy tysiące najemnej piechoty, zwerbowanej w Niemczech, 1000 jazdy najemnej i własnej, oraz dobrze wyćwiczone oddziały strzelców, decydują się spróbować szczęścia w otwartem polu. Na czele wojsk gdańskich stoi Hans Winkelbruch z Kolna (zwany przez Polaków Janem Kolończykiem), głośny wojak, wsławiony szeroko dzielną obroną Magdeburga przeciw Karolowi V, a uchodzący za znakomitość w rzemiośle wojennem. Hetmaniąc

za dobre pieniądze całej sile zbrojnej Gdańska, Winkelbruch chciał popisać się swą sztuką i nową zdobyć sławę.

Pod jego to dowództwem w dniu 16 kwietnia (1577 r.) późnym wieczorem przez bramy miejskie wyszło 5.000 wojska i tyleż uzbrojonego motłochu. Cała ta siła miała uderzyć na stojące pod Tczewem wojsko Zborowskiego. Jednocześnie na statkach, wielką sztuką opancerzonych, popłynęło Wisłą paruset strzelców, by w odpowiedniej chwili wylądować w Tczewie i bezbronne miasto opanować siłą.

Ale Zborowski miał się na baczności.

Zebrawszy swe szczupłe siły, wyruszył na spotkanie Niemców i na milę przed Tczewem rozstawił wojska na drodze, wiodącej do miasta. Zdumiał się Jan Kolończyk, gdy mu w nocy czaty doniosły, że Zborowski stoi w szyku bojowym, przygotowany do odparcia ataku. Zatrzymał się hetman gdański na noc, ale nazajutrz, — powiada malowniczo Bartosz Paprocki — „zaczęło się wojsko kolnowe sypać jako czarny las". Widząc przed sobą garstkę nieprzyjaciół, wódz gdańszczan umyślił dokonać całkowitego rozgromu, a że był wódz doświadczony, mądrze a przezornie cały plan ułożył. Ustawiwszy uzbrojonych mieszczan na pagórkach, ogrodził ich grubemi dylami, a 200 rajtarom kazał zabawiać przeciwnika. Sam z resztą wojska posuwał wzdłuż jeziora Lubieszowskiego, by od tyłu zaatakować Polaków. Droga wiodła przez groblę, przedzielającą jezioro. Dostawszy się na wzgórza, Jan Kolończyk ustawił na nich działa i „począł koło nich szańce kopać", wszystko czyniąc, czego sztuka wojenna wymagała. Na nic przecież nie zdała się mądrość Kolończyka. Zborowski, widząc,

co się święci, zmienił swe szyki. Pozostawiwszy niewielki oddział dla pilnowania jazdy gdańskiej i ogrodzonej dylami hałastry, rzucił hajduków węgierskich na lewe skrzydło niemieckie, a sam z jazdą runął na Jana z Kolna od prawego skrzydła. Dzielnie spisała się piechota węgierska, a uderzenie jazdy było tak straszne, że wojsko gdańskie, pozostawiając wszystkie działa, rzuciło się do ucieczki. Za uciekającymi pognali Polacy i pędzili ich przed sobą, jak stado spłoszonych owiec. Na grobli zaczęła się rzeź. Przerażeni żołnierze gdańscy, mając na swych karkach jazdę, nie próbowali nawet stawiać oporu. Jedni ginęli od ciosów szabel, drudzy marli, miażdżeni kopytami koni, inni jeszcze, szukając rozpaczliwie ratunku, rzucali się w jezioro i tonęli setkami.

Na widok tej klęski, ogrodzone dylami mieszczaństwo, opuściło ubezpieczoną pozycję i, ogarnięte panicznym strachem, zaczęło uciekać co tchu w piersiach a mocy w nogach starczyło. W ten sposób cała siła nieprzyjacielska rozsypała się w jednej chwili i biegła przed siebie na złamanie karku. Śród bezładnego tłumu szaleli jeźdźcy polscy, a za nimi szli, jak wicher śmierci hajducy węgierscy i w pień wycinali tych, co ocaleli przed pościgiem jazdy. Siekąc i rąbiąc, a nikomu nie dając pardonu, tysiącami trupów nieprzyjacielskich zasłali Węgrzy straszne pole walki.

— „Trzy mile w pogonią aż do samego Pruszcza,— donosił później Jan Zborowski królowi, — za nimi wojsko waszej kr. mości ich biło, gdzie przez wszystką drogę trup na trupie leży”...

Jakoż najstraszliwszym pogromem skończyła się bitwa, postradał w niej swą sławę pyszny obrońca

Magdeburga, a wielką chwałą okrył się Jan Zborowski. Zwycięstwo było najświetniejsze. Z górą 4.000 trupów nieprzyjacielskich zaległo pole bitwy, 1.000 jeńców dostało się do niewoli. Cały sprzęt wojenny, mnóstwo wozów, wszystkie działa wpadły w ręce zwycięzców. Śród zabranych wrogowi sztandarów zwracała uwagę przepyszna chorągiew z napisem: Aurea Libertas (złota wolność).

Klęska u jeziora Lubieszowskiego przejęła trwogą zbuntowanych mieszczan. Gdańsk zadrżał. Ale Batory nie mógł, niestety, wykorzystać świetnego zwycięstwa i pod jego urokiem zjawić się pod murami twierdzy. Przygotowania były w pełnym biegu, lecz na stanowcze działania czas jeszcze nie przyszedł. A radość, jakiej król doznał, dowiedziawszy się o wyniku bitwy, zamąciły niebawem żądania samych zwycięzców. Oto rycerstwo przez posłów domagało się od króla, aby starodawnym obyczajem polskim „wysługa skończyła się w dzień fortunnie wygranej bitwy". Jedni chcieli całkiem porzucić chorągwie, drudzy na pewien czas pragnęli opuścić szeregi.

A to wojsko było główną siłą króla, było jego nadzieją, było ośrodkiem, do którego ściągał nowe, z największym trudem formowane oddziały.

Ręce mogły opaść, zwątpienie mogło ogarnąć każdego wobec tej niesforności polskiej, wobec ciągłych przeszkód, wobec niespodziewanych żądań, z któremi trzeba było się liczyć, a które całą pracę obrócić mogły wniwecz. Lecz król Stefan nie stracił hartu, nie dał za wygraną. Na żądania wojska odpowiedział, że bynajmniej nie jest to obyczaj polski, by po zwycięstwie broń rzucać, gdy wojna nieskończona. W ten sposób zwycięstwo możnaby uczynić przegraną bitwą.

Podniósł zasługi rycerstwa, w którego świetnych czynach „odnowiło się starożytne męstwo polskie" i wyraził nadzieję, że ciż sami zwycięzcy „przykładu szkodliwego zostawić nie będą chcieli a szczerą sławę odnowienia dyscypliny wojskowej przodków swych innym podać będą woleli".

Udało się Batoremu zachęcić rycerstwo do wytrwania i odwrócić klęskę, grożącą mu od własnego wojska. Ale mimo nadzwyczajnych wysiłków nie zdołał król zgromadzić sił potrzebnych do oblężenia potężnej fortecy. Przeciągały się przygotowania, bo na każdym kroku trzeba było zwalczać trudności. Dopiero 7 czerwca (1577 r.) mógł Stefan opuścić Malborg i z niewielkiem, bo z 6.000-em wojskiem i 22 armatami wyruszyć przeciw Gdańskowi.

Dwa miesiące upłynęło od bitwy pod Lubieszowem. Przez ten czas gdańszczanie zdołali oswoić się z klęską, ochłonąć z trwogi, wypełnić luki w przerzedzonych szeregach. Nie miała Rzeczpospolita środków na zaciągi żołnierza, na zakup sprzętu wojennego, na sprowadzenie z zagranicy biegłych puszkarzy, ale jedno jej miasto utworzyło w bardzo krótkim czasie poważną siłę obronną, mogło pozwolić sobie na sprowadzenie zaciężnych rot z Niemiec, z Danji, z Francji i Szkocji. Gdańsk wrócił do potęgi. Posiadając znakomitą artylerję, obfitość amunicji, swobodną przez morze komunikację ze światem, zbuntowani mieszczanie, próbujący po nieszczęsnej wyprawie przez Jana Zborowskiego nawiązać z królem układy, znowu podnieśli głowy i z wysokości swych potężnych murów, spokojnie spoglądali w przyszłość.

Król Stefan, stanąwszy pod twierdzą, był zdania, że oblężenie należy zacząć od zdobycia Latarni, albo-

wiem w ten sposób odcinało się miasto od morza, uniemożliwiało się dowóz żywności i wszelkich posiłków. Po zdobyciu tej warowni zamierzał Batory rozpocząć ścisłą blokadę, gnębić miasto bombardowaniem, morzyć głodem i, odciąwszy od świata a pozbawiwszy wszelkiej nadziei na pomoc z zewnątrz, zmusić oblężonych do zdania się na łaskę i niełaskę. Podzielał pogląd króla Jan Zamoyski oraz Ernest Wejer z Pucka, dowodzący zaciężną piechotą, wojownik wielce doświadczony. Ale Jan Zborowski, wojewoda Kostka i kasztelan Firlej upewniali króla, że w Gdańsku istnieje silne stronnictwo pokojowe, że byle rozpocząć szturm do miasta, stronnictwo to weźmie górę i twierdzę podda.

Król nie zaniechał swego zamiaru, wysłał Wejera pod Latarnię, a sam rozłożył wojsko na Stolcenbergu i kazał ostrzeliwać miasto, by się przekonać, czy tą drogą istotnie można skutek osiągnąć.

Z obu stron przemówiły działa.

Ale po trzech miesiącach oblężenia, gdy Gdańsk trwał niezdobyty, król wszystkie wysiłki skierował na Latarnię i w drewnianych oszańcowaniach zamku kulami ognistemi wzniecił wielki pożar. Dwa dni i dwie noce zamek stał w płomieniach. W gruzy runęła wieża obronna z latarnią, załoga ustąpiła częściowo z zamku i skryła się za szańcami nad brzegiem morza, ale nie przestała bronić dostępu do warowni. Wejer z największym trudem przerzucił przez Wisłę most z powiązanych linami łodzi i rozpoczął szturm, przewożąc na statkach swą piechotę od północy Latarni, gdy król od południa przez most przeprawiał Węgrów i Polaków. Zaciężne wojska gdańskie wyruszyły na odsiecz i zajadle broniły zamku. Dwa dni trwały krwa-

we boje. Legł hetman wojsk gdańskich, Hans Wilkenbruch z Kolonji, ugodzony kulą między oczy, ranę odniósł komendant zamku, ale Latarnia trwała niezdobyta. Król nowy szturm nakazał, ale i ten nie osiągnął skutku. Nie dawał Batory za wygraną i do trzeciego szturmu szykował swe wojska.

Tymczasem gdańszczanie dokładali starań, aby most zniszczyć. Dwa zapalone statki, naładowane dziegciem i smołą, jak dwa ruchome pożary popłynęły Wisłą ku mostowi, ale zbyt wielki ogień sprawił, że oba się spaliły, nie dosięgłszy mostu. Wtedy oblężeni innego użyli sposobu. Za radą pewnego Holendra, nie zważając na ogień dział polskich, porąbali liny i rozluźnili wiązania w kilku częściach mostu, a następnie, korzystając z pomyślnego wiatru, puścili z wodą wielki a ciężki okręt, który w sam środek mostu uderzył z taką mocą, że most rozleciał się z trzaskiem, a szczątki jego popłynęły ku morzu.

Była to wielka klęska dla wojsk oblężniczych.

Król, wyczerpawszy prochy i kule, cofnął się do Malborga, by wzmocnić swe siły, lecz nieugięty w dążeniu, niezrażony niepowodzeniami, ani chwili nie myślał o pofolgowaniu zbuntowanej twierdzy. Owszem, z całą stanowczością utrzymywał, że „tym złym ludziom ani rzeki, ani wody, ani błota nie pomogą", że wszystko skończy się „niedługo ku więtszemu pożytkowi i dobremu Rzeczypospolitej". I z niesłabnącą energją przystąpił do nowych prac przygotowawczych.

Z przerwy w działaniach skorzystali gdańszczanie i obmyślili zuchwale łupieską wyprawę na Elbląg przy pomocy statków duńskich a pod wodzą admirała króla duńskiego, Eryka Munka. W nocy z 16 na 17 września zbójecka flota, złupiwszy po drodze Frauenberg, wpa-

dła do portu w Elblągu i rozgłośnym hukiem armat dała znać przestraszonym mieszkańcom o swem przybyciu. Trębacz, wysłany do miasta, wezwał władze miejskie do rozpoczęcia układów, ale elblążanie nie chcieli traktować że zdrajcami Rzeczypospolitej. Noc upłynęła w niepokoju i trwodze. Nad ranem napastnicy zapalili stojące u wybrzeża śpichlerze i, puściwszy je z dymem, rozniecili pożar na przedmieściach. Jednocześnie wojsko gdańskie rzuciło się na miasto i rozpoczęło rabunek.

Ale król czuwał nad Elblągiem. Domyślając się celu nowej wyprawy, posłał na ratunek wiernemu miastu piechotę węgierską pod dowództwem Bekiesza. Dzielny Węgier, nadciągnąwszy w samą porę, zjawił się niespodzianie, jak zwiastun zbawienia, wpadł z furją na łupieżców, przeraził ich i, ścieląc drogę trupem, pędził przed sobą aż do samego portu.

Elbląg ocalał.

Pomimo tej nauczki, gdańszczanie nie zaprzestali pomniejszych wypraw rabunkowych. Ale czas płynął, król przygotowywał się do nowego oblężenia, wojna obiecywała przeciągnąć się długo, a tymczasem wyczerpywały się zasoby pieniężne Gdańska, w mieście dawał się odczuwać brak żywności i wielka drożyzna trapiła mieszkańców. Gdańsk żył bogactwami Polski. Uzbroiwszy się przeciw Polsce, nie mógł rozwijać się i kwitnąć. Przyszła refleksja. Dalsza wojna wobec nieubłaganego króla nie zapowiadała nic dobrego. Spokornieli hardzi mieszczanie i zaczęli szukać okazji, by wrócić do posłuszeństwa i uzyskać zniesienie infamji.

Szczęśliwe okoliczności przyszły im z pomocą.

U króla w Malborgu bawili właśnie posłowie rzeszy niemieckiej, by załatwić sprawę opieki nad obłąkanym księciem pruskim, Fryderykiem Albrechtem. O tę opiekę zabiegał brat stryjeczny księcia, Jerzy Fryderyk, margrabia na Anspachu: opieka oddawała w ręce margrabiego władzę zwierzchniczą nad księstwem. Jako najbliższy krewny chorego, miał on prawo do dziedzictwa, gdyby Albrecht zmarł bezpotomnie. Ale prawa nie przewidywały, kto w razie choroby księcia ma sprawować władzę. Żona chorego i stany pruskie prosiły króla, by z własnego ramienia wyznaczył rządzących komisarzy. Jerzy Fryderyk nie cieszył się w Prusach zaufaniem. Król miał wolną rękę i według własnego uznania mógł powziąć decyzję.

Sprawa posiadała wielką doniosłość dla Rzeczypospolitej: na czele rządów w Prusach mogli stanąć Polacy i silniej związać je z Polską. Albrecht, jak się okazało później, chorował jeszcze lat 40 i przeżył dwóch opiekunów. A był to tak długi przeciąg czasu, że mógł całkowicie zmienić wzajemny stosunek dwóch państw i Prusy Książęce, tak złowrogie w późniejszych dziejach narodu polskiego, całkowicie od Polski uzależnić.

Tymczasem król Stefan spełnił życzenia Jerzego Fryderyka.

Niejednokrotnie czyniono z tego powodu ogromne zarzuty Batoremu, utrzymując, że decyzją swoją utrudnił ściślejszy i korzystniejszy dla Rzeczypospolitej związek z Prusami.

Trudno przypuścić, aby król nie dostrzegał pomyślnych okoliczności i nie widział, że nadeszła sprzyjająca chwila, by w stosunku do Prus zerwać z chwiejną polityką Jagiellonów Ale w owej właśnie chwili nie

był panem położenia. Miał ręce skrępowane i nie mógł decydować swobodnie. Zgodnie z jego przewidywaniami, Rzeczpospolita już była poważnie zagrożona. Srogie wieści dręczyły króla w czasie uśmierzania Gdańska. W marcu (1577 r.) Tatarzy spustoszyli Podole i Wołyń, zapuścili się aż pod Dubno. Postawa Turcji w dalszym ciągu budziła obawy. Ale jeszcze większe niebezpieczeństwo groziło ze strony cara, który, korzystając z kłopotów króla, wpadł do Inflant polskich i mordem a pożogą utwierdzał w tym kraju okrutne swe panowanie.

Wszystkie myśli króla biegły na wschód i południe.

Gdańsk był sprawą wewnętrzną Polski, ale rozprawa z szalejącym w Inflantach carem, stawała się potrzebą nagłą, zagrażała najżywotniejszym interesom Rzeczypospolitej, wymagała potężnych środków i olbrzymich przygotowań. A tymczasem niepodobna było rozpoczynać wojny z Moskwą, nie skończywszy z Gdańskiem. Król gwałtownie potrzebował pokoju nad Wisłą. A właśnie posłowie rzeszy, zgodnie popierający żądania Jerzego Fryderyka, otrzymywali listy od gdańszczan, by przyczynili się do zawarcia z królem pokoju.

Było to cenne pośrednictwo, bo niemiecki Gdańsk wielce liczył się z niemieckiemi państwami rzeszy, które mu pomagały. Tak więc pomiędzy decyzją Batorego w sprawie Prus a sprawą Gdańska, nie trudno dopatrzeć się ścisłego związku. Sprawa ta właściwie była zdecydowana już wcześniej, na radzie senatorów we Włocławku, gdy król, pozbawiony przez sejm wszelkich środków, szukał pomocy i wysyłał do margrabiego poselstwo po zasiłki pieniężne. Członek tego poselstwa, dziejopis Bielski utrzymuje, że król, naglony okolicznościami, musiał tak uczynić, a wszystko

świadczy, że w położeniu ówczesnem nie miał innego wyjścia.

Układy z Gdańskiem, wznowione przy pomocy niemieckiej, pomyślnym skończyły się rezultatem.

Ukorzyło się dumne miasto i przemawiało do króla coraz pokorniejszym głosem. Ale śląc listy pełne skruchy, błagając o miłosierdzie, targowało się zawzięcie o warunki z posłami królewskimi i tysiączne robiło trudności. Lecz król był nieugięty i żądał wszystkiego, czego domagał się od początku.

Ostatecznie, po długich i zaciętych targach, dnia 12 grudnia 1577 r. stanął układ, kończący uciążliwą wojnę.

Gdańsk zobowiązywał się prosić króla o przebaczenie, zapłacić ratami w ciągu lat czterech 200.000 złp., złożyć przysięgę wierności, rozpuścić żołnierzy, dać na odbudowę klasztoru w Oliwie 20.000 złp., wreszcie, zgodnie z dawnemi zwyczajami, wpłacać do skarbu należne opłaty. Ze swej strony król przyrzekł znieść infamję, potwierdzić w myśl przysięgi koronacyjnej prawa i przywileje gdańszczan, zapewnić im swobodę wyznania.

Inne sprawy sporne zostały odłożone do decyzji najbliższego sejmu.

Dnia 16 grudnia 1577 r. komisarze królewscy odbierali w sali ratuszowej przysięgę od władz miejskich.

Wojna z Gdańskiem była skończona.

Dzięki energji i stałości króla, najważniejsza strażnica przestworów Baltyku pozostała we władaniu polskiem.

Prócz olbrzymich kłopotów wojna ta nic nie przyniosła królowi. Nie przysporzyła mu nawet sławy

wojennej. Ale król rozumiał to dobrze, sam bowiem pisał, że kto spraw wojennych jest świadom, temu wiadomo, że nieraz „zawołani walecznicy” znacznie słabsze miasta o wiele dłużej dobywali, uchylając się od brania ich szturmem, aby je w całości z nagromadzonemi dostatkami i bogactwem, kwitnące i niezniszczone, pod moc swoją wziąć mogli.

I Gdańsk, acz później na sejmie uzyskał znaczne ulgi, nie osiągnął swym buntem żadnych korzyści.

A jednak ta wojna była wielkiem dla kraju nieszczęściem.

Rozzuchwaliła cara, wywołała napad Tatarów, była główną przyczyną doniosłej a niekorzystnej decyzji w sprawie Prus Książęcych, oderwała króla od innych zadań, na półtora roku pochłonęła jego siły, zapał, energję, oddaliła go od narodu, zmusiła do odłożenia wielkich zamiarów, które długie lata piastował w głębi swej duszy, a których się nie wyrzekł, gdy jechał do Polski, by zasiąść na tronie Jagiellonów. Osiągnąwszy cel, nie przestał być Węgrem i Węgry za swą ojczyznę uważać. Ale jako król polski poczuwał się do obowiązku stać na straży honoru Rzeczypospolitej, walczyć z jej nieprzyjaciółmi, bronić jej całości i stanąć do orężnej rozprawy z jej śmiertelnym wrogiem.

Wojna z Moskwą była zresztą w zgodzie z jego wielkim planem, gdyż dopiero po zapewnieniu Polsce pokoju mógł zabrać się do wielkiego dzieła, które było promiennem marzeniem jego życia, miało bowiem złamać moc Turcji, zapewnić pokój państwom chrześcijańskim i wyzwolić ukochane Węgry.

Czekało króla nielada zadanie.

Okrutny car Iwan był wrogiem potężnym, panował na niezmiernych przestrzeniach, posiadał olbrzymie środki, a wojował mieczem, chytrością i zdradą.

Na walce z Iwanem Groźnym upłynęło Batoremu pół panowania w Polsce.

Straszny wróg Rzeczypospolitej zasługuje na bliższą uwagę.

V.

IWAN GROŹNY.

Był ten straszny wróg dwukrotnie kandydatem do korony polskiej. A nie wypłynęła ta kandydatura przypadkowo, nie wysunęło jej jedynie przekonanie szlachty, że car moskiewski, zasiadłszy na tronie polskim, przestanie rościć sobie pretensje do ziem litewsko-ruskich, że, budując złoty most zgody pomiędzy Polską a Moskwą, dokona wielkiego dzieła ku chwale i szczęściu obu narodów. Nie tylko masa szlachecka, naogół ciemna, a prostolinijnie rozumująca, myślała o wyborze Iwana. Zwolennikiem tej kandydatury był Jan Zamoyski, którego wielki rozum polityczny każe się głębszych domyślać pobudek. O oddaniu tronu północnemu barbarzyńcy myślał ostatni z Jagiellonów, bystry Zygmunt August, król przezierający przyszłość daleką, statysta mądry, wytrawny. Toż ten król widział w carze śmiertelnego wroga, wobec całego sejmu opłakiwał utratę Połocka, chciał z Iwanem walczyć na śmierć i życie, a zadał mu cios straszliwy, przeciwstawiając zaborczości carskiej wiekopomne swe dzieło: unję lubelską. Tą unją szachował Zyg-

munt August zaborczość Iwana, tą unją wolnych i równych z równymi i wolnymi nie bez powodzenia wabił ku Polsce ludy, leżące pomiędzy Rzecząpospolitą a państwem moskiewskiem i w samej stolicy cara, śród jego własnych bojarów budził zbrodnicze w pojęciu carskiem marzenia. Idea wolności polskiej, idea powiązanych złotemi nićmi tej wolności ludów promieniowała szeroko, w samej swej zasadzie obalała despotyzm i krwawe panowanie cara.

Dla Zygmunta Augusta wprowadzenie na tron polski Iwana równało się rozszerzeniu wolności polskiej na całe jego państwo. Ta wolność, ogarnąwszy naród moskiewski, miała w nim zabić instynkty niewolnicze i poprowadzić szlakami tej samej przyszłości, ku której Polska wiodła podówczas związane z nią ludy.

Zamoyski, który cieszył się zaufaniem Zygmunta Augusta, znał zapewne pobudki, co skłoniły ostatniego Jagiellona, schodzącego bezpotomnie ze świata, do rzucenia projektu oddania korony polskiej północnemu władcy. Zamoyski również pociągnięty został świetną perspektywą załatwienia sporu polsko-moskiewskiego ku nowej chwale Rzeczypospolitej. Ale żądania carskie najwidoczniej otworzyły mu oczy na istotne zamiary Iwana, bo porzucił jego sprawę i na piastowskim tronie Piasta chciał osadzić.

A te zamiary tkwiły głęboko nie tylko w polityce poprzedników Iwana Groźnego, ale w nim samym, w jego całem życiu, wyrosłem na gruncie niewolnictwa, w jego naturze, w jego wychowaniu, wreszcie w jego programie, który wypracował dla swego carstwa, a który miał je uczynić światową potęgą o swoistym charakterze moskiewskim, wrogim kulturze Europy, a nienawistnym prądom wolności, której źródło

biło w Rzeczypospolitej i sięgało swemi strumieniami na wschód, północ i południe.

Zygmunt August w samym carze chciał zabić cara. Było to niepodobieństwo. Iwan Groźny, poprzednik Piotra Wielkiego, nie prowadził jakiejś polityki osobistej, lecz politykę moskiewską, zgodną z dążeniem swego narodu, na narodowych instynktach moskiewskich opartą, z głębin ducha moskiewskiego wysnutą. Ta polityka przez długie wieki była drogowskazem dla carów późniejszych, a po upływie trzech stuleci nie przestała budzić zachwytu i podziwów.

— „To była, — powiada o Iwanie Groźnym znany historyk rosyjski, prof. Traczewski, — jedna z tych natur tytanicznych, które z oddali wieków uderzają potomnych swoją wielkością, jak niewzruszone słupy graniczne, stojące na rubieży dwóch epok".

Iwan Groźny, zdaniem nie tylko prof. Traczewskiego, ale wielu historyków rosyjskich, był wodzem nowej epoki, wodzem, który z wnętrza narodowego wydobył na jaśnię potęgę moskiewską, tchnął w nią swego ducha, nadał jej kształt, bieg i kierunek.

Niepodobna zrozumieć tej strasznej a niezwykłej postaci bez wniknięcia w dzieciństwo Iwana, bez poznania warunków, śród których wzrastał, uczył się myśleć, cierpieć, nienawidzieć i rządzić.

Iwan Groźny miał lat trzy, gdy odumarł go ojciec, lat ośm, gdy utracił matkę, Helenę Wasilównę Glińską, otrutą przez podstępnych bojarów. Pozostawiony sam sobie, opuszczony przez wszystkich, w zaraniu swej młodości pasł oczy widokiem okrucieństw i zbrodni. W jego zastępstwie, jako małoletniego w. księcia, do władzy dorwali się potężni książęta Szujscy, wywodzący swój ród od Ruryka. Pierwszym

ich czynem było rzucenie się na faworyta otrutej Heleny, księcia Telepniewa-Obolenskiego, którego wtrącili do więzienia i zadręczyli głodem. Później rozpoczęli walkę z księciem Bielskim, który się od Gedymina wywodził, a również rościł sobie pretensje do władzy. Szujscy uknuli przeciw rywalowi spisek, porwali Bielskiego podstępem z własnego domu, wysłali go z Moskwy, a następnie kazali zamordować.

Usunąwszy swych wrogów, Szujscy opiekowali się małoletnim w. księciem i rządzili wszechwładnie. Nie mając nikogo nad sobą, z nikim nie dzieląc władzy, rabowali skarb państwa, popełniali niesłychane nadużycia, a jeśli znalazł się śmiałek, coby im usiłował przeszkadzać, to ginął w lochach więzień lub oddawał życie pod pałkami siepaczów.

Przyszły car Moskwy traktowany był, jak dziecko żebracze. Nieraz cierpiał głód, nieraz nie miał się w co ubrać. Lekceważony, głodny, obdarty, nienawidził swych dręczycieli. A miał nienawidzieć za co, bo drażnili go, upokarzali, pozwalali sobie nawet w obecności chłopca bezcześcić pamięć jego rodziców. Nieszczęśliwy sierota przywiązał się do bojara Fiedora Woroncowa, który, być może, z wyrachowania okazywał przyszłemu władcy współczucie. Dostrzegli to Szujscy i postanowili zamordować ulubieńca wielkoksiążęcego, w obawie, by ten nie zajął kiedyś ich miejsca. Nie zważając na nic, nie licząc się z wrażeniem, jakie mogą wywołać, w oczach Iwana rzucili się przy pomocy innych bojarów na nieszczęsnego Woroncowa, zaczęli go policzkować, drzeć na nim szaty, bić i katować w najstraszliwszy sposób. Prośby Iwana wstrzymały morderców. Ale miły sercu chłopca Woroncow zesłany został do Kostromy.

Śród takich wydarzeń upływały lata chłopięce przyszłego cara.

Iwan już w zaraniu swego życia oddychał powietrzem, przesyconem wyziewami krwi. Wzrastał w atmosferze gwałtów, morderstw, tortur i okrucieństw. Był ciekawy, zdolny, żywy i pojętny, ale nikt nie myślał poważnie o rozwijaniu jego umysłu. Chłopiec kształcił się sam. Wsłuchując się w jęki dręczonych ofiar, mając uszy pełne złorzeczeń i przekleństw, studjował ojców kościoła i z upodobaniem pochłaniał pismo święte. Pozbawiony wszelkich podstawowych wiadomości, wytworzył sobie zczasem jakąś teorję, która była przedziwną mieszaniną pisma świętego z pojęciami, wyniesionemi z własnych doświadczeń życiowych. Była to jakaś religja okrucieństwa, a zarazem religja samoubóstwienia. Rozwinięto w nim najgorsze instynkty, nauczono go gardzić życiem i godnością ludzką, ale z piersi syna Wasyla, nie wydarto szalonej dumy, nie zabito w nim świadomości, że stanie kiedyś na czele rządów. Iwan, przypatrując się temu, co czynią bojarowie, rozumiał, że jemu, ich panu wolno o wiele więcej. Młody tygrys cierpiał i czaił się do skoku. Wcześnie miał przekonać swych mistrzów, że ich nauka w las nie poszła. Jakoż niespodziewanie dla wszystkich, mając lat trzynaście, po raz pierwszy pokazał drapieżne pazury. Oto rozkazał oprawcom porwać i zabić głównego swego opiekuna, Andrzeja Szujskiego.

Stało się, jak kazał.

Iwan zrozumiał, że doszedł do władzy. Od tej pory wypowiada walkę pragnącym wzmocnić swe znaczenie bojarom, których nienawidzi, którym nie może zapomnieć, jak nim, swym panem poniewierali. Więc



IWAN GROŹNY,
rys. Mikołaja Utkina.

sypią się niełaski, wyroki, kary, wymierzane znienacka młodziutką, lecz śmiałą, pewną siebie ręką. Iwan jest podejrzliwy, nie ufa nikomu, w każdym widzi zdrajcę. Powróconego z wygnania Woroncowa sam skazuje niebawem na wygnanie, Buturlinowi każe wyrwać język, innych ściga torturami w więzieniach. Nikt nie protestuje, nikt nieośmiela się stawić mu czoła. Korzą się przed nim bojarowie, patrzą na niego z zabobonnym strachem, słuchają go ślepo. W siedemnastym roku życia (1546 r.) w. książę oświadcza metropolicie i bojarom, że postanowił się ożenić, a przedtem koronować się na cara. Powołuje się na przykład praojców, powiada, że chce iść śladami Monomacha. Rozczula się metropolita, ze łzami w oczach podziwiają bojarowie mądrość młodziutkiego monarchy, nie mogą wyjść ze zdumienia, że wielki książę ma odwagę przyjąć tytuł, którego nie ośmielili się używać ojciec i dziad jego.

Od tej pory zaczyna się panowanie cara.

Pierwsza z sześciu żon jego, Anastazja, córka znakomitego bojara Zacharyna-Koszkina umie łagodzić krwiożercze instynkty małżonka. Po pewnym czasie ustają gwałty i morderstwa. Car, przy pomocy popa Sylwestra i dworzanina Adaszewa, zajmuje się prawodawstwem, urządza wewnętrzne stosunki w państwie, zwołuje sobór ziemski, później sobór duchowny, wychodzi z procesją do ludu, prosi o przebaczenie za krew przelaną z winy bojarów, obiecuje być sprawiedliwym, miłosiernym. Po dziesięcioletnim okresie spokojnych rządów car zmienia się. Sylwestra skazuje na zesłanie do klasztoru sołowieckiego na wyspie śród Białego morza, Adaszewa odsuwa od siebie i wysyła do Inflant. Po śmierci pierwszej żony zaczyna pić,

hulać, pławić się we krwi bojarów. Podejrzewa ich nieustannie o zdradę i tępi bez miłosierdzia. Ale środki, których w stosunku do nich używa, wydają mu się niedostateczne. Szuka sposobów nowych, skuteczniejszych, dochodzi do samowiedzy, czem car być powinien.

I wpada na pomysł nadzwyczajny.

W końcu r. 1564-go ku największemu zdumieniu mieszkańców Moskwy Iwan z całym dworem, z dziećmi, ze służbą, ze świętemi ikonami, ze skarbem, opuszcza manifestacyjnie stolicę i przenosi się do słobody Aleksandrowskiej. W miesiąc potem przesyła do metropolity pismo, w którem wyliczywszy zdrady, przestępstwa i zbrodnie bojarów oraz duchowieństwa, oświadcza, że postanowił zrzec się władzy, opuścić państwo i osiedlić się, gdziekolwiek Bóg wskaże. Jednocześnie rozkazuje metropolicie odczytać publicznie nadesłaną przez niego hramotę do kupców i całego „prawosławnego chrześcijaństwa" miasta Moskwy, w której to hramocie upewnia lud moskiewski, że darzy go swą łaską i nie ma mu nic do zarzucenia. Rzuca zarzewie niezgody pomiędzy lud a bojarów i duchowieństwo, wiedząc zgóry jaki będzie rezultat.

I nie zawodzi się w przewidywaniu.

Na wieść o postanowieniu cara jęk rozpaczy podnosi się w Moskwie. Wysłana do Iwana deputacja błaga go, by rządził, jak chce, byle tylko z powrotem władzę ujął w swe ręce. Na to właśnie czekał, tego się spodziewał. Więc pozwolił się ubłagać, ale zastrzegł, że inaczej swe państwo urządzi, że zdrajców i buntowników ścigać będzie swą niełaską, że będzie ich karał, więził, tracił, a majątki zabierał na rzecz skarbu. Deputacja godzi się na wszystko: car ma cał-

kowicie rozwiązane ręce, otrzymuje przyzwolenie stolicy na takie rządy, jakie sam uzna za stosowne.

Wtedy tworzy słynną **opryczninę**, otacza się dworem, złożonym z ludzi zaufanych, z **oprycznik ó w**, którzy składają przysięgę, że spełnią wszelki rozkaz carski, że wyrzekną się ojca, matki, brata, że będą pilnowali cara i jemu jednemu służyli. Iwan tworzy nową epokę w życiu państwa moskiewskiego. Jego opryczniey z wyszytemi na czaprakach miotłami i psiemi głowami na znak, że wymiatają z państwa zdradę, a carowi są wierni, jak psy, zrozumieli swą rolę i odrazu stanęli na wysokości zadania.

Teraz dopiero od osoby cara powiała groza na całe państwo.

Zadrżała ziemia moskiewska pod ciosami katów, zawyła z bólu, przerażenia, lęku, skuliła się nabożnie u nóg cara, czekając nieustannie na nowe wybuchy jego gniewu, jak na bijące z zagniewanego nieba pioruny. A Iwan Groźny, wzniósłszy nad tą pokorną, niewolniczą ziemią topór dzikiej pomsty, na jedną chwilę nie ustawał w swej państwowej pracy. Ciosy, które zadawał, były błyskawicznie szybkie, zwrotne, nagłe, a nieodgadnione, jak sama myśl cara. Iwan nie szczędził mężów, kobiet, starców, dzieci, mordował swych wrogów, mordował swych przyjaciół. Możnaby powiedzieć, że mordował ślepo, niepoczytalnie, gdyby nie jego metoda, gdyby nie jego widoczna dążność, by cały naród lękał się nieustannie, by blade widmo śmierci ciągle miał przed oczyma, by każdego owiewało lodowate tchnienie carskiego okrucieństwa.

Jakoż nikt nie mógł być pewnym dnia jutrzejszego, nikt nie mógł wiedzieć kiedy, za co i w jaki sposób dosięgnie go krwawa ręka straszliwego cara.

Ulubieniec Iwana Wiaziemski wyzionął ducha śród najstraszniejszych tortur. Drugi ulubieniec Basmanow zginął, zabity na rozkaz carski ręką własnego syna. Arcybiskup nowogrodzki, zaszyty w skórę niedźwiedzią, rzucony został zgłodniałym psom na pożarcie. Przełożony klasztoru sołowieckiego, słynący ze świątobliwego życia zakonnik Filip, przyjąwszy skutkiem nalegań carskich godność metropolity, z wielką odwagą publicznie napominał Iwana, aby zaprzestał krwawego dzieła. Wtedy Filipa oskarżono o zdradę. Opricznicy wywlekli go z soboru uspieńskiego, zdarli z niego szaty i ku oburzeniu ludu, który, łkając, biegł za kochanym metropolitą, powlekli go na saniach, bijąc po głowie miotłami. Ale lud nie śmiał sprzeciwić się oprawcom. Filip został wtrącony do klasztoru w Twerze. Po pewnym czasie zjawił się w klasztorze słynny opricznik Maluta Skuratow i zażądał, by Filip przesłał carowi swe błogosławieństwo. Nieustraszony starzec odpowiedział, że może błogosławić tylko ludziom cnotliwym. Wtedy zbir carski zadusił go własnemi rękoma.

Tak zginął najwyższy dostojnik duchowny w państwie.

Taki, lub gorszy jeszcze los czekał każdego, na kogo padły zagniewane oczy cara lub oczy jego opryczników.

Morderstwom jednostek towarzyszyły morderstwa, dokonywane zbiorowo.

Wicher śmierci rozhulał się po olbrzymich przestrzeniach państwa moskiewskiego. Wszystko drżało, wszystko było pogrążone w niepokoju i trwodze, nikt nie ośmielił się skarżyć lub protestować. Jeden car był spokojny, jeden car skarżył się nieustannie i na-

wet w testamencie swym wyrzekał, że nikt się nad nim nie użali, nikt go nie pocieszy, że wszyscy płacą mu złem za dobre, nienawiścią za miłość. Pobożny car mordował i modlił się. Modlił się i mordował. Chodził do cerkwi, obmyślał tortury i prawił o Bogu miłosiernym.

A tymczasem całe prowincje pławiły się we krwi.

Wobec okrucieństw Iwana bledną okrucieństwa świętej inkwizycji, Filip II staje się szlachetnym, okrutny ks. Alba—litościwym, a Henryk VIII i Cezar Borgja wyglądają, jak partacze, co w krwawem rzemiośle nie dosięgli połowy tej wysokości, na jaką umiał wznieść się car moskiewski, ten kat nad katy, demon mordu, genjusz okrucieństwa.

Przykład ukarania Nowogrodu, podejrzanego o sprzyjanie królowi polskiemu, może iść w zawody z przykładami zbiorowych morderstw za czasów Nerona.

Na Nowogrodzie Iwan postanowił okazać nienawistnemu królowi, jak traktuje poddanych, którym wolność polska, a przedewszystkiem znienawidzona unja lubelska nasunęła myśl szukania opieki pod skrzydłami Rzeczypospolitej. Chciał zarazem odstraszyć na zawsze wszystkich swych poddanych od podobnej próby. Istotnie dzieło unji oddziaływało na umysły wykształceńszych bojarów. Niektórzy z nich, uciekając przed toporem carskim, w Polsce znajdowali schronienie. Iwan na myśl o tych zdrajcach szalał, albowiem nienawidził panującej w sąsiedniem państwie wolności, a wszelkie stosunki z Polską uważał za najcięższą zbrodnię. Więc wystarczyło oskarżenie Nowogrodu o chęć oddania się pod opiekę królowi polskiemu, wystarczyły dokumenty, których autentyczność

budziła wielkie wątpliwości, by na nieszczęsne miasto ściągnąć straszną pomstę.

W styczniu 1570 roku zjawił się w Nowogrodzie pierwszy oddział karny, otoczył miasto, by nikt nie mógł uciec, i, rabując cerkwie oraz prywatny dobytek, rozpoczął aresztowania. Tysiące ludzi zakuto w kajdany. Wkrótce potem przyjechał na sąd sam car, przyjechał ze starszym synem, z całym dworem i strzelcami. Pięciuset mnichów, porwanych z klasztorów w Nowogrodzie i okolicy, zaraz kazał zatłuc kijami na śmierć. Władykę, który przed świątynią witał go krzyżem, nazwał wilkiem i zdrajcą, był jednak na nabożeństwie, a następnie udał się do pałacu władyki na obiad. Niespodziewanie w czasie uczty wydał ryk przeraźliwy. Na ten sygnał otoczenie carskie porwało się do rabunku pałacu, a następnie soboru.

Władykę uwięziono.

Car udał się na Horodyszcze. Tutaj codziennie przed oczy carskie przyprowadzano kupców, urzędników, osoby wszelkiego stanu i powołania. Więźniów, dla wydarcia zeznań, poddawano wyszukanym torturom, potem oblewano jakąś cieczą, którą podpalano i żywych ludzi, płonących jak pochodnie, wleczono saniami do miasta i strącano z mostu do rzeki. Kobietom krępowano ręce, wiązano nogi i topiono je wraz z dziećmi, przywiązanemi do piersi. Na falach pełnej trupów i ciał okrwawionych rzeki unosili się w małych zwinnych łódkach carscy siepacze i pilnowali, by nikt nie ocalał. Kto, czyniąc nadludzkie wysiłki, próbował wydostać się z toni, ten otrzymywał w głowę uderzenie siekierą lub pchany pikami, pogrążał się w toni.

W ten sposób w ciągu pięciu tygodni tracono codziennie po kilkaset osób. W szóstym tygodniu zaczęto łupić cerkwie, klasztory, sklepy, rozwalać domy. Wielki Nowogród stał się małą, pełną trupów i ruin mieściną. Ale Iwan nie poprzestał na Nowogrodzie, lecz całą jego okolicę w promieniu dwustowiorstowym postanowił podobnie ukarać. Na rozkaz cara rozeszły się na wszystkie strony jego karne drużyny. Wszędzie burzono siedziby ludzkie, rąbano drzwi, okna, rozwalano ściany, rabowano mienie, wzniecano pożogę, w pień wycinano mieszkańców. Cała okolica, pełna zbryzganych krwią ludzką gruzów i zwalisk, stała się jednym, o pomstę do nieba wołającym cmentarzem.

Tak rządził Iwan Groźny w swem carstwie.

I doprowadził do tego, że nie było w tem państwie innej woli oprócz woli cara, nie było innej myśli oprócz myśli carskiej. Każdy musiał tak żyć, pracować, oddychać, mordować i umierać, jak się podobało carowi. Zagasło wszystko. Jedynem światłem, jedyną prawdą, jedynem prawem stało się jedynowładztwo carskie. Przez morze krwi, przez góry trupów doszedł Iwan Groźny do samodzierżawia, utrwalił je na długie wieki, uczynił z niego religję narodową. Głosił, że „prawda i światło dla narodu jest w poznaniu Boga i władcy od Boga danego". Iwan sam się uważał za boga w swem carstwie. Długa niewola tatarska wyrobiła w narodzie moskiewskim instynkty niewolnicze. Iwan te instynkty pogłębił, rozwinął i utrwalił. Wszystkich swych poddanych przemienił w niewolników i z niewoli całego ludu moskiewskiego uczynił fundament, na którym rozrosła się i wybujała potęga caratu. Iwan wynalazł do tej potęgi drogę i stworzył

ją dla narodu moskiewskiego, tak jak naród moskiewski wyhodował i stworzył sobie Iwana.

Pan życia i śmierci, wszechwładny samodzierżca w swem państwie, car uważał się za istotę wyższą w stosunku do innych monarchów. W uczoności swej wywodził swój ród wprost od brata Juljusza Cezara, popisywał się tak wysokiem starożytnem pochodzeniem i, być może, uwierzył w nie zczasem. Innych monarchów, z wyjątkiem sułtana, który był w jego oczach panem z panów, traktował wyniośle, jako istoty niższe, nie mogące się z nim mierzyć wspaniałością rodu. Z królem szwedzkim, jako królem „pochodzenia chamskiego" nie chciał nawet bezpośrednio traktować. Posłom Rzeczypospolitej nieraz okazywał wzgardę. Od cesarza i innych monarchów żądał, by pierwsi przysyłali do niego wielkich posłów „sam posługiwał się gońcem lub posłem zwykłym a wielkie poselstwo, upoważnione do traktowania, wysyłał, a przynajmniej wysyłać się starał po uprzedniem wysłaniu takiegoż poselstwa do Moskwy przez zainteresowane mocarstwo, choćby to interes był wspólny, albo nawet wyłącznie interes carstwa. Liczył się z chanem krymskim, ale gdy czuł się na siłach, okazywał mu jawną pogardę. Posłom chana, przysłanym z żądaniem haraczu, rozgniewany Iwan kazał pewnego razu obciąć uszy, nosy, wykrajać wargi i tak okaleczonych wyprawił z powrotem. A chanowi zamiast haraczu posłał topór, na znak, by strzegł swej głowy przed gniewem cara moskiewskiego.

Był groźny dla sąsiadów. Posiadał wielkie bogactwa, olbrzymie środki pieniężne, a setki tysięcy zbrojnego ludu stawało w szeregach na jego zawołanie. Korzystając z niepokojów w carstwie kazańskiem, pod-

bił je w r. 1552 i przyłączył do swych posiadłości. W cztery lata potem taki sam los spotkał carstwo astrachańskie.

Iwan stał się panem całej Wołgi, posunął swe granice aż do podnóża gór Kaukazu.

Takim świetnym rezultatem uwieńczone podboje rozpaliły w carze żądzę dalszych zaborów. Zkolei zatrzymał wzrok na Krymie. Ale za chanem krymskim stał sułtan turecki, a z wojowniczą Turcją, stojącą wówczas u szczytu swej wojennej sławy, nie ważył się Iwan Groźny rozpoczynać walki. Pozostawił to następcom, sam postanowił zwrócić swe wysiłki na zachód. Jako pan „wszystkiej Rusi” miał pretensje do wszystkich ziem ruskich w granicach Rzeczypospolitej. Zaczął o tych ziemiach mówić, jako o swojem dziedzictwie, rościł sobie prawo do Kijowa, Wołynia, Podola, aż za Bugiem chciał widzieć zachodnie granice swych posiadłości. I do Prus rościł sobie pretensję, twierdząc, że ten kraj należał do jego przodka, jakiegoś Prusa, którego sobie wymyślił, bo miał na zawołanie takich przodków, jacy mu tylko mogli być potrzebni. Układał się z cesarzem, zamierzał rozszarpać Polskę, a wojnę z nią rozpoczął w Inflantach, które dawały Moskwie niezbędny dla jej dalszego rozwoju dostęp do morza, a były kluczem do opanowania ziem litewsko-ruskich.

Pomiędzy Rzecząpospolitą a potężnem carstwem musiało dojść do śmiertelnej rozprawy.

Rozkład zakonu rycerzy mieczowych, dokonany ostatecznie pod wpływem reformacji, już w r. 1557 skłonił Zygmunta Augusta do czynnej interwencji w Inflantach. Ale w roku następnym wkroczyły do Inflant wojska moskiewskie, w r. 1560 Szwedzi zajęli

Estonję, wreszcie brat króla duńskiego Magnus opanował wyspę Ozylję. Zaczęła się wojna, prowadzona przez cztery państwa, zainteresowane panowaniem na wybrzeżach Bałtyku.

Zygmunt August widział jasno niebezpieczeństwo, gdyby potężny car posiadł krainę, „żyzną, hojną, zamkami i miasty budowną, porty morskiemi obfitą" i gdyby z tej krainy mógł czynić zagony na Litwę. Więc wojnę z carem rozpoczął. Wojska królewskie stoczyły zwycięsko kilka bitew z Moskalami, odebrały im parę zamków. Inflantczycy w obawie przed carem oddali się pod opiekę Polski i w r. 1561 przez stany swoje dobrowolnie złożyły Zygmuntowi Augustowi przysięgę poddańczą. Kettler, ostatni mistrz zakonu otrzymał Kurlandję i Semigalję, jako dziedziczne księstwo lennicze Rzeczypospolitej, a Ryga dostała samorząd i przywileje na podobieństwo Gdańska.

Ale car nie myślał ustępować, a wmieszanie się Szwecji i Danji obok rozprawy orężnej wywołało zawikłane zapasy dyplomatyczne. Próbował Iwan nakłonić do zdrady Kettlera, potem sprowadził do Moskwy Magnusa, ożenił go ze swą siostrzenicą, uczynił go swoim lennikiem i mianował „królem liwońskim". W roku 1563 niespodziewanym napadem zdobył na Polsce Połock, a choć w otwartem polu wojska moskiewskie w spotkaniu z bitnymi Litwinami stale ponosiły porażki, car odrzucał dumnie propozycje pokojowe i nie ustawał w dążeniach, by całe Inflanty zagarnąć pod swe berło.

Zygmunt August był bystrym politykiem, ale nie był wodzem, nie umiał wyzyskać kłopotów Iwana i zwycięstw wojsk litewskich. W roku 1570 zawarł z carem rozejm na trzy lata, zabezpieczył na pewien

czas Inflanty od napadów carskich, ale utracił Połock, a carowi dał możność wkroczenia do Estonji i rozpoczęcia wszystkiemi siłami wojny ze Szwecją.

Car nie wyrzekł się na chwilę zamiaru zdobycia całych Inflant, lecz po śmierci Zygmunta Augusta wstrzymywał się z krokami zaczepnemi. O koronie polskiej myślał w czasie obu bezkrólewi, to łudził się nadzieją pozyskania Litwy, to znowu czekał, aż się wyjaśni położenie. Ale gdy na tronie polskim zasiadł w r. 1576 Stefan Batory, car przyjął wysłańców Batorego, lecz żądał, aby nowy król przysłał wielkie poselstwo celem omówienia warunków wzajemnej zgody między Rzecząpospolitą a Moskwą.

Był jednak dotknięty, że Batory podobnie jak Zygmunt August nie nazywał go carem, że nie przyznawał mu tytułów księcia smoleńskiego i połockiego, a natomiast siebie mienił panem Inflant, które, jak mówili posłom polskim bojarowie, są ziemią prawowitą cara.

Bunt Gdańska wydał się Iwanowi odpowiednią chwilą do rozpoczęcia kroków zaczepnych.

Najpierw jednakże postanowił odebrać Szwedom Rewel. W styczniu 1577 r. wezwał miasto do poddania się, grożąc, że w razie oporu powtórzy się zburzenie Jerozolimy. Ale rewlanie nie przestraszyli się groźby, nie otworzyli bram miasta, a wojska carskie, po dwóch miesiącach oblężenia zmusili do wycofania się z pod twierdzy.

W czerwcu tegoż roku sam car stanął na czele sił wielkich i pomstę zapowiadał Rewlowi. Ale niespodziewanie wyruszył pod Rygę i, niosąc pożogę, wycinając w pień bezbronnych mieszkańców, zaczął opanowywać nieprzygotowane do obrony zamki i miasta.

Gdzie stąpił, tam ziemia stawała w płomieniach, a krew płynęła strumieniami. Załogę zamków, które nie poddały się na pierwsze wezwanie, w okrutny sposób mordował. Na rozkaz carski jeńców smażono na wolnym ogniu, wydzierano im języki, obcinano uszy, nosy, wypalano oczy. Spokojną ludność rabowano, mordując starców, kobiety i dzieci. Stawiających opór wiązano i układano szeregami na bagnach, a Iwan przez taką drogę, zbudowaną z żywych ciał ludzkich, rozkazał przejeżdżać wozom z ciężarami. I oto na zgliszczach pełnych trupów, śród jęków i przekleństw, car, czerwony od krwi i ognia, jak szatan zniszczenia utwierdzał w nieszczęsnym kraju swe panowanie!

„Król liwoński" Magnus spostrzegł się, co grozi jego „królestwu". W obawie przed carem wysłał posłów do księcia kurlandzkiego i prosił go o pośrednictwo, gdyż z częścią posiadanego kraju zapragnął oddać się pod opiekę Rzeczypospolitej i zostać króla polskiego lennikiem. Aby zaś przeszkodzić carowi w zdobyczach, sam zdobywać zaczął miasta i zamki w nadziei, że je dla Polski zachowa.

Chytry car przewiedział się o knowaniach Magnusa.

Podstąpiwszy z wojskiem pod Kiesię (Wenden), gdzie król Magnus przebywał, rozkazał mu przybyć do siebie. Ale przejęty trwogą Magnus, unikając spotkania, wysłał do Iwana dwóch swoich dworzan z przeproszeniem, że sam przybyć nie może. Car rozkazał posłów siec rózgami, a następnie pognać kijami do miasta, by oznajmili Magnusowi, że nie z jego sługami, ale z nim samym pragnie się rozmówić. Nieszczęsny król z duszą na ramieniu opuścił twierdzę i w otoczeniu świty wyjechał powitać swego zwierzchnika

i władcę. Stanąwszy przed carem, zsiadł z konia i rzucił się na kolana. Car obelgami powitał wasala.

— Ty włóczęgo! ty chłystku! ty żebraku! przyjąłem cię nagiego do swej rodziny, ożeniłem cię z siostrzenicą swoją, kupiłem ci buty, oddałem grody, wyniosłem do godności, a ty z Polakami dołki kopiesz pode mną!...

I oświadczywszy Magnusowi, że królestwo jego przeminęło, kazał go porwać straży i osadzić w jakimś rozwalonym budynku, a sam rozpoczął oblężenie zamku. Słaba załoga, wyczerpawszy po upływie trzech dni środki obrony, wysadziła się wraz z zamkiem w powietrze, byle nie wpaść w ręce okrutnego mordercy. Ale ludność miasteczka śmiercią, zadawaną śród okropnych tortur, zapłaciła za trzydniową obronę warowni.

Nie poddał się Rewel, nie wpadła w ręce carskie Ryga, zresztą całe Inflanty polskie dostały się w moc Iwana.

Batory, zajęty oblężeniem Gdańska, a walczący z tysiącem trudności, nie mógł biec na ratunek opanowanej przez wojska moskiewskie krainie. Zachęcał przecież Litwinów do rozpoczęcia wojny. Jakoż pod koniec r. 1577 kilka litewskich i polskich oddziałów wtargnęło do Inflant i, walcząc zwycięsko, wyparło Moskali z części południowej kraju, opanowało kilka zamków, a między niemi i Kiesię (Wenden).

Car wpadł w gniew i Kiesię rozkazał koniecznie odebrać swym wodzom.

Znaczne wojska moskiewskie jesienią 1578 r. obległy miasto, ale załoga broniła się dzielnie, a tymczasem pomniejsze oddziały Litwinów, Polaków, Szwedów. Inflantczyków, wszystkie wiedzione żądzą pomsty za

niesłychane zbrodnie Moskali, połączyły się z sobą i wspólnemi siłami z wielką fantazją uderzyły na wojska oblężnicze. Cała armja moskiewska, pobita na głowę, rozproszyła się w popłochu, zostawiając na polu bitwy zgórą 6.000 trupów, wielkie działa oblężnicze i ogromne łupy.

Car, prowadząc wojnę w Inflantach, nie przestawał szukać przeciw Polsce sprzymierzeńca. Po śmierci Maksymiljana, zwrócił się do jego następcy, cesarza Rudolfa II, ofiarowywał mu swą miłość i braterstwo i zachęcał, by ze swej strony uderzył na Rzeczpospolitą. Powracał do swej ulubionej myśli zupełnego zniweczenia Polski. Ale Rudolf II, acz zdecydowany wróg Polaków i Batorego, był człowiekiem niedołężnym, dalekim od śmiałej decyzji. Iwan, zawiedziony w nadziejach, a przestraszony klęskami wojsk swych w Inflantach, zaczął gromadzić nowe siły i przygotowywał się do nowej przeciw Polsce wyprawy.

Ale tymczasem Batory skończył z Gdańskiem i ze swej strony postanowił wystąpić przeciw carowi.

Wielka wojna pomiędzy Polską a Moskwą stała się nieuniknioną.

A w tej wojnie o dziejowem znaczeniu wystąpiły przeciw sobie dwa narody o dwu przeciwległych dążeniach, dwie odmienne kultury, dwa odległe światy, dziwnem zrządzeniem losu skazane na wieczne sąsiedztwo i wiekową walkę. Powstawała Rzeczpospolita, aby wypłacić się carowi za jego dążność zaborczą, za zbrodniczy sposób wojowania, za rabowanie bezbronnej ludności, za hańbienie kobiet, za mordowanie dzieci, za dzikie tortury, któremi okrutny tyran szerzył grozę i starał się utwierdzić panowanie w zdobywanych krainach. Cywilizowany zachód powstawał

przeciw barbarzyńskiej północy, konstytucyjny król polski — przeciw samodzierżcy moskiewskiemu. Świat nadmiernie wybujałej wolności polskiej miał się zmierzyć ze światem najokrutniejszego despotyzmu.

Niezliczonym zastępom uzbrojonych niewolników cara przeciwstawił Batory wojsko, zorganizowane na sposób europejski, okrucieństwu — dyscyplinę wojskową.

W „artykułach, czyli rozporządzeniach", wydanych dowódcom, żołnierzom i wszystkim oddziałom cudzoziemskim, „które na służbę Rzeczypospolitej przychodzą", mieściły się przepisy, świadczące o wysokiem pojmowaniu rycerskiego honoru, jaki przenikał wodza Batorego. „Ktoby kościół zrabował, — brzmiał jeden z artykułów, — śmiercią ukarany będzie, chociażby to było w nieprzyjacielskiej ziemi... Dziewczynę lub kobietę ktoby zhańbił, ten karę śmierci poniesie, chociażby to było w nieprzyjacielskiej ziemi... W kraju nieprzyjacielskim nie wolno zabijać dziewic, niewiast, dzieci i starców"...

Stefan Batory i Iwan Groźny reprezentowali nie tylko dwie odmienne metody wojowania, ale dwie biegunowo różne idee, dwu skazanych na śmiertelną walkę narodów. Obaj na długie wieki symbolizować mieli dwa dążenia, co jak dwie niesione żywiołowym pędem lawiny z hukiem uderzały o siebie i przełamywały się wzajem, aż wreszcie jedna straciła odporność i strzaskana mocą przeciwną, znikła z widowni świata i na długo utonęła w odmęcie dziejów.

Batory był pierwszym królem polskim, który przeciw tej moskiewskiej lawinie pragnął wydobyć i uzbroić wszystkie siły narodu, by raz na zawsze obezwładnić śmiertelnego wroga.

Iwan Groźny był pierwszym carem moskiewskim, który stworzył wielki program polityki państwowej dla swych następców, a w tym programie umieścił zagładę Rzeczypospolitej i założenie na jej gruzach nowych podwalin pod potęgę caratu.

Okrutnemu carowi całą siłą oparł się Batory, a w końcu swego życia moskiewskiemu programowi własny przeciwstawił program.

A nie był to, jak Zygmunt August król, unikający zbrojnego zatargu, źle czujący się śród dymów bojowych i ognia bitew. Król Stefan znał się na wojnie, lubił wojnę i kochał się w sławie wojennej.

Nad głową dzikiego barbarzyńcy zawisł miecz wielkiego wojownika.

VI.

PIERWSZA NA MOSKWĘ WYPRAWA.

Wojna z carem wymagała olbrzymich środków, a już bunt Gdańska przekonał króla, jak ciężko jest w bogatej i pięknej Rzeczypospolitej zdobyć te środki, jak trudno jest waleczny i rycerski naród polski porwać do wojennej sprawy. Batory z żelazną energją przystąpił do dzieła. Niezłomny, niczem niezrażony, łamał przeszkody, stawiał czoło wszystkim przeciwnościom, odpierał szturmy niechęci, obaw i małoduszności, półtora roku poświęcił na trudy przygotowawcze. A w tej wielkiej pracy ręka w rękę z królem szedł jego pierwszy pomocnik, podkanclerzy, a od roku 1578 kanclerz wielki koronny, Jan Zamoyski. Ci dwaj mężowie ze stali, wspomagając się wzajem, dali niezwykły w Polsce przykład wytrwałości i woli. Ich wspólna praca otworzyła szlachcie oczy na wielkość przedsięwzięcia i uzbroiła naród na walkę ze śmiertelnym wrogiem.

Zwołując sejm na 14 stycznia 1578 r., król przez wysłańców swych rozesłał sejmikom instrukcję, a w niej zwracał uwagę na potęgę cara, „który w ziemi swojej

dla władzy swej tyrańskiej wszystko może snadniej", niż inni panujący. Wykazywał następnie ogrom niebezpieczeństw, jakie grożą Rzeczypospolitej, gdyby zaniechała wojny z możnym a drapieżnym wrogiem, pragnącym opanować Inflanty i Litwę, a roszczącym sobie prawo do Prus i wielu ziem polskich.

— „Przetoż,—dowodził król Stefan w instrukcji,— przed wszystkiemi innemi rzeczami na tym sejmie słusznie naprzód o daniu ratunku ziemi inflanckiej, a o postanowieniu wspólnej obrony z księstwem litewskiem ma się stanowić i obmyślować. Widzi to każdy, jako na tem wiele należy, aby moskiewski nieprzyjaciel tamtych zamków, które pobrał i za małego czasu przedłużeniem nie umocnił, gdyż z nich ma prostą a krótką drogę do Wilna, ma także i do Prus. — Trzeba się i na to oglądać, iż Moskiewski z dawnych wieków i przodków swoich mieni się mieć prawo na ziemię pruską, wywodząc, jakoby przodkowie jego Gdańsk. Malborg, Chojnice i inne miasta pruskie założyć mieli... Na ziemie ruskie takie też prawo aż po Wisłę wywodzi"...

Nie można wątpić, że gdyby się ten tyran w Inflantach utrzymał, to wnet o ziemię litewską, pruską i inne posiadłości Rzeczypospolitej kusić się zacznie.

— „Niechaj teraz tego żaden nie rozumie, — przekładał w swej instrukcji Batory, — aby się księstwo litewskie tym sposobem, jako przedtem bez ziemie inflanckiej obejść i bezpieczne być miało. Inszy ono czas był, gdy krzyżacy sami tylko w Inflanciech rozkazowali"...

Podkreśla dalej instrukcja znaczenie tej krainy dla Rzeczypospolitej, wykazuje wielkie korzyści, jakie narodowi przynoszą porty nad Baltykiem. Gdyby miały

w ręku moskiewskim pozostać, jużby i „nawigacja do portów, które są w Prusiech, bardzo niebezpieczną i trudniejszą być musiała"...

I w pełnym powabu a mocy języku, w tym szlachetnym, męskim, prostym a ozdobnym języku XVI stulecia[1]) przedstawia instrukcja królewska następstwa, gdyby car miał panować w Inflantach.

— „Ustałyby po wielkiej części kupiectwa i handle cudzoziemskie, które natenczas do portów przespiecznie przychodząc, wielki pożytek koronie tej czynią. Jużby zatem nieprzyjaciel ten, opanowawszy tak szeroko panowanie nad morzem, nie tylko państwom koronnym był ściślejszy, ale i sroższy prawie wszystkiemu chrześcijaństwu. Przetoż acz samej ziemie inflanckiej, prowincjej zacnej, która w sobie ma zamki mocne, miasta gęste, porty osobliwe, pożytki tak z żyzności ziemie, jako z wiela inszych rzeczy rozmaite, słusznie korona wszystka bronić powinna, zwłaszcza gdyż ją pod obronę wzięła"...

Wskazuje dalej instrukcja na konieczność przygotowania wielkich zasobów pieniężnych, a także na potrzebę zorganizowania piechoty. Bo jeśli, powiada król, w koronie tej dość jest rycerstwa jezdnego, to brak piechoty ogromnie odczuwać się daje, a twierdz bez ludzi pieszych dobywać nie można. Poleca tedy szlachcie dobrze się zastanowić, aby „na potomne czasy okazać się mogło, skądby i jakim sposobem mieli być piesi do spraw rycerskich sposobniejsi"...

Wojnę z Moskwą, jak w swoim czasie uśmierzenie Gdańska, uważał obecnie Batory za sprawę najpilniej-

---

[1]) W książce niniejszej wyrazy łacińskie z dokumentów współczesnych przetłumaczone zostały na język polski.

niejszą, a tak doniosłą, że wobec niej wszystkie inne sprawy powinny zejść na plan dalszy. Wiedząc przecież, jak ogromnie zależy szlachcie na uregulowaniu wymiaru sprawiedliwości w najwyższej instancji, i tę sprawę na sejmie najbliższym pragnął widzieć załatwioną. Tłumacząc się, że dotąd nie wypełnił wszystkiego, do czego się zobowiązał, ten powód podawał, że państwo zastał szarpane niepokojami, któremi zająć się musiał. Prosił szlachtę, jak i w instrukcji poprzedniej, aby na posłów wybierała ludzi, co dobra Rzeczypospolitej, a nie prywatę mają na widoku. Nienawidząc gadułów, napominał, aby nie obdarzano mandatem poselskim takich, co lubiąc się „dysputacjami niepotrzebnemi na sejmie zabawiać", w wątpliwość podają wszystko i ku pomyślnemu zakończeniu spraw stoją na przeszkodzie.

Instrukcja króla, jego starania i zabiegi nie pozostały tym razem bez skutku.

Sejm 1578 roku, widząc idące ku Rzeczypospolitej widmo zagłady, zrozumiał, że do wielkiej wojny sposobić się trzeba. Walka z Iwanem, to nie był bunt Gdańska, to nie była dla tej szlachty godna pogardy rebelja mieszczańska, której siły, rozmiarów i znaczenia nie rozumiano na sejmie toruńskim, lecz wielka rozprawa z wrogiem przebiegłym i potężnym, którego trzeba było przekonać, że nie zardzewiał jeszcze sławny miecz polski.

Śród posłów-rycerzy zbudził się animusz wojenny. Szlachta podtrzymała króla. Na prowadzenie wojny prócz podatku od piwa, wina i innych produktów, uchwalono podatek po złotemu od łanu, a więc w wysokości nigdy przedtem nie praktykowanej i to odrazu na dwa lata z rzędu. Tak wysoki podatek wymownie

świadczył o uczuciach izby. Nie obeszło się przecież bez zgrzytów i protestacyj. Uchwalenie poboru na wojnę uzależniła izba poselska od dokonania reformy sprawiedliwości, a posłowie województw krakowskiego, sandomierskiego i sieradzkiego nie chcieli zgodzić się na pobór, wołając, że nie mają na to od swoich zlecenia. Lecz król nie dał za wygraną. Trzem województwom polecił zgromadzić się na sejmiki prowincjonalne, a ustanowienie trybunałów [1]), wielkiego dzieła, wieńczącego przywileje i swobody szlachty, pobudziło posłów do ofiarności.

Zatwierdzony został również wniosek króla, dotyczący zorganizowania z chłopów polskich piechoty. W myśl projektu Batorego, z każdych dwudziestu łanów w dobrach królewskich miał być wybierany do wojska jeden człowiek, a piechota otrzymała nazwę łanowej, albo wybranieckiej. A rozkazał król w uniwersale swym wybierać ludzi, mających pociąg do wojaczki, przedewszystkiem takiego, „któryby się sam do tego miał dobrowolnie, między inszymi śmielszego i dostateczniejszego i do potrzeby wojennej pochopniejszego".

Wybrany chłop stawał się żołnierzem, wolny był od czynszu, podwód i wszelkich ciężarów. Do obowiązków jego należało stawić się co ćwierć roku przed swoim rotmistrzem w barwie przepisanej z rusznicą, szablą i siekierą. W razie wojny stawał w szeregach i otrzymywał żołd narówni z innymi piechurami. Tej to królewskiej piechocie niejedno powodzenie w wojnie z Moskwą zawdzięczała Rzeczpospolita.

---

[1]) O trybunałach traktuje szerzej rozdział X pracy niniejszej.

Ale opieszałość starostów odwlokła na czas pewien urzeczywistnienie projektu królewskiego.

Na tymże sejmie składał królowi hołd Jerzy Fryderyk pruski i zdawali sprawę z pobytu swego w Moskwie posłowie, wysłani jeszcze z Torunia dla porozumienia się z carem.

Iwan posłów królewskich traktował wzgardliwie, o królu wyrażał się nieprzystojnie, a dowodził, że Litwa i Polska jest jego dziedzictwem. Nawet w liście do Batorego car, wbrew zwyczajowi, panującemu między monarchami, odmawiał królowi tytułu brata i tylko sąsiadem go mianował.—„T y s ą s i e d z i e (a nie bracie) nasz, królu Stefanie w n a s z e m d z i e d z i c t w i e"...— oto w jaki sposób car moskiewski pisał do króla polskiego.

Sprawozdanie posłów ugruntowało we wszystkich przekonanie, że z tyranem moskiewskim do niczego układy nie doprowadzą, że trzeba tedy oręża się chwycić. Pomimo to król, chcąc zyskać na czasie, nie zrywał ostatecznie z Iwanem i nie przestał mu odpowiadać na listy, odkładając wypowiedzenie wojny do chwili ukończenia wszystkich przygotowań.

Zaraz też po sejmie ze zwykłą sobie energją, a przy nieocenionej pomocy kanclerza Zamoyskiego zabrał się do pracy. Na sejmiku w Sieradzu z wielkim trudem nakłonił szlachtę tego województwa do zgody na uchwalony podatek, natomiast krakowianie i sandomierzanie na sejmiku w Korczynie trzymali się odpornie i wielkie utrudnienia czynili królowi.

We Lwowie układał się król z Tatarami, robiąc wielkie wysiłki, by zabezpieczyć od ich napaści ziemie Rzeczypospolitej i niszczące zagony tatarskie skierować na Moskwę. Wiele zachodu poświęcał zarazem,

by z Turcją na czas wojny zachować najlepsze stosunki, a ofiarą tego dążenia padł Iwan Podkowa, Wołoszyn rodem, który na czele Kozaków naszedł Wołoszczyznę, wygnał hospodara Petryłę i sam rządy objął. Przeciw Podkowie, stosownie do życzenia Batorego, wyruszył z Siedmiogrodu brat jego, Krzysztof, i pobił na głowę śmiałego wojaka. Podkowa zbiegł do Polski i oddał się w opiekę Mikołaja Sieniawskiego. Odstawiony do Lwowa, nie przestał budzić gniewu Turków, którzy domagali się, aby niebezpieczny buntownik poniósł zasłużoną karę. Król kazał ściąć nieszczęśnika. Wielce oburzano się na ten wyrok, bo Podkowa z zaufaniem w ręce polskie się oddał, a strzeżony pilnie, nie mógł być niebezpiecznym. Ale Batory chciał dać przykład Kozakom, że za samowolne napady karać będzie bez miłosierdzia, a srogość wywołana została tą jeszcze okolicznością, że Kozacy, niezrażeni nieudaną próbą, zrobili nową wyprawę na Wołoszczyznę pod wodzą brata uwięzionego Iwana, Aleksandra Podkowy, i znowu Petrykłę usiłowali zrzucić z hospodarstwa.

Sarkano na króla, a jeden z pamiętnikarzy tej doby, Wawrzyniec Miller, wielce Stefanowi nieprzyjazny, utrzymuje, że na jego to rozkaz podstępem pochwycono Podkowę, obiecując mu wolność. Przeczą temu inne źródła współczesne, ale bądź co bądź wyrok śmierci na więźniu, co się dał Turkom we znaki, aczkolwiek pokój z Turcją wielce był Rzeczypospolitej potrzebny, rzuca cień na wspaniałomyślność Batorego: Podkowa zaufał Polakom.

Lecz król, zajęty nieustannie wyższemi celami, nieraz jeszcze miał okazać srogość, jakiej unikali jego poprzednicy.

Ubezpieczając się nazewnątrz, Stefan na chwilę nie ustawał w pracy nad przygotowaniami do wojny. Czynił zaciągi w Niemczech, sprowadzał posiłki z Siedmiogrodu, zajmował się organizacją piechoty łanowej, manifestem „do biskupów, kniaziów i senatorów w. ks. litewskiego" pobudzał Litwę do gotowości wojennej. Z kancelarji królewskiej ciągle wychodziły uniwersały, szły na wszystkie strony świata listy, a z pism króla biła energja, płynęła zachęta do wytężenia sił, promieniowała niezłomna wiara w pomyślny skutek wielkiego przedsięwzięcia.

W grudniu 1578 roku stanęli w Krakowie posłowie carscy, bo Iwan nie myślał wyrzekać się dyplomacji, a liczył na swą chytrość. Posłowie, wprowadzeni na uroczyste posłuchanie w obecności przedstawicieli dworów zagranicznych, nie chcieli mówić nic, dopókiby król nie powstał i z odkrytą głową nie zapytał o zdrowie cara.

Ale Batory siedział nieruchomo, jak posąg i z wysokości tronu przenikliwemi oczyma mierzył posłów carskich. Nadaremnie perswadowano im, by mówili, co im powiedzieć kazano. Moskale uparcie obstawali przy swem żądaniu. Zapanowała chwila kłopotliwej ciszy. Milczał król. Milczeli posłowie. Widząc wreszcie, że nie dopną celu, skłonili się i odeszli.

Tak skończyło się posłuchanie.

Batory gromadził wojska na Litwie, w początku r. 1579 sam wyjechał do Wilna, aby być bliżej terenu wojny i dopiero z Wilna w końcu czerwca przez gońca Łopacińskiego wysłał do Iwana list, zwiastujący rozpoczęcie kroków wojennych.

— „Jako twoja chciwość,—pisał król do Iwana,— pragnie państw naszych i jakośmy w osobie naszej

i majestacie naszym przez cię i przez posły twe ukrzywdzeni są, tak na osobie twej chcielibyśmy tego dochodzić i sprawiedliwości naszej za wspomożeniem Bożem dowodzić, jeśli się nie obaczysz”...

W tym samym liście zapowiadał król, że nie pragnie krwi poddanych carskich i że miecz jego spadnie jeno na tego, któryby chciwości Iwana „dopomagał, w polach albo zamkach zbrojnie się nam zastawował”.

Obelżywy list Iwana odsyłał mu król z powrotem.

W parę tygodni potem (lipiec 1579 r.) zgromadził Batory swe wojska w Świrze i rozpoczął pierwszą na Moskwę wyprawę.

Cała armja królewska, z niesłychanym mozołem i trudem zebrana i urządzona, liczyła zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy żołnierzy. Ale była to armja wyborowa, a hetman Mielecki, wojownik stary i doświadczony, utrzymywał, że w ciągu całego życia ani w kraju, ani zagranicą równie pięknego wojska nie widział.

Wspaniale prezentowała się jazda koronna, cała w pancerze zakuta, groźnemi szyszakami strojna, w długie kopje, broń sieczną i palną, bogato zaopatrzona. Śród pięknej jazdy litewskiej wyróżniały się chorągwie Radziwiłłów doborem ludzi, koni i rynsztunku. Piechota niemiecka budziła podziw postawą, karnością i porządkiem, a od piechoty węgierskiej, głośnych w Europie hajduków, bił zapał wojenny i wielka do boju ochota.

Za wojskiem ciągnęło dużo czeladzi oraz całe zastępy chłopów z siekierami, rydlami, sznurami, by żołnierzom nieść pomoc przy budowie mostów, sypaniu szańców i wszelkich robotach ziemnych. Razem 50,000 ludzi prowadził Batory na walkę z potężnym

tyranem, który sam jeden rozkazywał miljonom, setki tysięcy wojowników mógł wyprowadzić w pole, a krew ludzką mniej cenił, niż wodę.

Na czele wojsk zgromadzonych stał król. Wojskiem koronnem dowodził hetman wielki koronny, Mikołaj Mielecki, litewskiem – wielki hetman litewski Mikołaj Radziwiłł, nad Węgrami miał komendę Gaspar Bekiesz, a piechotę niemiecką wiedli doświadczeni wojownicy: Wejer i Rozrażewski. Nie brak było w wojsku biegłych inżynierów, których król aż z Włoch za wielkie pieniądze sprowadził. Były wyborne działa, byli znakomici puszkarze. A nadewszystko był wódz doświadczony, przejęty wielką sprawą, wierzący niezachwianie w siebie i w swe wojsko, wódz, od którego biła pewność siebie i moc, co udzielała się szeregom, budziła w nich zapał i bohaterstwo.

Wadą tej armji była jej różnojęzyczność, która często doprowadzała do zatargów pomiędzy szeregowcami różnych rodzajów broni, a później wywołała nieporozumienia i śród dowódców. Batory starał się spoić swe szyki w jedną całość, natchnąć je żądzą sławy i wielkością celu, za który miały krew wspólnie przelewać.

Dnia 12 lipca 1579 r. wydał król do wojsk swych odezwę w językach łacińskim, polskim, węgierskim i niemieckim, która była zarazem odezwą, zwróconą do całego świata, by wszędzie poznano przyczyny i cel wojny. W mocnych a dosadnych słowach napiętnował Batory postępowanie wielkiego kniazia moskiewskiego, który, udając tendencje pokojowe, wpadł niespodzianie do Inflant, spustoszył je ogniem i mieczem, mordując jeńców, rabując spokojną ludność, pastwiąc się nawet nad kobietami. Wspomniał o pretensjach cara

do panowania na Litwie i w Prusach, wyliczył jego niegodne wybiegi i wykręty, napiętnował podstępy i okrucieństwa. Zapowiadał, że rozpoczyna wojnę, by zatamować rozlew krwi, odebrać opanowane miasta i wymusić na Iwanie sprawiedliwy pokój. Wyrażał wiarę, że wszyscy monarchowie chrześcijańscy przyznają mu słuszność, a Bóg Wszechmogący pobłogosławi wyprawie. Cudzoziemskim oddziałom tłumaczył, że walcząc z Moskwą w obronie Polski, ratują tylko dom sąsiada, ogarnięty pożarem, wznieconym zbrodniczemi rękoma.

Na zwołanej przez króla radzie wojennej przeważała opinja, że wojsko skierować należy na Psków, zdobyć to miasto, a następnie wkroczyć do Inflant.

Ale król miał plan inny, a zdawna go wypracował.

Na rok z górą przed rozpoczęciem kroków wojennych nuncjusz papieski donosił z Warszawy do Rzymu o rozmowie swej z królem, dotyczącej planu wojny z Moskwą. Już wtedy król mówił, że nie ma zamiaru o Inflanty w Inflantach wojny rozpoczynać. Celem jego było zdobycie carskiej stolicy, Moskwy. Utrzymywał, że nie jest to plan trudny. Aby celu tego dopiąć, trzeba przedtem zdobyć dwie twierdze: Połock i Smoleńsk. Przekonany był, że obie fortece, budowane z drzewa, mogą być wzięte przy pomocy kul ognistych, które dały doskonały rezultat przy ostrzeliwaniu niektórych drewnianych fortyfikacyj w czasie oblężenia Gdańska, a po których i w tej wojnie wiele obiecywał sobie. Po zdobyciu Połocka i Smoleńska zamierzał iść wprost na Moskwę, a liczył się z tem, że Moskale, zasłaniając stolicę, zgromadzą wielkie siły w otwartem polu. W takim wypadku pewien był zwycięstwa, a w każdym razie w stolicy carskiej chciał

podyktować pokój Iwanowi, ku któremu, według wyrażenia nuncjusza, „pałał największą nienawiścią”....

Ten plan miał prawdopodobnie na widoku, gdy zwołał radę wojenną.

Wodzom, co wojnę radzili rozpocząć od zdobywania Pskowa, tłumaczył, że Psków leży zbyt blisko Inflant, wyniszczonych przez ostatnie wojny, a stanowiących teren wielce niedogodny. W Inflantach trzebaby zdobywać liczne twierdze i lękać się głodu, który jest najstraszniejszym wrogiem żołnierza. Wprawdzie do Pskowa możnaby iść nie przez Inflanty, ale w takim razie trzebaby zostawić za sobą wiele obronnych miast i zamków, których załogi mogłyby tyłom zagrażać. Natomiast znaczniejsze korzyści przedstawia zdobycie Połocka, będącego węzłem komunikacji wodnej z Rygą. Zdobycie tego miasta oddaje w ręcę polskie Dźwinę, którą Moskale posyłają żywność i posiłki do twierdz swoich w Inflantach. Nie tak dawno Połock zabrany został Polsce, a przeto i chwała z odzyskania tego ważnego miasta znacznie będzie większa. Odpowiadano królowi, że Połocka samo położenie broni, że miasto wielką sztuką fortyfikacyjną zostało przez Moskwę wzmocnione, a wszelkich zapasów ma wielką obfitość. Twierdzono, że należy się liczyć, by niepowodzeniem na początku wyprawy nie zrazić wojska i nie ostudzić zapału. Lecz król przekonać się nie dał. Nie przeczył, że Połock jest silną twierdzą, ale utrzymywał, że niema takich przeszkód, którychby nie przezwyciężyło męstwo żołnierza, a im większe trudności zostaną pokonane, tem większa energja budzi się w zwycięskiem rycerstwie.

Batory pragnął ponieść wojnę niejako w samo serce carstwa, rozumiejąc doskonale, że gdy załogom mo-

skiewskim w Inflantach odcięta zostanie komunikacja z ziemiami moskiewskiemi, to cały kraj bez wysiłku wpadnie w ręce polskie.

Stało się, jak król chciał.

W Dziśnie, dokąd Batory podążył ze Świzy, połączyła się z nim reszta wojsk. Tu również składal mu hołd książę kurlandzki, Kettler.

Wojska skierowały się na Połock. Pierwszy przeprawił się przez Dźwinę hetman Radziwiłł z hufcami litewskiemi, oraz Bekiesz z piechotą węgierską, a następnie hetman Mielecki. Po drodze zdobyto zameczki Koziany, Krasne i Sitno, zabierając spore zapasy żywności i materjał wojenny.

W początkach sierpnia 1579 r. cała armja stanęła pod Połockiem.

Król zaraz po przybyciu wraz z Zamoyskim i Bekieszem udał się na rozpoznanie twierdzy i badał, w jaki sposób poprowadzić najskładniej do szturmu swe wojska. Połock, opasany od południa Dźwiną, od północy i wschodu Połotą, posiadał dwa warowne zamki, połączone ze sobą mostem. Całość wraz z miasteczkiem Zapołociem formowała trójkąt, którego jeden bok stanowiła Dźwina, drugi — Połota, a trzeci — fosy, oszańcowania i baszty obronne. W pobliżu Połocka znajdował się Sokół, mocny zamek, wymagający wielkiej baczności, bo wojsko, w Sokole zgromadzone, mogło poważne czynić dywersje.

Obroną Połocka kierowali książę Wasyl Tielatiewski, Piotr Wołyński i książę Dymitr Szczerbaty. Wodzowie ci, ku hańbie swej, zaraz po nadejściu wojsk królewskich, pozwolili na okrutne zamordowanie jeńców, znajdujących się w twierdzy. Trupy pomordowanych przywiązano do bali i puszczono z biegiem

Dźwiny, by rzucić przerażenie na wojsko oblężnicze. Ale straszny ten widok zamiast trwogi, wzbudził w rycerstwie gniew i zapalił straszliwą chęć pomsty.

Przed rozpoczęciem oblężenia król zawezwał miasto do poddania się, przysyłając do twierdzy list, w którym wykazywał niegodziwości cara. Obiecywał oblężonym opiekę i nadanie swobód, tym zaś, coby chcieli pod jarzmo Iwana powrócić, zapewniał powrót swobodny. Którzyby zaś „wojskom naszym sprzeciwili się, — groził król, — na tych plen i srogość miecza przyjdzie, a nas i rycerstwa wojsk naszych winować nie mogą, gdyż przeciw sprawiedliwości staną się upornymi".

Ale wezwanie nie odniosło skutku.

Król przemówił działami.

Szturm rozpoczął Bekiesz, który przykopami posunął się pod miasteczko i pierwszy zaczął z dział walić. Lecz kule, dziurawiąc drewniane ściany, nie czyniły większych wyłomów. Użyto kul ognistych, ale i te zawiodły skutkiem deszczów, lejących nieustannie. Bekiesz postanowił poprowadzić do szturmu piechotę, acz skutkiem wezbrania wody z kilku mostów, przerzuconych z największym trudem przez rzekę, jeden tylko pozostał. Przez ten most na wezwanie Bekiesza ruszyli na ochotnika Polacy, Litwini i Węgrzy z przygotowanemi zawczasu pochodniami, by ogień rozniecić. Mężni żołnierze, pędząc jedni przez drugich, przebyli most i rzucili się ku murom. Powitał ich grad kul, a później na głowy szturmujących sypała się z hukiem lawina kamieni i lały się potoki wrzącej wody. Pomimo to żołnierze w kilku miejscach rozniecili ogień. Nadaremnie wszakże starali się płomienie podtrzymać i rozszerzyć. Moskale bronili się zacięcie. Ogień na-

tychmiast był gaszony, a załodze pomagała ludność miejska, nie wyłączając kobiet, które z największem poświęceniem brały udział w tłumieniu pożaru.

Wszystkie próby zawiodły.

Dzień za dniem płynął bez żadnego w trudach oblężniczych postępu.

Pogoda nie sprzyjała oblężeniu. Z zachmurzonego nieba lały się nieustannie potoki deszczu, woda zapełniła fosy, przykopy, zalała cały obóz. Ziemia rozmiękła do tego stopnia, że konie pociągowe zdychały w błotach, a ludzie, grzęznący w lepkim gruncie, spoglądali na to bezradni. Po pewnym czasie ustał dowóz żywności i coraz większy głód dawał się we znaki przemoczonym żołnierzom. Ale król dzielił z wojskiem wszystkie niewygody, nie tracił nadziei i, świecąc osobistym przykładem w znoszeniu trudów obozowych, wszystkich zachęcał do wytrwałości. Wielką wytrzymałością odznaczyli się Węgrzy, którzy w ciężkiem położeniu okazywali wesołość i największe przykrości znosili z humorem. Szczególniej podziwiano Bekiesza. Ten wystawiał się ciągle na niebezpieczeństwa, przy armatach jadał i spał, a choć był chory, z wielką fantazją powiadał, że jeszcze nigdy w życiu lepiej się nie czuł.

Król zwołał radę wojenną. Wezwani wojownicy zgodnie wyrazili przekonanie, że ze wszystkich stron hurmem na miasto iść trzeba, uderzyć całą siłą i wziąć twierdzę, nim głód ostateczny w obozie uniemożliwi wszelkie działania. Lecz Batory był odmiennego zdania. Twierdził on, że nie można w jednym generalnym szturmie pokładać całej nadziei, bo gdyby ten szturm zawiódł, to trzebaby całkiem oblężenia zaniechać, a więc i wy-

prawę przegraną zakończyć. Utrzymywał, że pożaru dlatego nie udało się wzniecić, iż ognia nie dość pilnowano. I wbrew udzielanym radom nową próbę postanowił uczynić. W tym celu odwołał się do Węgrów, zagrzał ich męstwo i dzielność, obiecał wielkie nagrody tym, którzy się popiszą. Potem zwrócił się do jazdy i zachęcał rycerzy, by zsiedli z koni i wraz z piechotą ruszyli ku murom. Wszystkim przekładał, że więcej zaszczytu przynosi żołnierzowi zginąć od kul nieprzyjacielskich pod twierdzą, niż haniebnie z pod twierdzy odstąpić.

Całe wojsko przyjęło wezwanie króla z zapałem.

Był dzień 29 sierpnia. Batory raz jeszcze wezwał oblężonych do poddania twierdzy, a gdy wezwanie nie odniosło skutku, dał hasło do szturmu.

Dnia tego deszcz ustał i niebo zaczęło się wypogadzać.

Żołnierze, niosąc z sobą materjały palne, dopadli oszańcowań. Starano się ich powstrzymać ogniem ręcznej broni, a później gruzem i ulewą wrzącej wody. Z wściekłością bronili się Moskale, czyniąc nadzwyczajne wysiłki, by odeprzeć napastników i nie dopuścić do wzniecenia pożaru. Lecz wojska królewskie trwały na stanowiskach i nie ustawały w pracy. Nareszcie w kilku miejscach ukazały się ogniste języki, zaczęły lizać ściany, biec ku sobie płomienistemi wstęgami, aż wreszcie złączyły się z sobą i wytworzyły jedno morze płomieni. Olbrzymi pożar przerzucił się na miasteczko i przez resztę dnia szerzył zniszczenie. Przez cały ten czas pracowała niezmordowanie artylerja królewska, a działa forteczne zasypywały stanowiska polskie chmurami pocisków, które z głuchym jękiem padając na grunt od deszczów rozmiękły,

wyrzucały w górę słupy czarnej ziemi. Grzmot za grzmotem przewalał się w przestworzach, dymy świat przesłoniły, a gdy mrok zapadł, całe niebo od pożaru, wznieconego w twierdzy, z krańca w kraniec oblokło się purpurą.

Zagrały trąby — i żołnierze z pod murów cofnęli się do obozu.

Król, oczekując na wycieczkę z twierdzy, a spodziewając się, że łuna sprowadzi pod Połock wojska moskiewskie, zgromadzone w Sokole, pozostawił na straży obozu nieliczne oddziały, resztę zaś wojska wyprowadził w pole i uszykował do bitwy. Sam z jazdą nadworną przeszedł za Połotę i stanął w miejscu, przez które jedynie mogła przyjść odsiecz. Ale Sokół nie myślał śpieszyć na ratunek gorejącemu miastu, a przerażona załoga nie o wycieczce, lecz o poddaniu twierdzy zaczynała radzić.

Do następnego dnia odłożył Batory szturm dalszy.

Lecz działa płonącego Połocka grzmiały nieustannie. Podczas wieczerzy, do której król zasiadł, wpadła do komnaty kula, obiła się kilkakrotnie o ściany, dostała się na stół i utkwiła na stojącym na stole półmisku.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Batory.

A na to siedzący przy stole ksiądz jezuita, sławny później Skarga, odpowiedział:

— Moskale zapraszają nas na jutro na wieczerzę do zamku...

Król rzekł:

— Jeżeli się twa wróżba ziści, to twoim braciom ufunduję takie kolegjum, jakiego jeszcze nie macie...

Tymczasem Węgrzy, którzy odznaczyli się w czasie wzniecania pożaru, tejże nocy postanowili wyższy za-

mek wziąć siłą. Spodziewając się ogromnych łupów, o których wiele mówiono, uradzili wtargnąć do wnętrza przez wyłomy w ścianach i, posuwając się przez płonące budowle, wpaść niespodzianie na zamek. Brawura Węgrów udzieliła się Polakom. Nieliczny oddział ochotników ruszył cicho przez most, wpadł między zwaliska i, nie bacząc na płomienie, zagradzające drogę, rzucił się naprzód. Nieustraszeni Węgrzy, a za nimi Polacy, acz strasznie poparzeni, przedarli się przez ogień i pędem skoczyli ku zamkowi. Tymczasem Moskale zdążyli już wykopać przed zamkiem od strony pożaru duże rowy i usypać szańce, na których ustawili armaty. Widząc pędzących ku zamkowi śmiałków, przywitali ich morderczym ogniem dział i ręcznej broni. Zatrzymali się napastnicy. Spostrzegłszy, że nie przełamią nieoczekiwanej a groźnej przeszkody, postanowili przedrzeć się z powrotem tą samą płomienistą drogą. Zawrócili tedy, ale na ten widok męstwo wstąpiło w serca Moskali. Puścili się za uciekającymi, razili ich z tyłu i, nie bacząc na buchające dokoła płomienie, pędzili wytrwale, aż dostali się na wolną od ognia przestrzeń przed mostem. Teraz zawrzała walka. w której omal życiem nie przypłacili swego szaleństwa wszyscy Węgrzy i Polacy, bo Moskale byli znacznie liczbą silniejsi. Na szczęście, stojąca u wylotu mostu piechota Zamoyskiego, rzuciła się na ratunek towarzyszom i, z wielkim impetem wpadłszy na plac boju, odpędziła Moskali.

Król, baczny na wszystko, wzmocnił placówkę przy moście, a nieustannie spoglądał na drogę od Sokoła. Ale odsiecz nie nadchodziła. Tylko z obu zamków walono nieustannie z armat. Wojsko stało pod bronią, czekając końca nocy.

A noc była straszna.

W mieście szerzył się pożar, szkarłatna łuna paliła się nad głowami wojowników, olbrzymie kłęby dymów świeciły purpurowym blaskiem i złotemi smugami rozwiewały się w różowych przestworzach. Wydawać się mogło, że pożar ogarnął niebo i ziemię, że niszczący żywioł wszystko dokoła pochłonie. Przerażająca kanonada nie ustawała na chwilę. Armaty obu stron ciskały grom za gromem w gorejącą przestrzeń i tłumiły niekiedy głuchy trzask zapadających się budowli. Świst lecących pocisków przecinał powietrze, grad kul sypał się dokoła i siekł zniekształconą ziemię.

Król, nie zważając na niebezpieczeństwa, był wszędzie, a choć znajdujący się obok niego jeździec padł z konia, rażony kulą armatnią, nie schodził z pola....

Wstał wreszcie świt. Płomienie przygasły. W twierdzy panował ruch wielki. Moskale z pośpiechem wzmacniali szańce pomiędzy zamkiem a miastem.

Tymczasem w obozie króla wybuchły ogromne spory pomiędzy Polakami a piechotą węgierską. Skarżyli się Węgrzy, że Polacy nie okazali im dostatecznej pomocy i skutkiem tego uniemożliwili zdobycie zamku. Polacy zarzucali Węgrom chciwość, powiadając, że jedynie nadzieja zdobycia łupów popchnęła ich do szalonej a nieszczęśliwej wyprawy.

Batory, chcąc uspokoić rozjątrzone umysły i skończyć z oblężeniem, nakazał po południu przypuścić szturm do wzmacnianych przez Moskali szańców. Na rozkaz króla oddziały piechoty polskiej i węgierskiej, prześcigając się wzajem, porwały się do ataku. Żołnierze z okrzykiem wpadli na szańce, rzucili się do boju, częściowo wyparli, częściowo wyrąbali broniących się Moskali, rozwalili okopy, zasypali fosy, podpalili nowowzniesione

zasieki z drzewa i nawet w jednej z wież, przylegających do zamku, wzniecili płomienie. Znowu pożar zaczął w mieście i twierdzy szerzyć spustoszenia.

Trwoga padła na załogę Połocka. Oblężenie uczyniło tak znaczne postępy, a szturmy z taką prowadzono zaciętością, że dalsza obrona nie rokowała już powodzenia. Władyka Cyprjan, lękając się bardziej gniewu carskiego, niż niewoli i śmierci samej, proponował całe wojsko wraz z zamkami wysadzić w powietrze. Ale załoga nie dopuściła do takiego kroku rozpaczy. Więc posłów wysłano do króla.

Batory, chcąc oszczędzić dalszego przelewu krwi, przez Mikołaja Radziwiłła zaproponował twierdzy wspaniałomyślne warunki kapitulacji. Dn. 30 sierpnia 1579 r. w liście, „pisanym pod ścianą zamku połockiego", król objawiał oblężonym:

— „Którzy zechcą służyć, łaska i żałowanie nasze im będzie, a którzy zechcą do hospodara swego iść, tych mamy zdrowo odpuścić z żonami, z dziećmi i czeladzią ich przez wszystkie wojska nasze polskie, litewskie, węgierskie i niemieckie"...

Na takich warunkach po szesnastu latach pozostawania w rękach moskiewskich, a po trzech niespełna tygodniach oblężenia, opłakiwany przez Zygmunta Augusta Połock, ta przepyszna strażnica Rzeczypospolitej, ważna twierdza, panująca nad Dźwiną oraz drogami do Inflant i do Moskwy, przeszła znowu w ręce polskie i już do upadku Polski pozostawała w jej granicach.

Warunki kapitulacji święcie zostały dotrzymane. Każdemu mieszkańcowi Połocka pozostawiono wolność rozporządzania swą osobą. Sam król pilnował, by nikomu nie stała się krzywda, a jakiegoś żołnierza, chcącego dopuścić się gwałtu nad Moskalem, sam buz-

dyganem uderzył. Ten wypadek wywołał wielkie śród Moskali zdumienie i wzbudził śród nich jakiś zabobonny dla króla polskiego szacunek.

Nie zasługiwali na taką wspaniałomyślność Moskale.

Gdy wojska zwycięskie wkroczyły do zamku, okropny widok uderzył ich oczy. Towarzysze broni, wzięci w czasie oblężenia do niewoli, najokrutniej zostali pomordowani. Szczególniej nad Niemcami pastwiła się rozbestwiona załoga. Wiarogodny, a współczesny czasów owych dziejopis, sekretarz króla, Hejdensztejn, opowiada, że schwytanych jeńców niemieckich wsadzali Moskale „aż po kolana w kotły i, podłożywszy ogień, żywcem ich w gorącej wodzie gotowali. Związawszy im w tył ręce sznurami, brzuch i całe ciało okropnie ranili, tak że się zdawało, jakoby pancerz z ran na nich się znajdował. Żołnierze nasi, zobaczywszy to, wściekali się ze złości, ale król, nie chcąc łamać słowa, raz nieprzyjacielowi danego, tym, co do Moskwy wracali, dodał eskortę, z dwóch rot jazdy złożoną”...

Tak walczyły ze sobą w tej wielkiej wojnie dwa narody, dwaj wodzowie: król Stefan Batory i car Iwan Groźny.

Zdobycz w Połocku składała się z 38 armat, 300 hakownic, sporej ilości rusznic i prochu, ale zawiodła oczekiwania zwycięskiego wojska. Nagromadzone skarby uwieźli ze sobą Moskale, powracający pod panowanie carskie. Żołnierze srodze wyrzekali. Król, pragnąc osłodzić zawód, obdarował wojsko, czem tylko mógł, ale nie ukoił żalu.

Pomimo wielkiego powodzenia pomiędzy Polakami a Węgrami znowu wybuchły zwady i kłótnie, a od szeregowców waśń przeniosła się wyżej i doprowadziła do ostrego zatargu pomiędzy znakomitym wojownikiem, hetmanem Mieleckim, a dzielnym i odważnym Bekie-

szem. Ani król, ani Zamoyski nie zdołali zapobiec obustronnym skargom i nieporozumieniom.

Po wzięciu Połocka Batory postanowił zdobyć okoliczne zamki warowne: Turowlę, Sokół, Niszczerdę i Suszę. Szczególniej ważny był Sokół, mocno obwarowany, leżący na drodze do Pskowa i stamtąd nieustannie otrzymujący posiłki.

Szczęście wojenne, uśmiechnąwszy się pod Połockiem, nie przestało już sprzyjać walecznemu wojsku.

Gdy oddziały królewskie zbliżały się do Turowli, cała załoga w panicznym strachu uciekała przeciwległą bramą.

Na zdobycie Sokoła ruszył hetman Mielecki. Załoga tej warowni, licząc na zmęczenie wojska, wyczerpanego obleganiem Połocka i uciążliwym marszem, postanowiła całą siłą wyjść w pole i niespodziewanym atakiem rozgromić nadciągającego nieprzyjaciela. Ale zaledwie Mielecki nadciągnął, zagrzmiały zaraz jego działa, a kule ogniste wznieciły pożar w zamku. Hetman dał znak do szturmu. Zagrały przeciągle trąby obozowe — i rycerstwo skoczyło ku murom. Część przerażonej załogi teraz dopiero wypadła wszystkiemi bramami i usiłowała się przebić. Ale nie mogąc sprostać dobrze wyćwiczonemu rycerstwu, poniosła klęskę stanowczą. W walce tej odznaczyli się wielką zawziętością Niemcy, mszczący się za okrucieństwa, których w Połocku dopuszczono się na ich rodakach...

Po rozgromieniu tych, co wyszli w pole, zwycięskie wojsko wpadło do zamku. Tu nowy bój rozgorzał, bo pozostali Moskale stawili opór zacięty. Ale już szał bojowy ogarnął zwycięzców. Wściekli się Niemcy i z furją uderzyli na wrogów. Dzikie przerażenie ogarnęło Moskali. Widząc, że niema dla nich ratunku,

padali nieprzytomnie na miecze lub rzucali się w ogień i śmierć znajdowali w płomieniach. Polegli wojewodowie Palecki i Krywoborski, 4.000 Moskali padło trupem w straszliwych zapasach. Dowódca piechoty niemieckiej, Wejer, dzielny walecznik, weteran, co w wielu okrutnych bitwach się znajdował, powiadał później, że nigdy nie widział okropniejszej rzezi.

Wielkie łupy, mnóstwo jeńców wpadło w ręce zwycięzców.

Wkrótce potem i Susza, broniona przez 6.000-ną załogę, dostała się bez szturmu Polakom, a przy zdobyciu Niszczerdy padło 2.000 żołnierzy moskiewskich.

Gdy tak wojska, według wskazówek króla, dobywały zamki, starosta orszański, głośny Filon Knita Czarnobylski pustoszył okolice Smoleńska, a wojewoda kijowski, Konstanty Wasyli Ostrogski, i kasztelan bracławski, Michał Wiśniowiecki, ponieśli płomień wojny w ziemie siewierskie.

Iwan Groźny zgromadził wojska pod Pskowem, ale nie wyruszał w pole. Był zaskoczony wypadkami. Spodziewał się, że Batory zacznie wojnę w Inflantach. Szybki upadek Połocka napełnił go strachem, a utrata pomniejszych warowni, klęski w ziemi siewierskiej i okolicach Smoleńska przekonały go, że ma do czynienia z wrogiem potężnym.

Tymczasem zima wstrzymała dalszy pochód zwycięskich zastępów Batorego.

Król wyjechał do Wilna, a stamtąd do Warszawy. Śpieszył na sejm. Rad z odniesionych triumfów, pragnął zapalić naród do nowych wysiłków, zapewnić wojsku pomoc, uzupełnić szeregi i nowemi zwycięstwami zakończyć świetnie rozpoczętą wojnę.

Car spokorniał.

VII.

DRUGA NA MOSKWĘ WYPRAWA.

Wojna z Moskwą oderwała króla od spraw krajowych, a poruszyła wszystkich, co byli mu niechętni lub zawiedli się w swych nadziejach. Niezadowoleni panowie nacisnęli posłuszne im sprężyny i dopięli tego, że sejm, zebrany w listopadzie 1580 roku na podobieństwo sejmu toruńskiego wystąpił z szeregiem zarzutów przeciw postępowaniu króla.

Kanclerz Zamoyski, najdzielniejszy Batorego pomocnik, świadom był intrygi i w świetnej mowie, wygłoszonej przed senatem, starał się obalić zarzuty, a myśli sejmu skierować w inne łożysko. Kanclerz podkreślił ogromne znaczenie, jakie miało dla Rzeczypospolitej odzyskanie Połocka i pohamowanie postępów Iwana, a następnie dowodził konieczności dalszego prowadzenia wojny. Tym zaś, którzyby chcieli wojnie przeszkodzić, a to z powodu, że uważają się za niedostatecznie ocenionych i wynagrodzonych, powiadał, że teraz jak nigdy mają możność zaskarbienia sobie łask króla i ojczyzny. Niechże idą na wojnę, niech położą zasługi, niech zabłysną męstwem, a wtedy mogą być pewni nagród i zaszczytów, bo te należą się jedynie mężnym a zacnym obywatelom kraju.

Gorąca, pełna patrjotyzmu mowa Zamoyskiego, nie powstrzymała skierowanych przeciw Batoremu zarzutów. Nie bez słuszności twierdzono, że król dotąd nie wypełnił *pactów conventów*, że bezprawnie, bo nie na sejmie przyjął hołd Kettlera i podyktował mu warunki. Oburzano się, że dostojeństwa na Litwie oddał możnemu rodowi Radziwiłłów z pokrzywdzeniem zasług innych panów litewskich. To znowu wołano, że w Rzymie stara się o uzyskanie rozwodu z królową, że cudzoziemcom nadaje indygenat polski, że wojowników polskich oddaje pod komendę cudzoziemców, że wogóle wojska cudzoziemskie niepotrzebnie do kraju sprowadza. Odzywały się nawet głosy przeciw wojnie, która nakłada na kraj olbrzymie ciężary, a nie jest Rzeczypospolitej potrzebna.

Król, pochłonięty wojną, istotnie niezawsze trzymał się litery prawa i rzeczywiście nie dopełnił wszystkich swych zobowiązań. To też nie tylko intryganci, ale i posłowie dobrej woli niejedno mieli mu do zarzucenia. Ale uchybienia króla sowicie wynagradzały świetne rezultaty zapasów z groźnym i zuchwałym wrogiem. A wojna górowała w owej chwili nad wszystkiem, król całkowicie sprawom wojennym był oddany, na sejmie zaś zjawiał się, jako zwycięzca. Sarkała szlachta, żaliła się, podnosiła zarzuty, ale umiejąc cenić zwycięskiego wodza, nie odmówiła mu dalszej pomocy. Sejm uchwalił podatek zeszłoroczny.

Batory, mając rozwiązane ręce, ze zwykłą energją przystąpił do nowych przygotowań.

A przygotowania te świadczą, że odniesione zwycięstwa nie napełniły zwycięskiego króla dumą, nie pozbawiły go na chwilę przezorności. Na nową wy-

prawę większe siły postanowił Batory zgromadzić. Zaczęły się nowe zaciągi zarówno w kraju, jak w Niemczech i w Siedmiogrodzie. Pobór chłopów z dóbr królewskich do piechoty, skutkiem opieszałości starostów, dotychczas nie został uskuteczniony. Król wydał teraz uniwersał, grożący starostom surową odpowiedzialnością i w ten sposób dopiął tego, że stawiło się do szeregów blisko 1.500 uzbrojonych chłopów. Magnaci powiększali poczty zbrojne, wielu ochotników, olśnionych urokiem zwycięstw, ściągało z różnych stron Korony i Litwy. Zapał wojenny króla udzielał się narodowi. Pomimo to trzeba było przezwyciężać ogromne trudności, gdyż podatki wpływały bardzo powoli, a skarb świecił pustkami. Więc Batory z własnych funduszów łożył na potrzeby wojenne, zaciągał pożyczki, przy pomocy Zamoyskiego pobudzał możnych panów do ofiarności, a na jedną chwilę nie ustawał w pracy, by powodzenie zapewnić nowej wyprawie. Jakoż tym razem 35.000 zbrojnych mężów, nie licząc czeladzi i ciurów obozowych, zdołał zgromadzić pod chorągwiami.

Zbroił się i car, wysyłając swe wojska do Wiaźmy, Dorohobuża, Toropca i Starycy, bo nie umiał przeniknąć zamiarów Batorego i nie wiedział, z której strony grozi niebezpieczeństwo. Jednocześnie słał do swego wroga list za listem i, użalając się na przelew krwi chrześcijańskiej, starał się powstrzymać króla od nowej wyprawy. Nie gardząc przecież żadną bronią, knuł zarazem zamach na Stefana i w tym celu porozumiewał się z możnym panem litewskim Ościkiem. Na szczęście, knowania się wydały — i król za zezwoleniem senatorów litewskich kazał ściąć Ościka. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów głowa

szlachcica padła bez sądu pod toporem kata: Batory złożył dowód, że niema takiej głowy, którejby za zdradę kraju nie dosięgła ręka karzącej sprawiedliwości.

Król z Warszawy wyjechał na Litwę. Bawił czas jakiś w Grodnie, później w Wilnie, a w początkach lipca 1580 r. stanął w Czaśnikach, dokąd kazał ściągać poszczególnym oddziałom swej armji. Na radzie wojennej, po wysłuchaniu różnych głosów, zdecydował skierować się nie na Smoleńsk, jak to pierwotnie sobie układał, lecz na Wielkie Łuki, silną fortecę, która z tego względu posiadała doniosłość, że pozwalała trzymać w szachu nieprzyjaciela, gdyby dążył do Inflant zarówno przez Psków, jak przez Smoleńsk.

Dwiema drogami postanowił maszerować Batory: na Wieliż i Uświatę, dwie twierdze, które trzeba było zdobyć, by zabezpieczyć się od niespodzianek. Ważny zwłaszcza był Wieliż. Nie stawił się w Czaśnikach hetman wielki koronny Mielecki, stary a doświadczony wódz, urażony stanowiskiem Batorego w stosunku do Bekiesza i Węgrów. Hetman polny z przybyciem się opóźniał. Więc na zdobycie Wieliża wysłał król 6.000 wojska pod dowództwem Zamoyskiego, który nie piastował żadnej godności wojskowej, ale nieraz już odznaczył się trafnem i mądrem zdaniem w obozie, a miał niebawem przekonać niechętnych, że nie tylko wielkim statystą, ale i wodzem niepospolitym być umie.

Wkrótce po Zamoyskim i król z resztą wojska opuścił Czaśniki.

Obie drogi do Wielkich Łuk prowadziły przez gęste bory, bagna i puszcze nieprzetrzebione. Trzeba było rąbać siekierami lasy, przerzucać nieustannie mosty, a konie i działa często wydobywać z grząskiej

topieli. Pomimo niesłychanych trudności darło się wojsko naprzód i w końcu sierpnia w pobliżu Wielkich Łuk połączyło się z sobą. Zamoyski zdobył po drodze Wieliż, Radziwiłł — Uświatę.

Car nie pozwalał swym wodzom stawać do walki w otwartem polu. Ale gonił Batorego listami, przemawiał coraz pokorniej, łasił się, cytował pismo święte i prosił o zaprzestanie kroków wojennych. Król Stefan nie wyrzekł się ambitnych zamiarów zdobycia stolicy carskiej, ale by nie dawać pozoru, że wojnę napastniczą prowadzi, odpowiadał listami na listy Iwana, przyjmował jego posłów, słuchał ich przełożeń i sam stawiał warunki. W ten sposób oprócz wojny pod warownemi zamkami toczyła się jeszcze dyplomatyczna wojna na papierze, doskonale charakteryzująca obu przeciwników.

W czerwcu 1580 roku Iwan pozwolił wyjechać zatrzymanemu w Moskwie gońcowi króla Wacławowi Łopacińskiemu. Na pożegnanie powiedział mu, że został zatrzymany, ponieważ przywiózł obraźliwe pismo i ośmielił się zwrócić carowi własny list jego do króla pisany.

— Wszędzie takich ludzi, — mówił car ze zwykłą mu znajomością zwyczajów dyplomatycznych, — karzą śmiercią ale my,, jako monarcha chrześcijański nie chcemy twej nędznej krwi i dlatego, jak zwyczaj chrześcijański każe, pozwalamy ci odjechać.

A własnym posłom, którym dotychczas rozkazywał zachowywać się z niesłychaną dumą, dał instrukcję, świadczącą, że wobec potężnego wroga umiał być bardzo pokornym. Sam posłów cudzoziemskich, jeśli nie przywozili mu pomyślnych wiadomości, traktował obelżywie, trzymał pod ścisłą strażą, przysyłał im

najlichszą strawę lub wręcz morzył głodem[1]), za własne pieniądze jadła kupować im nie pozwalał, a „prystawom", co posłów pilnowali, dawał bardzo surowe przepisy. Po wzięciu Połocka uwolnił Łopacińskiego, a wysyłając posłów do Batorego, kazał im zachowywać się uniżenie, z całą pokorą, byle tylko nie drażnić króla i Polaków.

— „W razie jakichkolwiek potrzeb, — brzmiała instrukcja, udzielona posłom, — dopominać się bardzo delikatnie, nie wymyślać i nie grozić. Jeśli pozwolą jadło kupować, to kupować, a nie pozwolą — głód cierpieć. Jeśli król nie zapyta o zdrowie carskie i na złożony mu ukłon od cara nie wstanie, nie zwracać na to uwagi, nie mówić nic. Jeżeli zaczną bezcześcić, krępować, dokuczać, wymyślać, to skarżyć się na to swoim prystawom delikatnie, a gwałtownie o tem nie mówić, — cierpieć"...

Instrukcja ta świadczy wymownie, że wielki strach musiał ogarnąć Iwana. Car, który ogromną wagę przywiązywał do form i pozorów, który niedawno nie pozwolił odezwać się swym posłom, dopókiby król nie powstał i z odkrytą głową nie spytał o zdrowie carskie, gotów był obecnie znieść nawet obelgę, byle tylko zagaić układy i powstrzymać zwycięski pochód Batorego. Ale listy cara nie zawsze odpowiadały

---

[1]) W Polsce nie żałowano jadła Moskalom. Dla posłów moskiewskich i ich orszaku, złożonego z 276 osób, według rejestru z roku 1581 dostarczano na jeden dzień: «chleba rżanego półgroszkowego 600, chleba białego podwapieniężnego 600, jałowic 8, baranów 8, kurów 20, gęsi 10, mięsa połci 6, krup beczka 1, miodu cebrów 8, piwa cebrów 15, gorzałki kwart 40»... Tak brzmi współczesny rejestr, świadczący wymownie o gościnności polskiej i apetycie moskiewskim.

pokorze, jaką zalecał swym posłom. W piśmie z dnia 2 sierpnia 1580 roku, wyrzucał królowi, że pragnie rozlewu krwi chrześcijańskiej, a żądał, jeśli tak nie jest, by wojny zaprzestał, do ziem swych powrócił i tam oczekiwał na wielkich posłów moskiewskich.

— „A jeśli tak nie uczynisz i naszego pisania nie usłuchasz, a przez ten list nasz będziesz chciał krew chrześcijańską przelewać i chrześcijaństwo niszczyć,— wołał uroczyście krwawy morderca popów i mnichów a bezlitosny łupiezca cerkwi w swem państwie,— tedy Bóg, wszystkich Stworzyciel... jako rzecze Prorok: a teraz królowie rozumiejcie i ćwiczcie się, którzy sądzicie ziemię; jako ptakom, wronom Pan Bóg — karmiciel, tak i wszystkim ludziom od nachodzących nieprzyjaciół zastępca jest i z czyich rąk tej niewinnej krwie chrześcijańskiej i pustoszenia Pan Bóg Wszechmogący patrzać będzie, sam to możesz rozsądzić!”...

Król Stefan, odpowiadając obszernie na ten list cara, wypomniał mu dokonane przez niego zabory, napiętnował jego krwiożerczość i chciwość.

— „A co piszesz,—dodawał,—przywodząc z pisma prorockiego, iż krwie rozlania Pan Bóg z rąk tego, od kogo się na to przyczyna da, pozyskawać będzie, tedy gdybyś pierwej pisma święte na pamięci miał, tedybyś nigdy w cudze żniwo sierpa nie zakładał, a co nie twego, tego sobie nie przywłaszczał i krwie niewinnej nie przelewał”...

Dnia 29 sierpnia w obozie pod Wielkiemi Łukami zjawili się z licznym orszakiem wielcy posłowie moskiewscy. Król wysłał na ich spotkanie oddział ze 100 jeźdźców złożony, a potem publicznie, w otoczeniu senatorów, dał posłuchanie przybyszom.

Prowadzeni do namiotu królewskiego przez szpaler piechoty, szli uroczyście posłowie carscy „w złotogłowy i altembasy ubrani”, przystrojeni w kołpaczki, gęsto usiane perłami, a około 20 osób w paradnych sukniach ich otaczało, nie licząc „inszej hałastry”. której było dużo, bo w pięćset koni przybyli. „Konie,— opowiada naoczny świadek, a po słowach tych odrazu poznać można Polaka, — dość ubrane mieli, ale srodze nikczemne szkapy i jednego dobrego nie było”...

Stanąwszy przed obliczem strasznego wojownika, który gromił cara, bezkarnie ziemię moskiewszą najeżdżał, zamki carskie kulami ognistemi zdobywał, posłowie klękli kornie i czołem bili o ziemię, a następnie żegnali się znakiem krzyża świętego. Przypuszczeni bliżej do króla, nie śmieli ręki królewskiej ucałować, jeno na znak szacunku i pokory, czołem jej dotykali. Po oddaniu pisma carskiego, pozwolono posłom przemówić. Więc zabrali głos, ale ich mowa nie odpowiadała pokorze, którą tak manifestacyjnie okazywali.

— „Wielki kniaź nasz, — mówili, — posłał nas do ciebie, abyśmy od niego ustnie poselstwo sprawili i kazał je nam przed tobą sprawować w Wilnie, a tak chciej się wrócić do Wilna i ludzie swoje zwieść z ziemie pana naszego, tedy my poselstwo tobie w twej ziemi odniesiemy”...

Na to podkanclerzy litewski Radziwiłł odpowiedział imieniem króla, że żądanie to nie może być spełnione. Poczem dodał:

— „Jeżeli macie jakie dzieło insze, sprawujcie je, a czasu nie traćcie!”...

— „Mamy dzieło insze, — odparli posłowie, — ale go tu sprawować nie będziem, jedno w Wilnie”...

Król polecił im rzec:

— „Jakoście z niczem przyjechali, tak też z niczem odjedziecie”.

I kazał posłom odejść do przygotowanych na ich przyjęcie namiotów.

Wielkie Łuki były potężną fortecą, otoczoną z jednej strony rzeką Łowat, z drugiej — jeziorem. Ogromne wały, silne fortyfikacje drewniane, umocnione ziemnemi osłonami oraz liczne baszty nadawały groźny widok miastu, o którem powiada współczesny, że „było dobrze większe, niż Wilno dwakroć, acz niektórzy jeszcze wielkość mu większą przyczytają”... Król obyczajem swoim przed rozpoczęciem oblężenia czynił rozpoznanie twierdzy. „Jeździł pod zamkiem nad samym przekopem, — powiada Jan Zborowski, — tak że nie tylko z hakownice, ale z dobrej rusznice mógłby nas był dosiąc” nieprzyjaciel. Jakoż strzelano z twierdzy i kulami zasypywano orszak królewski. Koń jednego z dworzan radziwiłłowskich, trafiony celnym pociskiem, padł zabity na miejscu, później kula armatnia uderzyła w ziemię tuż przed samym królem. Panowie litewscy hamowali króla, prosili go, aby nie narażał swej osoby, ale nadaremnie.

— „Certe nihil est, domini mei” [1]), — odpowiedział Batory.

Następnego dnia znowu badał zamek i „skądby go oblec, gdzie też obóz założyć, konkludował”.

Dnia 31 sierpnia zaczęto bić z dział i przykopami posuwać się pod twierdzę. Oblężenie szło żwawo, król dobrej był myśli. Natomiast niepokój ogarnął posłów moskiewskich. Nie bacząc już na to, że na

---

[1]) Z pewnością nie to, moi panowie!

ziemi carskiej sprawują poselstwo, udali się znowu do króla i błagali go, aby przestał przelewać krew chrześcijańską. Oddawali Rzeczypospolitej Połock i zamki w czasie wyprawy połockiej zdobyte, a nadto ofiarowywali imieniem Iwana braterstwo Batoremu. Prosili, by pokój czynił. Odpowiedział im Radziwiłł, że nie król, lecz wielki kniaź moskiewski spowodował przelew krwi, że Połocka może Iwan nie ofiarowywać, bo to miasto król szablą zdobył i mocno w rękach swych trzyma, że wojny nie myśli zaprzestać, dopóki Moskwa nie zwróci wszystkiego, co kiedykolwiek należało do Rzeczypospolitej.

— Niechże się tedy wielki kniaź strzeże, — mówili Polacy, — „aby przy cudzem i swego nie stracił".

Prosili posłowie, aby z senatorami mogli dalej o pokój traktować.

Król zgodził się na to, ale do porozumienia nie przyszło.

Polacy żądali całych Inflant, Pskowa, Nowogrodu, Smoleńska i ziemi siewierskiej. Domagali się nadto zwrotu kosztów wojennych. Moskale czynili znaczne ustępstwa w Inflantach, prócz Połocka zrzekali się Uświaty i Wieliża, dodawali Jezierzyszcze. Król opuścił Psków i Nowogród. Posłowie proponowali wieczny pokój, ale nie godzili się na odstąpienie ziemi siewierskiej, a w Inflantach koniecznie chcieli kilka zamków utrzymać.

Na tem utknęły pertraktacje, bo Moskale nie posiadali większych pełnomocnictw, ale przebieg układów świadczył, że Iwan Groźny korzy się i gotów jest na wielkie ustępstwa.

Układy nie przerywały oblężenia. Piechota posuwała się wciąż bliżej pod twierdzę przekopami, działa

miotały ogień na zamek i miasto, a hajducy węgierscy usiłowali roznriecić ogień w fortyfikacjach drewnianych. Aby uczynić twierdzę przystępniejszą, kazał król groble przekopać, by wodę z jeziora odprowadzić. Przystąpiono natychmiast do pracy, a kasztelan zawichostski Kłoczewski, któremu kanclerz Zamoyski polecił ten rozkaz wypełnić, padł pod gradem kul nieprzyjacielskich. Dnia 2 sierpnia, podczas układów z Moskalami, pożar wszczął się w zamku, ale po pewnym czasie został ugaszony. Nazajutrz Batory zachęcał hajduków do wzniecenia płomieni. Dzielni Węgrzy podpełzli pod blankowania forteczne, zaryli się w darninę i pracowali bez wytchnienia. Moskale nie mogli razić ich strzelbą, więc zrzucali na nich kłody i kamienie, wylewali potoki wrzącej wody, lecz nie zdołali śmiałków odpędzić. W nocy przynoszono hajdukom z obozu jeść i pić, w dzień bacznie spoglądano, azali uda im się pożar rozpalić.

Dnia 4 sierpnia przed zachodem słońca Batory w otoczeniu kilku panów zbliżył się do zamku i bacznie przypatrywał się wysiłkom nieustraszonych Węgrów. Po pewnym czasie rzekł do otoczenia:

— „Ujrzycie, że moi piesi niedługo tę ścianę zapalą!”...

Jakoż nie przeszło pół ćwierci godziny, gdy ogień tak ogromny rozgorzał, iż „zdało się, że już niepo dobna było, aby ten ogień ugaszon być miał”. Król, spodziewając się, że załoga zechce zamek opuścić, rozkazał wystąpić jeździe i być w pogotowiu. Tymczasem lunął deszcz rzęsisty i ogień zaczął przygasać. Dopiero po północy piechocie Zamoyskiego udało się nanowo wielki pożar rozpalić. Załoga moskiewska z energją rzuciła się do gaszenia, ale tak Węgrzy, jak

Polacy podniecali ogień przygotowanemi zawczasu pociskami ze smoły i siarki. Artylerja królewska biła nieustannie w zamek, szerząc strach i zniszczenie. Nad ranem, gdy pół zamku stanęło w ogniu, Moskale, stojący na wałach, zaczęli wołać:

— „Już horod wasz! dla Boga! nie strzelajcie!”

Kazano oblężonym przysłać do obozu wojewodów, co kierowali obroną, a wojsko królewskie wezwano pod chorągwie, by w sprawie było, gotowe każdej chwili do odparcia wycieczki i stoczenia bitwy. Ale wojewodowie zjawili się w obozie i błagali panów polskich, aby wstawili się za nimi do króla.

Kanclerz Zamoyski odpowiedział:

— „Nie frasujcie się, starać się będę u króla jegomości, że was gardły daruje i łaskę nad wami pokaże”...

Lecz żołnierze na widok Moskali, którzy walczyli podstępem i zdradą, a nad jeńcami znęcali się niemiłosiernie, zaczęli głośno sarkać i wyrzekać na króla, że zbyt jest miłosierny, skoro łaskę okazuje tak strasznym nieprzyjaciołom i pozwala im odejść, by znowu porwali się do broni.

Batory słyszał te skargi, ale pomimo to zgodził się na te same warunki kapitulacji, jakie ofiarował załodze i mieszkańcom Połocka.

Dnia 6 września 1580 r. Wielkie Łuki kapitulowały.

Król, baczny na wszystko, rozkazał Zamoyskiemu, aby wysłał oddział piechoty do gaszenia pożaru, a poza tym oddziałem nikomu do twierdzy nie pozwolił wkraczać. Stało się przecież inaczej. Gdy piechota węgierska ruszyła, by wypełnić rozkaz króla, a przedewszystkiem zabezpieczyć od ognia działa i prochy, za piechotą rzuciła się czeladź i garść żołnierzy, prze-

konanych, że Węgrzy idą łupić skarby i dobytek. Niesforny tłum wtargnął do wnętrza, jak burza pomsty i śmierci. Zaczęła się rzeź, połączona z haniebnym rabunkiem. Na ten widok starszyzna wpadła pomiędzy rabusiów i czyniła największe wysiłki, aby powstrzymać czerń rozjuszoną. Wszystko nadaremnie.

— „Kapitani, rotmistrze i sam pan hetman bronili, ale żadnym obyczajem obronić nie mogli",—powiada świadek naoczny.

W zamieszaniu, jakie powstało, nikt już nie myślał o gaszeniu pożaru. Więc wkrótce cały zamek stanął w płomieniach. Ogień, rozszerzając się z nadzwyczajną szybkością, doszedł do składu prochów. Nastąpił wybuch. Zatrzęsła się ziemia, płonące ściany zamku ze straszliwym gruchotem rozwaliły się, pękły, a w górę wzniósł się w kłębach czarnego dymu olbrzymi słup ziemi, gruzu i kamieni, strzelił pod same niebo i runął z powrotem na zgliszcza, jak lawina zniszczenia.

Mnóstwo ludzi życiem przypłaciło wybuch, a samych Węgrów i Polaków, co zginęli pod gruzami, na dwustu obliczano. Pastwą płomieni stało się trzydzieści sześć dział, kilkaset hakownic, kilka tysięcy rusznic, cała amunicja, wiele cennych sprzętów i skład kosztownych futer, zgromadzonych w zamku. Król, przywiązujący wielką wagę do utrzymania w swych rękach fortecy, ze łzami w oczach przyglądał się rumowiskom, pełnym szczątków ludzkich. Sam nakreślił plan odbudowy twierdzy i wykonanie planu powierzył trzem inżynierom włoskim.

Pomimo klęski, spowodowanej wybuchem, zwycięstwo radośnie obchodzono w obozie. Jakoż triumf istotnie był wielki: jedna z najpotężniejszych twierdz

carskich po dziesięciu dniach oblężenia została zdobyta.

Car mógł się przekonać, że przed wytrwałością króla i męstwem jego żołnierzy nie ochronią ziemi moskiewskiej warowne twierdze i zamki. Krwawy tygrys schował jeszcze głębiej swe drapieżne pazury i znowu głosem niewinnego baranka przemówił.

Ale Batory nie spoczywał na laurach.

Dla ubezpieczenia Wielkich Łuk należało zdobyć jeszcze Newel, Jezierzyszcze i Zawołocie. Król, osadziwszy w Wielkich Łukach załogę, wydał odpowiednie zarządzenia — i wkrótce wszystkie trzy forteczki dostały się w ręce polskie. Zabłysnął znowu talent Zamoyskiego przy zdobyciu Zawołocia, silnego zamku, „który, jako kaczka prawie na wodzie siedział", zewsząd opasany jeziorem i bagnami. W tym samym czasie znaczne wojska moskiewskie poniosły dotkliwą porażkę pod Toropcem, spotkawszy się w otwartem polu z jazdą polską pod dowództwem wojewody Janusza Zbaraskiego. W wyprawie tej obok Stanisława Żółkiewskiego odznaczył się głośny banita, Samuel Zborowski.

Tak w r. 1580 zakończyła się druga na Moskwę wyprawa.

O dalszych postępach nie mógł król myśleć, bo dżdżysta jesień utrudniała kroki wojenne. Ponadto wyczerpywały się środki, żołdu nie było czem płacić, a dalsza wojna wymagała nowych zasobów. Nie pozostawało nic innego, jak znowu kołatać o pobory do sejmu, czynić nowe zaciągi, wypełniać w szeregach luki, by na wiosnę pomknąć w głąb carstwa i stanowczym ciosem wojnę z Moskwą zakończyć.

Król opuścił wojsko, wyjechał do Wilna, a stamtąd udał się na sejm do Warszawy.

A Iwan zrozumiał, że nie tylko siła fizyczna prowadzi Batorego do zwycięstw. Odczuł, że za wielkim wodzem stoi jeszcze siła moralna narodu, siła, której on, samodzierżawny władca nie miał do rozporządzenia, bo w całem swem państwie on jeden był siłą.

Car zląkł się.

Wszystkie groźby, prośby, wszystkie wybiegi, krętactwa, pisma żadnego nie dały rezultatu. Twierdze i zamki, przed któremi stanęły zbrojne zastępy Batorego, pomimo zaciętej niekiedy obrony, przechodziły w ręce króla, a bitwy i utarczki w otwartem polu kończyły się klęską wojsk moskiewskich, nie mogących się mierzyć z dobrze wyćwiczonem a mężnem i pełnem zapału rycerstwem

Zachwiał się tron carski, zadrżała na głowie Iwana Groźnego korona.

Przerażony tyran, szukając mocy, któraby go zasłoniła przed zwycięskim królem, wpadł na pomysł niezwykły: do gry politycznej z Batorym postanowił wciągnąć głowę kościoła rzymsko-katolickiego.

Pod skrzydła papieża chronił się przebiegły okrutnik.

VIII.

TRZECIA NA MOSKWĘ WYPRAWA.

Wojna, toczona w granicach carstwa moskiewskiego, acz wywoływała sarkania w kraju, nie dawała się odczuć Rzeczypospolitej, nie wyczerpywała jej zasobów materjalnych i ludzkich, a imię polskie w całym świecie otaczała blaskiem. Za Zygmunta Augusta, który nie rad dobywał miecza, szlachta odwykła od znojów i trudów obozowych. Świetne zwycięstwa polskie w dawniejszych czasach rozstrzygała zazwyczaj jazda, lubująca się w impecie i szukająca bitwy w otwartem polu. Rycerstwo polskie w pogardzie miało piechotę. Wojna, którą prowadził Batory, wymagała sztuki i wytrwałości, wykazała wielką doniosłość i znaczenie piechoty, podniosła umiejętność inżynierską i artyleryjską, wdrażała rycerstwo do służby twardej, do dyscypliny i współdziałania poszczególnych rodzajów broni. Hufce niemieckie i węgierskie pobudzały Polaków do rywalizacji, pozwalały im korzystać ze zdobyczy i doświadczeń wojsk cudzoziemskich. To jeszcze miała do siebie ta wojna, że w oczach świata utrwalała powagę Rzeczypospolitej, ukazywała ogółowi pol-

skiemu cele wyższe, odrywała szlachtę od spraw jednej ziemi lub jednego województwa, kazała jej myśleć o całem państwie, troskać się o jego los, przyszłość i sławę. Zwycięstwa nad możnym wrogiem, pragnącym o Wisłę oprzeć swe granice, podniosły naród we własnych oczach, a miały w sobie krzepiącą moc, bo hamując zapędy potężnego tyrana, świadczyły wymownie, że nie tak straszna jest Moskwa, jak to sobie wyobrażano, że groźny car nie jest w stanie oprzeć się zwycięskiemu pochodowi mężnych zastępów dzielnego króla.

Ale pomimo dotychczasowych zwycięstw, Moskwa nie była pokonana, Iwan Groźny nie uważał się za zwyciężonego.

Wszyscy rozumieli, że, chcąc Rzeczypospolitej na dłuższe lata zabezpieczyć pokój, trzeba wojnę skończyć nowym a stanowczym ciosem. Więc na sejmie 1581 roku senat zgodnie wypowiedział się za dalszem prowadzeniem wojny, a izba poselska poszła za przykładem senatu.

Nie było przecież zgody między sejmem a królem.

Batory żądał uchwalenia dotychczasowych poborów na dalsze trzy lata, posłowie ziemscy przyzwalali na pobór, lecz tylko na rok jeden. Wymowny kanclerz w gorących a mocnych słowach przestrzegał sejm przed chytrym nieprzyjacielem i przed dążeniem do zawarcia przedwczesnego pokoju.

— „Póty ten nieprzyjaciel pokój dzierży, póki mu potrzeba. Trzeba mu nie tylko pierze wyrwać, żeby nie porosły, — mówił Zamoyski, — ale barki strącić, trzeba go zrazić od morza; stamtąd może być posilony praktykami, materjałem wojennym, rzemieślniki; trzeba mu te barki odciąć i do końca przyprzeć”...

I król przemawiał kilkakrotnie, domagając się, by sejm nie tracił czasu i pobór żądany uchwalił na trzy lata.

— „Powszechne jest zdanie, — dowodził Batory, — że główną siłą wojny są pieniądze, a ja dodam, i korzystanie z czasu. Późno i nie w swoim czasie dokonane dzieła, choćby najświetniejsze, rzadko kiedy osiągają swój cel. W przeszłym roku, w czasie, gdyśmy zjechali na sejm i żołnierz był popisany i pobór opłacony i wszystko przygotowane do wojny, a jednakże wy sami świadkami jesteście, jak późno przybył żołnierz i jak utrudzony był długą drogą. Otóż gdy wszystko na szybkości zależy, upominam was, abyście sprawę, która nie cierpi żadnej zwłoki, jak najprędzej załatwili"...

Ale izba poselska nie myślała się spieszyć, a do ustępstw nie okazywała skłonności. Gdy wyjaśniło się, że zdania są podzielone, że część sejmujących stanów wypowiada się za jednym poborem, część godzi się na pobór dwuletni, król wygłosił do senatorów stanowczą a pełną siły męskiej przemowę.

— „Mając w pamięci wota waszmościów, co mam mówić i com przyobiecał, wiem dobrze. W całej tej sprawie tego domagam się przedewszystkiem, by nikt nie wstydził się prawdy wypowiedzieć. Ktokolwiek jest zatem, by wojna dalej prowadzona była, a nie chce obmyśliwać środków do jej prowadzenia, ten w gruncie rzeczy wojnie przeciwny jest. Dziękuję wam za uchwalenie tego jednego poboru. Uczynię, co będę mógł. Nie spodziewam się, bym coś nadzwyczajnego sprawił, bym obronne zamki i grody mógł zdobywać, jak przedtem: nie dlatego, żebym nie chciał, ale że będę pozbawiony odpowiednich środków.

Taka wojna prowadzona będzie, jakie będą dostarczone środki, a jeśli nieszczęśliwi poddani będą pędzeni, jak złoczyńcy przez nieprzyjaciół, którym obronić się nie będzie można lub inne podobne następstwa spotkają nas, pytam, czy to będzie z moją i Rzeczypospolitej chwałą? Jestem pewien, że choćby pobór ten był ciągły, nikogo z panów i chłopów nie zuboży. Ci, co są za dwuletnim poborem, niech wiedzą, że czynią to nie dla mnie, ale dla korzyści Rzeczypospolitej. Ci, co przeciwni są temu, niewdzięczni są i opierają się widocznej łasce Boga, myśląc, że jednym poborem Moskwa zwyciężona być może. Od wyborców podatków odebrałem 50.000 zł., nie licząc z dóbr szlacheckich, królewskich i duchownych. Więc i teraz także na prowadzenie wojny przez rok mam mieć 50.000 złotych. Bóg mi świadkiem, że gdyby tego dobro Rzeczypospolitej wymagało, pomyślałbym nie tylko o zawojowaniu samej Moskwy, ale całej północy. Mówię to nie przez dumę i zarozumiałość, lecz ufny jedynie w pomoc bożą, cokolwiek bowiem uczyniłem dotąd, nie własnym zasługom, ale niezmiernej dobroci i łaskawości boskiej przypisuję. Radzę więc waszmościom, abyście w mej nieobecności namyślili się i uradzili, jak wyjść z tej sprawy dla siebie z honorem, dla Rzeczypospolitej z pożytkiem”...

Moc biła ze słów króla. Widać było, że czuje się na siłach przekształcić świat, że krokiem zdobywcy, jak jego ulubiony bohater Juljusz Cezar, gotów jest ze swem wojskiem przebiegać olbrzymie przestrzenie i nie tylko Moskwę, ale całą północ rzucić do stóp Rzeczypospolitej.

Ale wojowniczość króla nie wszystkim przypadła do smaku.

Polska nie miała instynktów zaborczych i nie siłą miecza rozszerzała swe posiadłości. Słowa Batorego wywołały zastrzeżenia. Ci i owi z niechęcią zaczęli spoglądać na tego węgierskiego Cezara, obawiając się, by w jego zwycięstwach nie zginęły swobody szlachty, by złota wolność nie doznała jakiego szwanku. Szlachta zacięła się w uporze. Król naglił. Nie dając za wygraną, nie zrażając się niczem, następnego dnia jeszcze energiczniej przemówił do posłów:

— Jeślibyśmy zaniedbali uczynić, co trzeba, to „nieprzyjaciel zebrałby siły na nowo, obróciłby je przeciwko nam, i to, cobyśmy mieli uczynić, onby uczynił. A to, co z tylu niebezpieczeństwy, trudy i mozoły zostało poczęte, obróciłoby się wniwecz. Nie mówię tego, siebie mając na myśli, bo nie żądam. by z tego coś dla mnie przypadło, lecz dla pożytku waszego i Rzeczypospolitej, której powodzenie droższe mi jest nad życie. Uczyńcie, co osądzicie godnem. Potrzeba jest tak gwałtowna, że bez sromoty Rzeczypospolitej zaniedbać jej nie można!”...

I uniósł się król, gdy na zakończenie swej mowy, zawołał:

— „Czas bieży, trzysta mil przed nami, a my tu jeszcze nad kosztami wojennemi deliberujemy!”

Słowa te musiały uczynić ogromne wrażenie. Zachwiali się w swem postanowieniu posłowie, zmiękli i prosili o trzy dni do namysłu. Wreszcie po długich debatach ulegli i zgodzili się na pobór dwuletni.

Hejdensztejn powiada, że na zakończenie obrad sejmowych marszałek koła rycerskiego, Stanisław Przyjemski zaniósł do króla prośbę w imieniu posłów ziemskich, aby wyprawa, którą raz jeszcze przedsiębierze, była wyprawą ostatnią, aby król koniecznie zawarł

pokój, bo szlachta i wieśniacy nazbyt już wycieńczeni są podatkami. W aktach sejmu 1581 r. pożegnalna mowa Przyjemskiego nie zawiera tej prośby, wyraża tylko gorące życzenia na nową wyprawę i wielką ufność, że wojnę, którą król tak szczęśliwie zaczął, szczęśliwie potrafi zakończyć.

To pewna, że nie obyło się bez skarg i wyrzekań na uciążliwości wojenne. Ale chociaż sejm nie uchwalił poboru na trzy lata, jak się tego domagał Batory, lecz na lat dwa, to przecież ten wysoki, trzeci raz z rzędu uchwalany pobór najwymowniej świadczył, że w wielkiej wojnie z Moskwą ogół stoi za Batorym, że z carem wojuje nie tylko król, ale że wojnę prowadzi świadoma swych zadań Rzeczpospolita.

Dowodem tego były również układy, prowadzone przez panów polskich z przybyłymi do Warszawy posłami carskimi. Układy szły, jak po grudzie, bo car tanim kosztem chciał wybrnąć z nieszczęśliwej wojny, a jego posłowie zawzięcie się targowali. W końcu przecież Moskale oddawali Rzeczypospolitej Połock, Wieliż, Suszę i Jezierzyszcza, wreszcie prawie całe Inflanty, ale przy kilku zamkach w tym kraju koniecznie chcieli się utrzymać. Polacy domagali się całych Inflant i pomimo różnych ustępstw ze strony moskiewskiej, nie dali się do pokoju nakłonić. Coraz lepiej rozumiał ogół, że Rzeczpospolita nie będzie bezpieczna, dopóki Iwan nie uzna się za zwyciężonego i nie przyjmie warunków, jakie mu podyktują Polacy.

Przemogła opinja Zamoyskiego, że groźny wróg nie zasługuje na względy, że trzeba mu „nie tylko pierze wyrwać”, ale „i barki strącić”, odpędzić od morza, by nie wzmógł się na siłach i nowej wojny nie rozpoczął.

Miał więc król za sobą opinję narodu, mógł się do nowej wyprawy sposobić.

Ale i tym razem trudności były wielkie, bo podatki wpływały bardzo powoli, a koszta rosły ze względu na konieczność nowych zaciągów. Batory Zamoyskiemu powierzył pracę organizacyjną, sam udał się na Litwę, skąd ruchami wojsk wszystkich kierował.

W Grodnie nowy wysłaniec carski prosił króla, by wstrzymał kroki wojenne, bo Iwan chce czynić zgodę i wysyła wielkich posłów dla ostatecznego ułożenia warunków pokoju. Jakoż istotnie przestraszony tyran stawał się coraz skłonniejszym do ustępstw, a instrukcja, jaką nowym posłom udzielił, świadczyła, że gotów był się ukorzyć. Albowiem i tym razem rozkazywał posłom, by wszystko znosili cierpliwie, by nie zważali nawet na obelgi, tak słowne, jak czynne. A jednak i w tej instrukcji przejawiła się natura carska obłudna, chytra, złośliwa. Gdyby król nie chciał uznać Iwana carem, posłowie i na to nie mieli zwracać uwagi i nie przerywać układów. Ale w razie sporu o tytuł powinni byli odpowiedzieć:

— „Bóg dał imię carskie panu naszemu, któż go może tego imienia pozbawić? Monarchowie nasi od wieków, nie od wczoraj są monarchami"...

Miał to być przytyk do Batorego, że nie jest królem dziedzicznym.

Gdyby spytano posłów, któż to jest monarchą od wczoraj, taką instrukcja dyktowała odpowiedź:

— „My utrzymujemy, że nasz monarcha nie od wczoraj jest monarchą, a kto jest monarchą od wczoraj, ten sam wie o tem najlepiej"...

Iwan odmawiał dawniej Batoremu tytułu brata, obecnie polecił posłom nie obrażać się, gdyby z kolei

król polski bratem nazwać go nie chciał. Ale godząc się nawet na haniebne traktowanie posłów i odstąpienie niemal całych Inflant, chciał koniecznie ukłuć swego wroga, popisując się wyższością swego rodu.

Lecz Batory nieugięcie domagał się całych Inflant, a nadto zażądał zwrotu kosztów wojennych w wysokości 40.000 złotych węgierskich. Zdawać się mogło, że tym razem dojdzie do pokoju, bo przy zwrocie kosztów król nie myślał się upierać, a z zachowania się posłów można było wnosić, że sporne terytorja car ustąpi Polsce. Wprawdzie Stefan miał zamiar wkroczyć do stolicy carskiej i w samej Moskwie podyktować Iwanowi warunki. Ale brak środków pieniężnych i nalegania, by pokój czynił, czyniły i króla do ustępstw skłonniejszym.

Niespodziewanie dla Polaków car zmienił nagle stanowisko i przemawiać zaczął, jak dawniej tonem dumnym, wyniosłym, zuchwałym. Na tę zmianę wpłynęły przesłane do Moskwy wiadomości, że król ma wielkie kłopoty pieniężne, że umarł Krzysztof Batory, skutkiem czego, jak mniemali Moskale, Stefan zmuszony będzie wyjechać do Siedmiogrodu i wyrzec się osobistego kierowania nową wyprawą. Ale jeszcze ważniejsza była wiadomość, że wysłany do papieża goniec carski Szewrygin, przyjęty w Rzymie z wielkiemi honorami, pomyślnie misję swą ukończył, że Grzegorz XIII podjął się pośrednictwa i że wysłannik papieski, znakomity jezuita Possewin, uzyskawszy pozwolenie na przejazd przez ziemie Rzeczypospolitej, stanął już w Wilnie, rozmawiał z królem (czerwiec 1581 r.) i jedzie do cara.

Iwan uczuł, że przychodzi mu odsiecz.

A widząc pomyślny skutek swej polityki, odrazu podniósł hardo głowę i nie chciał słyszeć o pokoju na warunkach, które sam niedawno proponował. Przez nowego gońca cofnął swe propozycje, zażądał prócz Narwy i Dorpatu jeszcze trzydziestu sześciu zamków w Inflantach, a w liście, który królowi wręczono w Połocku, na swój sposób nowe swe stanowisko wyjaśniał.

Sekretarz Stefana, ksiądz Piotrowski opowiada, że hramota carska była wielka, jak „sztuka kolońskiego płótna", a ogromnemi pieczęciami upstrzona.

Zaśmiał się Batory, gdy mu wręczono olbrzymie pismo i rzekł do otoczenia:

— „Nigdy nam jeszcze tak długiego listu nie przysłał. Zapewne opisuje wypadki od pierwszego Adama zaczynając"...

Nie omylił się król. List był niesłychanie długi, a jak zwykle zawierał wywody, zaczynające się niemal od stworzenia świata. Ale w miarę czytania uśmiech musiał zamierać na ustach Batorego. Takiego pisma nigdy jeszcze nie ośmielił się car wysłać. Już pierwsze słowa były wysoce złośliwe i drwiące, a miały, w mniemaniu cara, wykazać jego wyższość nad znienawidzonym przeciwnikiem.

— My z woli Boga, a nie z buntowniczej chęci ludzkiej Iwan pokorny, car i wielki książę wszystkiej Rusi...

Takiemi słowami car list swój rozpoczynał. Miały one znaczyć, że Stefana wyniosła na tron buntownicza wola szlachty, gdy on, Iwan, Bogu zawdzięcza swe panowanie. Wywodził car dalej, że o pokoju niema co mówić, bo Batory jest nienasycony, a nie chodzi mu o nic innego, jeno o przelew krwi chrześcijańskiej. Pisał, że zwrot kosztów wojennych nie jest między

narodami praktykowany, że żadnej daniny składać nie myśli, gdyż nigdy nie był niczyim lennikiem. Była to nowa przymówka do Batorego, który, jako książę siedmiogrodzki składał daninę sułtanowi. Odrzucając myśl o zawarciu pokoju, car zarzucał dalej królowi, że wojuje nie mieczem, lecz zdradą, że Połock zdobył podstępem. Skarżył się na straszne okrucieństwa wojsk królewskich, na djabelski wynalazek, jakim są kule ogniste.

— Nazywasz się, — pisał, — monarchą chrześcijańskim, a wszystkie sprawy nie według zwyczajów chrześcijańskich prowadzisz. Czy to po chrześcijańsku, że panowie twoi krwi chrześcijańskiej nie żałują?... Ja pragnę pokoju, ty chcesz wojny i przelewu krwi chrześcijańskiej! I jako krwawego człeka, pałającego jedynie żądzą podbojów, wzywał car króla, by myślał o Bogu, by zrzekł się swoich pretensyj, niegodnych chrześcijanina. Dowodził, że w przeciwnym razie w ciągu całych wieków lać się będzie krew chrześcijańska w wojnie Polski z Moskwą.

A posłowie carscy, otrzymawszy nowe instrukcje, również zmienili swój ton pokorny, uniżony i przemawiać zaczęli zuchwale, jakby pan ich odniósł zwycięstwo.

Batory widząc, co się święci, kazał ruszyć się wojsku, a Iwanowi nie pozostał dłużnym w odpowiedzi.

W piśmie, pisanem już w czasie pochodu, nazwał cara Faraonem moskiewskim, wilkiem, skradającym się do owiec.

— Czemużeś, — urągał król swemu wrogowi, — nie wystąpił przeciw nam ze swemi wojskami, czemuś to nie bronił swych poddanych?... Toż nawet biedna kokosz skrzydłami swemi zasłania pisklęta przed

jastrzębiem i orłem, a ty, orle o dwóch głowach, bo taka jest twoja pieczęć, chowasz się tchórzliwie!... A jeśli żałujesz krwi chrześcijańskiej, to sam wynijdź w pole!...

I na pojedynek wyzywał tyrana.

— Żal ci rozlewu krwi,—proponował carowi,—to siądź na swego konia, umówmy się co do czasu i miejsca, pokaż się mężem odważnym i stań do walki. Rozprawimy się we dwóch, a Pan Bóg pomoże prawdzie ku mojej pociesze, a twojej zagubie!...

List ten był zbyt wielkim zaszczytem dla tchórzem podszytego cara, a świadczył, że gorący król uniósł się gniewem, że bezczelność carska wytrąciła go z równowagi.

Oczywiście Iwan ani myślał stanąć do walki osobistej z Batorym. Całą nadzieję pokładał car w Possewinie, liczył na wpływy papieża, lecz w gruncie rzeczy miotany był niepokojem. Hufce litewskie i polskie ożywiły swoje działania w Inflantach, a generał szwedzki, Pontus de la Gardie, coraz bardziej dawał się we znaki wojskom moskiewskim. Zastępy carskie, wysłane dla spustoszenia okolic Szkłowa i Mohilowa, natrafiły na mężny opór Krzysztofa Radziwiłła i Filona Kmity, a zwycięski król Stefan, rozpocząwszy nową wyprawę, bez przeszkód posuwał się naprzód.

Na radzie wojennej, zwołanej przez króla w Zawołociu, zastanawiano się nad celem nowej wyprawy. Większość była zdania, że trzeba ruszyć na Psków. Król, mając mało piechoty i szczupłe zapasy prochu, a wiedząc, że Psków jest potężną twierdzą, wahał się, czy ważyć się na to, i o pochodzie na Nowogród Wielki zamyślał. Ale że zdobycie Pskowa oddawało panowanie nad Inflantami, a maszerując na Nowogród,

musiałaby armja króla pozostawić za sobą miasta bogate i ludne, więc tym razem Batory podzielił zdanie większości.

Na Psków skierowało się wojsko.

W Worońcu, za Zawołociem, na granicy ziem nieprzyjacielskich, ustanowił Stefan dożywotni urząd hetmana i urząd ten powierzył najdzielniejszemu z pomocników swoich, Janowi Zamoyskiemu, który wykazał niepośledni talent wojenny, a odznaczył się energją i bystrością. Wyniesienie na hetmaństwo dożywotnie kanclerza dawało Zamoyskiemu władzę ogromną, a niemiłe było wielu wojownikom, co w uczonym szlachcicu widzieli dyplomatę, a długo nie chcieli pogodzić się z myślą, że i wodzem znakomitym być może. Szczególniej boleśnie dotkniętym czuł się Jan Zborowski, zwycięzca z pod Tczewa, nieobecny podówczas w obozie, mąż wojenny wielkich zdolności, ale charakter niespokojny, a jak wszyscy Zborowscy, zawistny, ambitny i do intryg skłonny.

Armja, którą Batory prowadził na Psków, przedstawiała się okazale i budziła podziw cudzoziemców, co olśnieni sławą wypraw poprzednich, przybyli z różnych stron świata i zaciągnęli się na ochotnika do chorągwi królewskich, by wziąć udział w nowej wyprawie i wykształcić się w sztuce wojennej pod wodzą głośnego już w całej Europie wodza. Niestety, ta pyszna, budząca podziw cudzoziemców armja, nie była, pomimo wysiłków króla, przygotowana do zimowej kampanji, a artylerja nie miała potrzebnych zapasów prochu. Ale czas płynął, lato się kończyło, więc Stefan śpieszył, by przed chłodami jesieni stanąć pod Pskowem.

Dnia 18 sierpnia 1581 roku wojsko zatrzymało się pod Ostrowem, warowną twierdzą, otoczoną murem

kamiennym i obronnemi basztami, a zbudowaną na wyspie rzeki Wielikiej. Król biegłem okiem znawcy obejrzał ze wszystkich stron zamek i opracował natychmiast plan działań. Po dwóch dniach oblężenia wielkie wyłomy uczyniono w murach. Węgrzy rwali się już do szturmu, ale powstrzymał ich Zamoyski, nie chcąc dopuścić do zbytecznego przelewu krwi, a widząc, że obrona nie potrwa już długo. Jakoż na drugi dzień poddał się Ostrów, a załoga jego złożyła przysięgę na wierność królowi.

Wojsko ruszyło dalej, a już 24 sierpnia przednie oddziały zbliżyły się do Pskowa.

Widok tego miasta ogromne sprawił wrażenie.

— „O Jezu! toć wielkiego coś, niby drugi Paryż!" — oto okrzyk, jaki wyrwał się sekretarzowi króla, księdzu Piotrowskiemu, gdy ujrzał wielki gród, obwiedziony potężnemi murami.

— „Miasto to barzo wielkie, — powiada tenże ksiądz Piotrowski, — w Polsce takiego nie mamy, murem otoczone wszytko, cerkwie jako las gęste a świetne stoją, wszytkie murowane, domów za murem nie widać... Kraj około miasta nadobny. W nadobnej równi leży. W mili od miasta dwie rzece: Wielika i Czerota, schodzą się i tak, jako Wisła pod Warszawą nadobnie płyną. Z drugiej strony miasta trzecia rzeczka Pskówka miesza się w te dwie, a ta przez zamek płynie"...

Na pierwszy rzut oka widać było, że zdobycie Pskowa nie pójdzie łatwo. Potężne mury z trzydziestoma siedmioma groźnemi basztami, mające z górą 8 wiorst obwodu, wymagały ogromnych sił, zwłaszcza że car, spodziewając się oblężenia, wzmocnił załogę, nagromadził wielkie zapasy żywności i przysposobił fortecę do długiej obrony. Uzbrojono mieszczan, których liczba wraz

ze strzelcami i wojskiem pieszem wynosiła 50.000 ludzi. Ponadto 7.000 jazdy było na usługach oblężonych. Razem z górą 100.000 osób mieściło się wewnątrz murów. Obroną kierowali książęta Szujscy, Wasyl i Iwan, których ojciec Piotr zginął pod Ułą, w walce z Polakami za Zygmunta Augusta.

Gdy pierwsze oddziały polskie zbliżyły się do Pskowa, pod murami stała w gotowości bojowej nieprzyjacielska piechota i kilkaset jazdy. Harcownicy polscy chcieli wywabić ku sobie tę jazdę, ale ile razy ruszali do ataku, tyle razy przeciwnicy cofali się zaraz pod mury, z których rozpoczynano ogień armatni. Pociski padały „jako głowa wielkie”, a po czterdzieści funtów i więcej ważyły.

Król wezwał twierdzę do poddania się, ale oblężeni oznajmili, że dadzą odpowiedź za pięć dni.

Batory wraz z Zamoyskim objeżdżał mury, czynił rozpoznania okolicy, sam wybrał miejsca na rozłożenie obozu i zarządził prace oblężnicze. Rozpoczęły się zaraz roboty ziemne. Wojsko przekopami posuwało się ku murom. Działa forteczne przeszkadzały tej pracy, a szczególniej nocami rzęsistym ogniem starały się powstrzymać postępy wojsk królewskich. Lecz robota szła żwawo. Siódmego września przemówiła artylerja polska i węgierska.

— „Mury, — powiada ks. Piotrowski,—kurzyły się, jako dym, wątłe barziej, niżeśmy się spodziewali”...

Następnego dnia z obu stron znowu przemówiły armaty. Pod celnym ogniem puszkarzy królewskich dwie baszty, najbliższe rzeki Wielikiej, zapadły się z trzaskiem. Kupy niekształtnych gruzów utworzyły się na ich miejscu, wszakże nad jedną z nich pozostał szczyt i dach na palach wsparty. Zaczęto bić do mu-

rów, co do owych baszt przylegały i uczyniono dwa dość znaczne wyłomy. Natychmiast piechota węgierska zaczęła dopraszać się szturmu, a zapał dzielnych Węgrów udzielił się całej armji. Coraz więcej ochotników zgłaszało się do króla, prosząc o przydzielenie ich do oddziałów, mających szturm rozpocząć. Pięciu rotmistrzów ofiarowało się zsiąść z koni i „osobami swemi" wziąć udział w zdobywaniu twierdzy.

Batory rad był tej ochocie rycerskiej, ale przed powzięciem decyzji postanowił zbadać lepiej owe wyłomy, przekonać się, dokąd prowadzą, co jest za niemi i czy szturm ma widoki powodzenia. W tym celu postanowił wysłać dwa niewielkie oddziały ku owym wyłomom, by zbadały położenie i przyniosły o wszystkiem dokładną wiadomość.

Tymczasem po obozie gruchnęła wieść, że się szturm walny szykuje. Wielki zapał ogarnął żołnierzy. Rotmistrze, co zgłosili się na ochotnika, przywdziali na zbroje białe śmiertelne koszule, a przed namiotami swemi wywiesili białe chorągwie na znak, by ci z towarzyszy, co chcą wziąć udział w szturmie, stawali w ordynku.

— „Dziwna rzecz, — powiada naoczny świadek, — jako ich siła do nich i regestru biegło, koszule białe nałożywszy na wierzch, a miecz goły z rodelą[1]) wziąwszy, jeden do drugiego chodził, żegnając się i testamenty pisząc. I żałość i radość była patrzeć na to. Na roty też zatem jezdne w bębny uderzono"...

Król stanął nad rzeką Wieliką.

W pobliżu króla uszykowała się jazda, a ochotnicy w białych koszulach ukryli się w przekopach. Ry-

---

[1]) z puklerzem.

knęły armaty królewskie i zaczęły bić w mury zdala od wyłomów, by odwrócić od nich uwagę Moskali. Wtedy dwa oddziały, każdy z paruset ludzi złożony, ruszyły ku owym wyłomom, aby się przekonać, czy przez nie można wedrzeć się do wnętrza miasta i przysłać zaraz wiadomość królowi. Tysiące ludzi z roziskrzonemi oczyma, a z zapartym tchem czekało na rezultat. Ale gdy wywiadowcy znikli za oszańcowaniami twierdzy, stała się rzecz niespodziewana. Niecierpliwi Węgrzy, nie czekając rozkazów, zerwali się z miejsca i pędem skoczyli ku murom. Za Węgrami pobiegli Polacy i Niemcy i jak szumiąca, niczem niewstrzymana fala, rwali ku twierdzy. Ani podobna było myśleć o zahamowaniu tych zastępów, ogarniętych już szałem bojowym. Więc biegł, kto chciał. A zaledwie murów dopadli żołnierze, wnet na gruzach obu wież potrzaskanych ukazały się zatknięte zwycięsko chorągwie. Na ten widok runęło naprzód kilka nowych rot pieszych i konnych, ale skutkiem ciasnoty nie mogło wtargnąć do wnętrza. Okropna walka wszczęła się za murami. Przerażeni Moskale, rąbani i kłuci, pierzchli pod naporem atakujących żołnierzy. Popłoch zapanował w mieście. Ale Iwan Szujski zdołał wprowadzić do boju nowe szeregi, a ihumen Tichon, wyniósłszy relikwje z cerkwi św. Trójcy, płomiennemi słowy wzywał lud do walki. Olbrzymie tłumy ruszyły na ratunek wojsku i z ogromnym krzykiem zaatakowały usiłujących wedrzeć się do miasta napastników. Rozszalał bój wściekły. „Wielka ćma” strzelców moskiewskich przypuściła gwałtowny ogień do śmiałków, co na rozwalone baszty się wdarli, a coraz większe masy ludu uzbrojonego, zagradzając wejście do miasta, parły przed sobą walczące z wściekłością szeregi Pola-

ków, Węgrów i Niemców. Rażeni rzęsistym ogniem, opasani zewsząd ruchomym, ciągle rosnącym wałem ludzkim, żołnierze królewscy cofnęli się ku rozwalonym wieżom, z których bronili się strzelbą ręcznej broni. Wnet ogień armatni skierowali na nich Moskale, a gdy to nie pomogło, zaczęli łuczywem podpalać obie wieże i podkładać pod nie baryłki z prochem. Płomienie objęły drewniane części rumowiska. Ogień przeniknął wszędzie i zaczął dopiekać broniącym się żołnierzom.

A z obozu odzywały się przeciągle trąby i wzywały do odwrotu mężnych waleczników.

Wtedy dopiero zaczęto opuszczać ogarnięte płomieniem zwaliska.

Szturm, prowadzony bez ładu i składu, wywołany wyłącznie zapałem bojowym, nie czekających rozkazów żołnierzy, zakończył się klęską.

Na pięciuset ludzi liczono zabitych, co zostali w gruzach. Mnóstwo rannych opuściło szeregi. Więc wielki smutek zapanował w obozie. W nieudanym szturmie wypalił się zapał i natychmiast zniechęcenie ogarnęło umysły.

Tymczasem Moskale przystąpili do naprawy murów i raźno się uwijali, a armaty polskie nie przeszkadzały tej pracy. Król prochów oszczędzał. Aż do Rygi posłano po nowe transporty, a Batory myślał o podkopach. Twierdza triumfowała. Na drugi dzień po szturmie Moskale obwiesili na murach jakiegoś okazałego Węgrzyna, a w nocy wołali ku szańcom polskim:

— „Szto to za wasz król?! Ziela nie ma (proch zielem zowią), ani pieniędzy; pódźcie do nas, u nas ziela, dzieng i wszecho mnoho!"

A w obozie królewskim panował coraz większy smutek, bo co dnia wielu z tych, co brało udział w szturmie, a odniosło rany, przenosiło się do wieczności. Pomiędzy Węgrami a Polakami znowu wybuchły zatargi i zwady. Niepowodzenie zgasiło ochotę bojową, zasiało w sercach żal, goryczą przepełniło dusze. W takim stanie rzeczy nieufność zaczęła szerzyć się w wojsku i wzrastać z dnia na dzień. Podkopy szły opornie. Tu i owdzie natrafiano na skaliste przeszkody, uniemożliwiające rozpoczętą pracę. Po pewnym czasie brak żywności dawał się odczuwać w obozie, a chłody jesienne coraz bardziej dokuczały szeregom. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem upływał w zniechęceniu i smutku.

Dopiero w drugiej połowie października nadeszły prochy i rozniosła się wieść, że król o nowym szturmie zamyśla. Zaczęto przygotowywać drabiny, sznury, łuczywa i materjały palne. Ożywiły się umysły. Artylerja polska zwaliła znowu jedną wieżę, a piechota węgierska usadowiła się tuż pod samą twierdzą i u fundamentów zaczęła tłuc mur oskardami. Nie zdołała tej robocie przeszkodzić Moskwa „ani strzelbą, ani warem". Mężni Węgrzy, podkopawszy się pod mury, zamierzali uczynić wielki wyłom, a następnie wpaść do wnętrza fortecy i raz jeszcze w walce pierś o pierś z Moskalami, kusić się o zwycięstwo. Nadaremne były wszelkie wysiłki załogi, aby ich z pod murów wykurzyć. Pełni animuszu żołnierze nie tylko nie pozwolili się wyprzeć, ale jeszcze dali się we znaki Moskalom, bo gdy który zbyt śmiało wychylił się z za murów, „oni na długich powroziech wędy z kilkiem haków ostrych" rzucali na mury i nie bez skutku, bo niejednego Moskala ściągnęli w ten sposób na ziemię.

Lecz pogłoski o szturmie zacichały powoli. Tylko działa forteczne grzmiały nieustannie, a załoga moskiewska raz wraz czyniła wycieczki i trapiła niemi oblegające wojsko.

Psków trwał przed oczyma króla niezdobyty.

W obozie znowu podniosły się skargi i szemrania. Szczególniej burzyła się Litwa, a gdy nastały mrozy, zaczęła się odgrażać, że do domów odjedzie. Gniewał się Batory, nie chciał nowego szturmu ryzykować, długiem oblężeniem postanowił wyczerpać odporność Pskowian, kazał więc wojsku trwać na stanowiskach, ale że zaległego żołdu nie miał czem zapłacić, więc wiele znosić musiał.

W pierwszych dniach października zjawił się pod Pskowem wracający od cara wysłannik papieski, Possewin. Ale nie przywoził pomyślnych wiadomości. Car zaciął się w uporze.

Nadzieja na szybki pokój zgasła.

Wojsko było wzburzone.

W końcu października król zawezwał do siebie rotmistrzów.

— „Jestem tego zdania,—powiedział do nich,—że walecznemu i cnotliwemu mężowi przystoi raczej największe dolegliwości znosić, niż na najmniejszą nawet skazę swej sławy przyzwolić”...

Przedstawiał wstyd i hańbę, jakaby spadła na całe wojsko, gdyby zniweczyło dwa lata świetnych zwycięstw i odstąpiło od twierdzy, której siły i zasoby muszą się wkońcu wyczerpać.

— „A jeśli towarzysze sarkać nie przestaną,—mówił,—rotmistrz jest głową, jemu każdy towarzysz winien posłuszeństwo i on go do poczuwania się tem, co służba wojskowa każe, kijem zmusić może. Aby -

więc w obowiązku byli utrzymani, daję waszmościom oną moc nad nimi".

Zapewniał rotmistrzów, że niebawem przyjdzie z Wilna transport ciepłych ubrań i kożuchów, uspokajał, że żołd zaległy będzie wypłacony, bo przecież cała Rzeczpospolita odpowiada za to.

Ale dla zbiedzonego żołnierstwa większą wymowę, niż słowa królewskie, miały coraz dokuczliwsze mrozy i coraz większa nędza, szerząca się w obozie. Nie tylko pachołkowie, ale nawet towarzysze ukazywali rotmistrzom swe puste namioty i wozy, skarżyli się na głód i mróz, wyrzekali na brak ciepłej odzieży. Doszło do tego, że nawet rotmistrze zaczęli sarkać, schodzić się, zmawiać i myśleć o rokoszu. Towarzysze, dotknięci wzmianką króla o kijach, szemrali głośno. Pomruk niezadowolenia wzmagał się, rósł i z siłą coraz większą uderzał o ściany namiotu królewskiego.

— „Gniewa się król barzo, — pisał ksiądz Piotrowski, — by mógł, kazałby je, zwlekłszy z koszul, chłostając, z obozu wygnać!"...

Burzyło się wojsko, złorzeczyło królowi, szydziło z Zamoyskiego, powiadając, że dobry jest do gadania na posiedzeniach sejmu, bo gadać się w akademjach włoskich wyuczył, ale na wojnie się nie zna i z Moskwą wojować nie umie. Ponieważ krążyła po obozie wieść, że król wzywany jest do kraju, mówiono zaraz, że i hetman odjedzie, a wojsko zostawi swemu losowi pod Pskowem. Odgrażało się rycerstwo.

— „Nie da król pieniędzy, do Wilna pojedziem za nim!" — wołali rozżaleni żołnierze.

A tymczasem pieniądze napływały tak skąpo, że Batory zaledwie część żołdu mógł wypłacić i to tylko najemnym rotom niemieckim i węgierskim. Ogromnie

też użalał się na poborców, zbierających podatki, powiadając, że oni to i wojsko i Rzeczpospolitą gubią.

W pierwszych dniach listopada piechota z szańców ustąpiła w nocy do obozu, by w nim szukać schronienia od mrozów. Gdy nazajutrz zrana dostrzegli to Moskale, Psków zatrząsł się od radości. Triumfalnie zabrzmiały w twierdzy trąby i kotły, a armaty grzmiały na wiwat.

A król rozprawiał z rotmistrzami, słuchał ich żalów i zachęcał do wytrwałości. Postanowił wojsko rozmieścić w przyległych wsiach i miasteczkach, gdzie obiecywał rycerstwu zabezpieczenie od mrozów i lepszą żywność, sam zaś wybierał się do kraju, bo wzywali go senatorowie, pisząc, że bez niego niewiele mogą dokazać. Ale wojsko koniecznie chciał pod Pskowem utrzymać.

— „Raczej nam iść za tem, — mówił, — co honor, niż co pożytek każe, a z dwojga złego wybrać mniejsze. Kiedy tu zostaniecie, już niejedno Psków ściśniecie, ale wszytką inflancką ziemię, bo to są wrota jej. Będą tam Moskwa na zamkach musieli zdychać i sami bez krwie i wojowania przyjdą, da-li Bóg, w ręce nasze, abo sam kniaź da potem bitwę, a już na koniec ta sprawa na rozsądek samego Boga przyjdzie, w którym my nie wątpimy, że nas wspomoże, jako po te czasy czynił... Synowca swego zostawię też przy was, który, przyjdzie-li do tego, gardło swe przy was położy. A i sam takem umyślił, mieszkać tu z wami, ale mam pisanie z Polski od przedniejszych senatorów, od księdza arcybiskupa, od księdza krakowskiego, od wojewody sandomirskiego, że beze mnie trudno się tam co sprawić może"...

Nie bez wielkiego żalu mówił Batory o rozstaniu się z wojskiem w tak trudnych okolicznościach.

— „Sam Bóg świadek,—zapewniał,— że wolałbym być z nieprzyjacielem w najniebezpieczniejszem starciu, niżeli doma na sejmie naszym"...

Wreszcie gorąco wzywał rotmistrzów, by sami nie upadali na duchu i oddziałali na rycerstwo.

— „Przeto każdy tę potrzebę teraźniejszą cierpliwie noś, do tego się gotuj, jakoby tu zostać i towarzysze swoje namawiaj i perswaduj im, żeby zostali!"...

Przemówienie króla nie przebrzmiało tym razem bez echa. Kilku panów dla uspokojenia wojska obiecało rozdać posiadane w obozie pieniądze, srebra, kosztowności. Przykład ten oddziałał na rotmistrzów. Pan Przyjemski rzekł:

— „Mam srebra trochę, łańcuch z kilkaset czerwonych złotych, to wszystko dam między towarzysze, aby się nie rozjeżdżali"...

Za Przyjemskim wypowiedzieli się tak samo rotmistrze Bonar, Niszczycki, Zebrzydowski, a inni młodsi, nie mając nic do rozdania, obiecywali namawiać najusilniej wojsko do trwania na stanowiskach, ale nie ręczyli za skutek, gdyż wzburzenie było wielkie. Skończyła się narada. „Rozeszli się rotmistrze, każdy, drapiąc się w głowę, a dumając, co z towarzyszami czynić". Zdołali przecież ukoić rozżalonych żołnierzy, zwłaszcza, gdy Batory przyrzekł, że na dobrach stołowych ubezpieczy wypłatę zaległego żołdu.

Śród tak ciężkich okoliczności pośrednictwo Possewina było na rękę królowi. Jakoż jezuita pisał do cara, nakłaniał go do ustępstw, straszył go nieugiętością króla i sprawił to, że Iwan wyraził zgodę na wszczęcie przerwanych układów. Dnia 15 listopada

zjawił się w obozie goniec carski z prośbą o wydanie glejtu dla posłów moskiewskich, którzy, stosownie do starań Possewina, mieli wznowić układy.

Upadek ducha w wojsku królewskiem był tak wielki, że przybycie owego gońca, jako zwiastuna pokoju, z największą radością powitano w obozie.

Tymczasem i w oblężonym Pskowie działo się coraz gorzej. W końcu listopada straże pojmały Moskala, który opuścił twierdzę i z listem Szujskiego usiłował przedrzeć się do cara. Z listu niewiele można było wywnioskować, ale pochwycony Moskal, wzięty na męki, zeznał, iż miał zlecenie powiedzieć carowi, że w mieście sroży się głód i nędza, że czerń się burzy, że konieczny jest rychły ratunek.

Wieści o tych zeznaniach szybko rozniosły się po obozie i utwierdziły rycerstwo w postanowieniu, aby trwać pod Pskowem.

Dnia 30 listopada wyznaczeni do układów z Moskalami komisarze polscy w osobach wojewody Janusza Zbaraskiego, marszałka nadwornego litewskiego Albrechta Radziwiłła i pisarza litewskiego Michała Haraburdy wyjechali do Jamu Zapolskiego, by tam spotkać się z posłami cara.

Dnia 1 grudnia (1581 r.) król wraz z hetmanami litewskimi i ich pocztami opuścił obóz.

Pod Pskowem z uszczuplonem wojskiem pozostał Zamoyski.

IX

POŚREDNICTWO RZYMU I POKÓJ Z MOSKWĄ.

Już podczas wyprawy wielkołuckiej Iwan Groźny, dotąd niesłychanie pewny siebie i zarozumiały, a przekonany o swej przewadze nad Rzecząpospolitą, miotał się w bezsilnym gniewie i szukał sposobów, mogących powstrzymać zwycięski pochód strasznego przeciwnika. Jego zamki jeden za drugim przechodziły w ręce wojsk nieprzyjacielskich, a na bój generalny w otwartem polu car nie śmiał się ważyć. Iwan zrozumiał, że własnemi siłami nie powstrzyma Batorego. Więc zaczął szukać sojuszników. Naturalnego sprzymierzeńca w stosunku do Polski widział w cesarzu, ale następca Maksymiljana, Rudolf II, człowiek chwiejny i niezdecydowany, acz nienawistnie usposobiony był dla Polski i hołdował obłudnej polityce swych poprzedników, nie chciał otwartej wojny z Rzecząpospolitą. Pomimo to, car postanowił prosić Rudolfa o pomoc. Wszakże nie poprzestał na tem. Szukając siły, któraby go zasłoniła przed nieugiętym przeciwnikiem, wpadł na pomysł niezwykły. Rozumiejąc, że na katolicką Polskę może wywrzeć największy wpływ głowa kościoła ka-

tolickiego, umyślił wciągnąć do gry politycznej papieża i powagą Rzymu zasłonić się przed ciosami Batorego.

Chytry car wiedział, że papieże zdawna myśleli o rozszerzeniu swej władzy na państwo moskiewskie, a rozumiał, że samo zwrócenie się do Rzymu obudzi pogrzebane nadzieje, wznieci chęć nawiązania przerwanych z Moskwą stosunków i skłoni papieża do pośrednictwa. Iwan, znając dążenia Kościoła katolickiego, pominął sprawy religijne, lecz chytrze wysunął na plan pierwszy sprawę wojny z Turcją, ciemiężycielką chrześcijaństwa i we wrześniu 1580 roku wysłał z odpowiedniemi listami do Wiednia i Rzymu gońca Szewrygina.

Cesarz, lękający się Turcji, a unikający zbrojnego zatargu, dał gońcowi odpowiedź wymijającą, a później posłów polskich upewniał, że w żadne układy z Moskwą wdawać się nie myśli.

Ale w Rzymie zjawienie się wysłańca carskiego sprawiło duże wrażenie, gdyż od pół wieku nikt z Moskwy nie przyjeżdżał w oficjalnej misji do papieża. Jak łatwo było przewidzieć, na dworze papieskim powstała zaraz myśl wykorzystania sytuacji dla przywrócenia jedności Kościoła.

Grzegorz XIII łaskawie przyjął gońca, lecz list carski wywołał na dworze papieskim zdziwienie.

O sprawach religijnych, o unji z Kościołem katolickim, jak tego spodziewano się w Rzymie, słowem car nie wspominał. Olbrzymi list był stekiem oszczerstw i potwarzy, miotanych na Batorego. Iwan szeroko się rozwodził nad swą przyjaźnią z cesarzem Maksymiljanem oraz nad projektem utworzenia przeciw Turcji wielkiego przymierza monarchów chrześci-

jańskich. Chciał w swoim czasie, by na tronie polskim zasiadł syn cesarza, a to zwiększyło tylko nienawiść, jaką ku niemu pałała Turcja. Koronę polską otrzymał służalec sułtana, Batory. On to na rozkaz Porty wzniecił na ziemiach chrześcijańskich pożogę i nie chce złożyć broni. Więc Iwan udaje się do papieża z prośbą, by wpływem swym rozerwał sojusz króla Stefana z sułtanem, a do Moskwy wysłał posłów dla naradzenia się, w jaki sposób doprowadzić do skutku wielkie przymierze przeciw niewiernym.

Cały list był zbyt przejrzysty, aby w Rzymie nie poznano się na nim. Gorliwy katolik Batory umiał rozwiać już niechęć, jaką pierwotnie żywił ku niemu dwór papieski. W pochodzie na Wielkie Łuki otrzymał od papieża czapkę i miecz poświęcany z życzeniami pomyślnego zakończenia wyprawy. Grzegorz XIII dobrze wiedział, co sądzić o królu Stefanie, ale nadzieja, że pomyślne pośrednictwo car gotów będzie opłacić oddaniem swych sił na wojnę z Turcją, a może i uznaniem władzy zwierzchniczej papieża, skłoniła Grzegorza XIII, że zgodził się pośredniczyć pomiędzy wojującemi stronami.

Odpowiadając na list carski, pisał papież, że za zgodą stron obu gotów jest przez swego wysłańca pomagać sprawie pokoju, wszakże prostował rzucane na Batorego oszczerstwa i upewniał cara, że między Stefanem a Turcją nie tylko niema sojuszu, ale że o taki sojusz nie godzi się nawet podejrzewać króla. I projektem przymierza przeciw Turcji nie był papież olśniony, a przynajmniej nie okazywał swego zadowolenia, bo aczkolwiek walka z sułtanem była w Rzymie wielce popularna, pisał, że o tem przymierzu pora będzie mówić dopiero po zawieszeniu kroków wojen-

nych. Ale, dodawał, przymierze wtedy tylko może liczyć na trwałość, jeżeli je spaja wspólność wiary. Jest tylko jeden prawowity kościół i jeden jego zwierzchnik: papież. Niechże car dobrze zastanowi się nad tem, niech rozważy wielkie korzyści, jakie mogą dla niego wyniknąć z połączenia religji. A gdy się na krok taki zdecyduje, niechaj przyśle do Rzymu uroczyste poselstwo. Wtedy dopiero papież wyprawi do Moskwy swą legację i obdarzy cara łaską oraz wszystkiemi zaszczytami, jakich może zapragnąć, a jakiemi rozporządza stolica apostolska.

Ale chcąc nawiązać stosunki z carem, papież postanowił wysłać do Moskwy, po porozumieniu się z królem, księdza Antoniego Possewina [1]), członka zakonu jezusowego. Był to ksiądz uczony, wielce wymowny, używany niejednokrotnie do misyj dyplomatycznych, a odznaczający się niepospolitą zręcznością. Possewin jeździł dwukrotnie do Szwecji, bawił pewien czas w Polsce i na Litwie i umiał zjednać sobie życzliwość króla Stefana. Żarliwy apostoł katolicyzmu, dyplomata przebiegły, pokorny i zarazem ambitny, pozornie skłonny do ustępstw, ale w gruncie rzeczy uparty i wytrwały, a przytem bystry, energiczny, przedsiębiorczy, dawał rękojmię, że uczyni wszystko, by wojujące państwa skłonić do pokoju i za tę cenę zjednać cara dla widoków Rzymu.

Król Stefan, już po ukończeniu drugiej wyprawy, dowiedziawszy się, że car szuka w Rzymie pomocy, uprzedzał papieża za pośrednictwem nuncjusza o potwarzach jakiemi Iwan obrzuci go w swem piśmie.

---

[1]) Właściwe nazwisko: Possevino. Kroniki dawne i historycy polscy piszą go: Possewin.

Później zgodził się przysłać paszport dla Possewina, przyzwolił, by przez Polskę jechał do Moskwy, ale przestrzegał, że car jest wrogiem kościoła katolickiego, że wszelkie nadzieje pokładane w Iwanie są złudne, że dla religji katolickiej nic korzystnego z tej misji wyniknąć nie może.

Batory, zaufany w swój oręż, a pewny, że pośrednik papieski raczej na rzecz katolickiej Polski, niż schizmatyckiej Moskwy pracować będzie, zgodził się na propozycje Grzegorza XIII i przed trzecią wyprawą przyjął Possewina w Wilnie, a następnie razem z nim podróż w marszu na Psków odbywał. Pod koniec lipca Possewin pożegnał się z królem i wraz z dwoma towarzyszącymi mu księżmi, udał się do cara, przebywającego podówczas w Starycy nad Wołgą.

Przez całą drogę wysłańca papieskiego otaczała troskliwość carska. Iwan nakazał wszędzie okazywać Possewinowi czołobitność, ale jednocześnie usiłował go wciągnąć w pułapkę. Oto już w Smoleńsku arcybiskup miejscowy, powołując się na rozkaz carski, zaprosił Possewina do cerkwi. Ten zaproszenie przyjął. Ale czy świadomie był wprowadzony w błąd, czy też nastąpiło nieporozumienie z powodu nieznajomości języka, dość, że jezuita był pewien, że arcybiskup prosi go do siebie na obiad [1]. Więc w oznaczonym czasie stawił się na wskazane miejsce przed cerkwią. Mnóstwo ludu stało na placu, aby być świadkiem niezwykłego widowiska, jak wysłaniec papieski korzy się w cerkwi. Ale kosa trafiła na kamień. Gdy Possewin zbliżył się do cerkwi, arcybiskup, jako wyższy

---

[1]) Obiednia znaczy w języku rosyjskim msza, obied — obiad.

dostojnik duchowny, podał mu swą rękę do ucałowania. Possewin ani drgnął. Władyka pozostał z ręką zawieszoną w powietrzu. Nadaremnie namawiano księdza, by cześć okazał dostojnikowi kościoła. Odpowiedział zimno, że księdzu katolickiemu wysłanemu przez papieża, nie wypada tego uczynić. I mimo nalegań nawet do cerkwi wejść nie chciał.

W Starycy Iwan wystąpił z całym blaskiem, śród otoczenia, uderzającego bogactwem barwnych szat i strojów. Wszystko lśniło dokoła od złota i drogich kamieni. Przepych wschodu roztoczył się przed oczyma jezuity. Uroczysta cisza, jaskrawość kolorów, tłumy nabożnie wpatrzonych w cara dworzan potęgowały wrażenie świetności. Gdy Possewin wymienił imię Grzegorza XIII, Iwan Groźny powstał, to samo uczynił carewicz, a otoczenie carskie kornie pochyliło głowy. Chwycony za serce jezuita oddał list i złożył podarunki papieża. Car wdzięcznie dary przyjął, a następnie zaprosił posła na wspaniałą ucztę. Wszyscy mu okazywali wielki szacunek, wszyscy za przykładem Iwana starali się olśnić go potęgą i nabożnością. Car żegnał się nieustannie i oczy wznosił ku niebu. Dworzanie carscy naśladowali swego pana.

Possewin na którym wszystko, co widział, uczyniło wielkie wrażenie, pragnął rozmówić się zaraz z Iwanem, ale skierowany został do bojarów, którym car polecił wybadać zamiary wysłańca papieskiego i skłonić go do pracy na rzecz szybkiego, a możliwie najkorzystniejszego dla Moskwy pokoju.

Ten pokój, i to pokój, na dogodnych warunkach, był jedynym powodem, dla którego Iwan zwracał się do Rzymu. Ale powód, dla którego przyjechał Possewin, był inny. Dla cara pokój był celem, dla Posse-

wina — środkiem, wiodącym do celu. Nadaremnie przecież mądry jezuita pragnął na sprawy religijne skierować rozmowę i mówić o połączeniu kościołów. Bojarowie mieli ścisłą instrukcję. Na wszelkie wywody car kazał im odpowiadać, że unikał zawsze rozlewu krwi chrześcijańskiej i zawsze pragnął żyć w przyjaźni z papieżem. Ponadto mówili bojarowie, że ta krew przelewać się zaczęła, odkąd wróg rodzaju ludzkiego wprowadził na Litwę naukę Lutra. Car schizmatyk występował przeciw herezji, sądząc, że w ten sposób zjedna księdzą katolickiego.

Widział Possewin, że do celu zbliżać się musi powolnemi krokami. Więc usiłował choćby drobne ustępstwa uzyskać na rzecz religji katolickiej. Ale i to mu się nie udało. Nie chciał bowiem Iwan zezwolić nawet na wznoszenie w swem państwie kościołów katolickich, twierdząc, że i przedtem nigdy tego nie czyniono. Natomiast wysuwał przez bojarów sprawę przymierza przeciw Turcji, gdyż dopiero po zawarciu pokoju z Polską przymierze to stawało się sprawą aktualną. O sprawach religijnych obiecywał mówić później, wtedy mianowicie, gdy Possewin powróci od króla. Nie odmawiał car dysputy, pozwalał nawet wiele się domyślać, byle tylko poseł papieski spełnił swe zadanie.

A wiele miał Iwan powodów, by śpieszyć się z ukończeniem wojny.

Właśnie w czasie, kiedy w Starycy bawił Possewin, lotne oddziały Krzysztofa Radziwiłła i Filona Kmity, pustosząc kraje moskiewskie wzdłuż Wołgi, zapuściły się aż pod samą Starycę i w jej okolicach roznieciły straszliwą pożogę. Sam car struchlały patrzał z okien swego zamku na szalejące dokoła morze płomieni i szykował się do ucieczki.

I rzeczywiście był w niebezpieczeństwie, bo nieustraszony Kmita chciał na Starycę uderzyć i samego cara porwać do niewoli. Radziwiłł, mając przesadne wyobrażenie o zgromadzonych przy Iwanie siłach, powstrzymał Kmitę — i wojska polskie nie dotarły do samej Starycy.

Ale wrażenie śmiałego napadu było ogromne. Iwan dosyć miał nieszczęśliwej wojny. Czynił więc wielkie wysiłki, by wyzyskać pośrednictwo papieskie i, nie wiążąc się niczem, uzyskać od Batorego korzystne warunki.

Jakoż dopiął tego, że wysłannik papieski, nic nie uzyskawszy dla Rzymu, wyjechał do obozu pod Pskowem i zawiózł królowi warunki carskie, w gruncie rzeczy dalekie od tych, które Iwan ofiarować był gotów.

Więc i śród Polaków nie zyskał Possewin zaufania.

Zarzucano mu, że działa nieszczerze, gorszono się, że „moskiewskiego” pod niebo wynosi, mówiąc, że nie dostrzegł w nim takiego barbarzyństwa, jak ludzie opowiadają, że przeciwnie, w otoczeniu cara panuje większa bojaźń Boga, niż w obozie polskim.

Oburzało się rycerstwo, słysząc taką opinję.

— „Stąd mu się podoba kniaź, — pisał ksiądz Piotrowski, — że co słowo, to się przeżegna, a obrazków koło niego pełno. Wie zły duch, jak już i jezuitom ufać!... Strzegł Zygmunt I, aby poseł papieski do Moskwy nie jeździł!”...

A kanclerz Zamoyski, mając podejrzenie, że Possewin nie Polsce, lecz Moskwie sprzyja, rzekł raz w zaufaniu do księdza Piotrowskiego:

— „Nie widziałem wszeteczniejszego chłopa nadeń. Chciał sekretá królewskie wiedzieć, aby mu powiadał,

na czemby chciał król w tem jednaniu od moskiewskiego przestać. Też chciał w radzie przy królu siadać, kiedy o instrukcji była mowa do Zapola"...

Widocznie Possewin nie tracił nadziei, że po skończeniu układów, skłoni do ustępstw Iwana, bo Zamoyski dodawał:

— „Przysiągłby, że moskiewski nań łaskaw, a iż k'woli jemu ochrzci się na papieską wiarę. Ano, niech jeno będzie po tych traktaciech, dawszy mu kijem wyżenie go od siebie".

I kanclerz gniewał się ogromnie na tych, co oblegali Possewina i prosili, by pokój prędzej czynił, bo w ten sposób przydawali zbyt wiele wagi misji jezuity, a jednocześnie ujawniali własną swą słabość.

— „Jach im mówił—powtarzał mądry kanclerz,—że to nieroztropnie uczynili, bo choćbyśmy radzi pokój uczynili wszyscy, przecie, nie pokazując tego, ręką grozić mamy!"...

I ostrzegał komisarzy, by mieli się na baczności. Jakoż w Zapolskim Jamie w czasie układów z Moskalami niejednokrotnie dochodziło do nieporozumień pomiędzy Possewinem a komisarzami. W ten sposób wysłaniec papieski, podjąwszy się niewdzięcznej roli pośrednika, nie zadowalał Moskali, narażał się Polakom.

Tymczasem położenie wojsk polskich pod Pskowem pogarszało się z dnia na dzień. Coraz straszniejsze mrozy i coraz większy głód dokuczały żołnierzom. Jedynie tylko żelazna wola Zamoyskiego trzymała jeszcze w ryzach wojsko i niczem nie dała się złamać. W najstraszliwszych warunkach, pomimo nędzy, głodu i ciągłych wycieczek oblężonej załogi, hetman trwał niewzruszony na stanowisku, świecił rycerstwu przy-

kładem i czekał końca układów. Wreszcie, straciwszy nadzieję, by udało mu się dłużej wytrzymać pod Pskowem, wysłał do układających się z Moskalami komisarzy Stanisława Żółkiewskiego i żądał, by kończyli prędzej, bo zrozpaczeni żołnierze, skazani na męki głodu i mrozów, gotowi są w rozpaczy odbiec obleganej twierdzy. Jakoż istotnie w obozie było mnóstwo chorych, a śmierć codziennie zbierała obfite żniwo. Cudów dokazywał Zamoyski, że jeszcze kilka tygodni po odjeździe króla zdołał wytrwać pod Pskowem z nieopłaconem, zgłodniałem, ginącem od mrozów wojskiem, że potrafił w takiem położeniu odpierać wycieczki i utrzymywać dyscyplinę. Ale naciągnięta struna cierpliwości mogła lada chwila pęknąć.

Zrozumieli komisarze, jaką klęską dla układów byłoby odstąpienie wojsk polskich od Pskowa i postanowili kończyć. Janusz Zbaraski, otrzymawszy rozpaczliwe żądanie kanclerza, zdobył się na krok heroiczny. Oto wyzywająco oświadczył posłom moskiewskim, by natychmiast podali ostateczne warunki, bo odebrał właśnie od króla rozkaz natychmiastowego przerwania układów.

To nieoczekiwane żądanie sprawiło na Moskalach wrażenie piorunujące. Przestraszyli się posłowie carscy i odkryli swe karty.

W ten sposób dnia 15 stycznia 1582 roku stanął między Polską a Moskwą rozejm dziesięcioletni, zwany pokojem w Zapolskim Jamie, lub poprostu pokojem zapolskim. Na mocy zawartego układu car zrzekł się całych Inflant i ziemi połockiej z miastem Połockiem. Nadto przy Polsce pozostały Wieliż, Jezierzyszcze, Uświata. W ostatniej chwili omal nie doszło do zerwania układów, a to z powodu dwu punktów spor-

nych, przy których obie strony nie chciały słyszeć o ustępstwach. Polacy i Possewin odmawiali Iwanowi tytułu cara. Possewin twierdził, że jeśli chodzi o tytuł tatarski, do którego Iwan mógłby sobie rościć prawo, jako zdobywca Astrachania i Kazania, to nie wypada monarsze chrześcijańskiemu używać tytułów bisurmańskich. Jeśli zaś car ma oznaczać cesarza, to ten tytuł, dowodził jezuita, jedynie przez papieża może być nadany. Moskale upierali się przy swojem, Polacy i Possewin przy swojem. Drugą kwestją sporną była redakcja tego punktu, który dotyczył Inflant. Posłowie carscy chcieli napisać, że car ustępuje Rzeczypospolitej dziedzictwo swe, Inflanty. Polacy, widząc w tem podstęp, domagali się, by w traktacie powiedziano poprostu, że wielki kniaź moskiewski odstępuje Polsce w Inflantach te miasta, które są jeszcze w jego posiadaniu.

Doszło do kłótni tak gorącej, że, według historyków rosyjskich, układny jezuita, stojący już wyraźnie po stronie polskiej, stracił panowanie nad sobą, uniósł się okropnym gniewem i, zwracając się do posłów moskiewskich, zawołał:

— Wyście tu kraść przyszli, lecz nie poselstwo sprawować!...

I w największem uniesieniu wyrwał z rąk posła carskiego, Alfierjewa, traktat pokojowy, rzucił go o ziemię, a drugiego posła, kniazia Jeleckiego, porwał za kołnierz i won z izby wynosić mu się kazał.

Po tej scenie oświadczono Moskalóm, że nic z układów nie będzie.

Wtedy dopiero opamiętali się posłowie moskiewscy i zgodzili się na proponowaną przez Polaków w sprawie Inflant redakcję. A sprawę tytułu rozstrzy-

gnięto ostatecznie w ten sposób, że w dokumencie, wystawionym i podpisanym przez posłów moskiewskich, Iwan nazwany został carem, a w dokumencie, danym Moskalom przez Polaków, nazwano Iwana wielkim księciem moskiewskim i panem wszystkiej Rusi.

Wkrótce po podpisaniu traktatu Possewin udał się do Moskwy. Przyjęto go w stolicy carskiej z wielkiemi zaszczytami, okazywano, jak i przedtem ogromną uprzejmość. Ale Iwan nie kwapił się z dotrzymaniem obietnic. Dwór carski pogrążony był w żałobie. Krwawy tyran zamordował przed niedawnym czasem swego syna, następcę tronu. Sam był przygnębiony, ryczał głośno z rozpaczy, a może tylko rozpacz udawał, jednocześnie bowiem grał znowu komedję zrzeczenia się tronu.

Possewin, mając upoważnienie króla, oświadczył carowi, że Stefan pragnie z nim pokój utrzymać, a proponuje, by obaj wspólnemi siłami uderzyli na chana tatarskiego. Iwan, który tak niedawno pisał do papieża o sojuszu monarchów chrześcijańskich przeciw niewiernym, oświadczył, że posłowie jego zawarli pokój z Tatarami.

— Nie możemy zresztą, — odpowiedział, — wysyłać wojsk przeciw chanowi, bo nasi ludzie wyczerpali się w wojnie z królem Stefanem.

Na żądanie, by przynajmniej wyprawił posłów do monarchów chrześcijańskich celem zawarcia sojuszu przeciw Turcji, odparł, że już swoje zrobił. Niechże zkolei monarchowie chrześcijańscy porozumieją się z sobą i wszyscy razem wyślą do Moskwy poselstwo.

Zawiedziony Possewin domagał się przyobiecanej rozmowy o religji.

Na to car rzekł, że teraz, po zawarciu pokoju, ustaliła się zgoda w chrześcijaństwie, poco tedy mówić o religji?!

— Każdy z nas będzie swoją wiarę chwalił. Zacznie się spór. Obawiamy się, by z tego powodu nie doszło do nienawiści.

Niezrażony taką odpowiedzią, Possewin koniecznie domagał się przyobiecanej w swoim czasie dysputy. Car powtarzał, że dojdzie do kłótni, gniewu, a nawet do wymysłów. Ksiądz utrzymywał, że to być nie może. Iwan zgodził się wreszcie wszcząć dysputę religijną, ale nie na cztery oczy, jak się tego domagał wysłaniec papieski, lecz w obecności znaczniejszych dworzan.

Wykształcony Possewin zaczął wykład, uczenie wywodząc, że religja rzymska i grecka jest właściwie jedną i tą samą religją, że różnice powstały jedynie skutkiem mylnego rozumienia ksiąg ojców greckich. Trzeba tedy, by Iwan poznał błędy, a wtedy sam uzna jedność kościoła.

Ale z carem trudna była dyskusja.

Zamiast odpowiedzi na mądre i przekonywające wywody, zapytał:

— A czemuż to księża katoliccy golą brody, gdy pismo święte tego nie nakazuje?

Nadaremnie Possewin tłumaczył, że nie wszyscy księża tak czynią, że ten fakt żadnego nie ma znaczenia.

Car kręcił powątpiewająco głową, poczem dodał, że goniec, wysłany do Rzymu, powiadał mu, jako papież ma na pantoflach wyszyty krzyż, a to jest pohańbienie świętego znaku, bo krzyża niżej pasa nie godzi się umieszczać. Dalej zarzucał papieżowi, że nosić się każe na tronie, co znowu jest oznaką pychy.

— Apostołowie święci,—mówił gniewnie car,—byli pokorni, a święty Piotr chodził boso.

Wywiązała się długa dyskusja.

Cytował Possewin pismo święte i car z pisma świętego czerpał argumenty. Possewin dowodził, że wiele się czyni ku uczczeniu papieża, jako następcy św. Piotra i namiestnika Chrystusa. Car twierdził ciągle, że świeccy panujący mogą od świeckich wymagać wielkiej czci dla siebie, ale ojcowie kościoła powinni być pokorni. Za przykład stawiał swego metropolitę.

— A papież, który się wynosi, który nie żyje według wskazań nauki Chrystusa, — powiedział, unosząc się coraz większym gniewem,—jest nie pasterzem, lecz wilkiem!...

Uniósł się zkolei Possewin i zawołał:

— Jeśli papież jest wilkiem, czemuż to udawałeś się o pomoc do niego?!..

Na te słowa car zerwał się z tronu i groźnie wstrząsnął swym historycznym, w żelazo okutym kijem. Struchleli obecni. Zdawało się, że Iwan rzuci się na posła i przebije go swym strasznym kosturem. Lecz tyran grał tylko komedję. Chciał nastraszyć Possewina. Ale widząc, że ksiądz śmiało spogląda mu w oczy, udobruchał się zaraz i zaczął dowodzić, że wilkiem nazwał tylko takiego papieża, który nie żyje według nauki Chrystusa, ale bynajmniej nie miał na myśli papieża, który do Moskwy przysłał swego posła. I triumfująco oświadczył, że uprzedzał przecie, iż lepiej o religji nie mówić, gdyż dojdzie do kłótni.

Possewin widział, że nie przekona cara. Nie próbował więc szczęścia w ponowieniu dysputy. Natomiast Iwan, uważając, że z pierwszego sporu wyszedł zwycięsko, chciał zkolei nakłonić Possewina do uzna-

nia religji greckiej. Oczywiście, daremne to były wysiłki. Nic nie wskórał Iwan, ale i misja Possewina zawiodła wszelkie nadzieje. Żadnych korzyści nie odniósł z niej kościół katolicki, nie zyskała nic droga Rzymowi idea sojuszu państw chrześcijańskich przeciw Turcji. To jedynie uzyskał Possewin, że Iwan zgodził się wysłać do papieża już nie gońca, lecz posła, a więc podtrzymać nawiązane z Rzymem stosunki.

Stało się, jak przewidywał Batory.

Chytry car zyskał w Possewinie cennego pośrednika, zawarł przy jego pomocy pokój z Polską, a choć nie był to dla Moskwy pokój zaszczytny, to przecież wobec wielkich strat i klęsk w wojnie z Rzecząpospolitą, mógł Iwan obawiać się jeszcze gorszego wyniku.

Natomiast Polska dopięła celu.

Straszliwemu sąsiadowi „wydarła pierza", „strąciła barki", zraziła Moskwę, jak tego domagał się Zamoyski, od morza, odzyskała Inflanty i ziemię połocką, a prócz tego na długie lata zniechęciła drapieżne państwo do zaborczych napadów. Pośrednictwo Rzymu nie przyniosło Polsce korzyści, ale i nie zaszkodziło w układach z Moskalami. Wprawdzie król Stefan inaczej obiecywał sobie wojnę ukończyć: w stolicy cara chciał pokój dyktować carowi. Lecz straszliwe położenie wojsk królewskich pod Pskowem, brak środków materjalnych, coraz większa niechęć kraju do przedłużania wojny, wreszcie skargi i żale nieopłaconego wojska nie rokowały wielkiej nadziei, by nowa wyprawa otwarła królowi wrota moskiewskiej stolicy. Psków bronił się dzielnie. Oblężona załoga niepospolite wykazała męstwo. Zamoyski, którego nad wszelki podziw wyższemu hartowi, zawdzięczali Polacy możność zawarcia zwycięskiego pokoju, nie obiecywał sobie

wcześniej zdobycia Pskowa, niż w maju. A było wielką kwestją, czy do wiosny udałoby mu się utrzymać armję, ginącą od mrozów i głodu. I wielce było wątpliwem, czy w razie odwrotu z pod Pskowa przed zawarciem pokoju, car zgodziłby się na ustępstwa, jakich domagali się Polacy. Wprawdzie Batory wyruszył do kraju, by wojsku nieść pomoc i nowe zastępy do wojny przygotować, można było jednak wątpić, czy wobec pokojowego usposobienia szlachty, zdążyłby w porę wzmocnić i na nowo zorganizować swe siły.

Wielki wojownik i wielki statysta, chowając miecz zwycięski do pochwy, mógł przecież być dumnym, że, skłaniając społeczeństwo do ofiar a dobywając z niego najwyższą sumę energji, nie zawiódł nadziei narodu.

Nie skończył wojny, jak zamierzał ale doprowadził do zwycięstwa, o jakiem nie marzył naród, porywając się do walki. Śmiało też mógł pisać w instrukcji na sejmiki przed walnym sejmem 1582 roku, że wojna zakończyła się „z wielką czcią i sławą tego narodu, z wielkim pożytkiem Rzeczypospolitej”...

Wróciło się do Polski „państwo połockie, wielkie, szerokie, z grunty obfitemi i rzekami portowemi, które z ujmą niemałą i niebezpieczeństwem w. ks. litewskiego było odeszło”. Powiększył się „powiat wieliski nad Dźwiną rzeką, na mil więcej, niż dwadzieścia przestronny”. A co najważniejsza! „ziemia inflancka wyjęła się z ręku nieprzyjacielowi, która, jaka jest, dobrze o tem wiecie, waszmoście, i słychacie, jakie miasta w niej, jakie zamki, jakie grunty, jakie porty, jako wiele mogła inkomodować pożytkom waszych mościów, gdyby w ręku nieprzyjacielskiem była została i jako o nią dlatego lat kilka a dwadzieścia ustawiczna

była wojna z tym nieprzyjacielem. A toż już przyszła z łaski miłego Boga do ręku: przyczyniło się, jako słowy i bezpieczeństwa, tak i przestrzeństwa Rzeczypospolitej!"...

Zwycięski król w długiej a uciążliwej wojnie uczynił wszystko, co wola ludzka, wsparta niepospolitym rozumem, uczynić jest w stanie. Nie zdeptał cara, ale go upokorzył, ale rozwiał aureolę potęgi i niezwyciężoności, co nad głową carską błyszczała. Znakomitemi zwycięstwami podniósł w świecie zachwianą powagę Polski i imię swe okrył wiekopomną chwałą.

Cała Europa z podziwem spoglądała na Batorego.

Ale zwycięzca nie upajał się sławą i nie myślał spoczywać na laurach. W twórczej głowie wielkiego wojownika krystalizowały się olbrzymie plany, mające wstrząsnąć pokojem świata.

Wyjeżdżając do Polski, powiedział do swego otoczenia:

— Bóg chce cudowne rzeczy na mnie okazać ku podziwowi całego chrześcijaństwa.

O ziszczeniu swych kolosalnych zamiarów zaczął przemyśliwać Batory.

X.

REFORMY.

Pochłonięty wielką polityką zewnętrzną i olbrzymiemi planami wojen, Batory nie odwracał oczu od stanu wewnętrznego kraju. Widząc dużo złego w urządzeniach państwowych, wiele czasu i uwagi poświęcał naprawie Rzeczypospolitej. Król wojownik z natury rzeczy zajął się najpierw siłą zbrojną, która w całej Koronie, gdy przybył do Polski, wynosiła zaledwie 2.600 żołnierza. Z taką siłą niewiele można było dokonać, a Rzeczypospolitej zewsząd groziły niebezpieczeństwa. Cesarz Maksymiljan zapowiadał, że praw swych do korony mieczem dochodzić będzie, Tatarzy rabowali Podole i Wołyń, car Iwan wznosił swój miecz nad Inflantami, a buntowniczy Gdańsk tysiące zaciężnych żołnierzy sprowadzał z różnych stron świata, przygotowując się do walki z nienawistnym mu królem.

Dopiero w świetle tych faktów jaśnieje niezłomna energja Batorego, który, mimo ciągłych przeszkód i braku pieniędzy w pustym skarbie, umiał nie tylko obronić powagę Rzeczypospolitej, nie tylko uzbroić ją przeciw nieprzyjaciołom, ale iść w głąb carstwa i najniebezpieczniejszemu z wrogów Polski cios stanowczy zadać.

Wprawdzie mógł król zwoływać pospolite ruszenie, ale wobec tego, że tej siły nie wolno było mu dzielić, ani rozporządzać nią poza granicami kraju tak jak tego wymagać mogła potrzeba, wolał zwolnić szlachtę od wojennych posług wzamian za przyzwolenie niezbędnych dla prowadzenia wojny podatków.

Tylko z wojskiem regularnem, dobrze wyćwiczonem, a nieskrępowanem przepisami, odbierającemi swobodę ruchów, mógł znakomity wódz kusić się o zwycięstwa i liczyć na powodzenie.

W Polsce najłatwiej było o jazdę, najtrudniej o piechotę, bo rycerstwo uważało, że ten rodzaj broni ujmę przynosi szlachcicowi. Więc z konieczności musiał król sprowadzać roty najemne. Jakoż obok Węgrów, których dzielność, poświęcenie i męstwo przyczyniły się ogromnie do zwycięstwa pod Lubieszowem, a później do powodzenia wypraw moskiewskich[1]), sprowadzał Niemców i Szkotów. Ale czynił starania, by Polacy wytworzyli własną piechotę, a jak już wiadomo, polecił tworzyć hufce piesze z chłopów w dobrach królewskich. Okazało się wkrótce, że i chłop polski

---

[1]) Wojownicy polscy oburzali się na Batorego za forytowanie Węgrów, których król wielce sobie cenił. Ale też było to wojsko, na którem najbardziej mógł polegać. Cierpliwe na głód i trudy, nad podziw wytrzymałe, biło się z nadzwyczajnem męstwem, a chętnie podejmowało się najtrudniejszych zadań. Skore do zwad i bójek, nieraz wywoływało zatargi z Polakami i dawało się we znaki spokojnej ludności. W pamięci Polaków długo przechowało się wspomnienie Gaspara Bekiesza, niegdyś w Siedmiogrodzie najzawziętszego z nieprzyjaciół króla i jego współzawodnika w zabiegach o mitrę książęcą, później wielce oddanego swemu zwycięzcy. Gaspar Bekiesz umarł od trudów wojennych i wielką czcią pochowany został w Wilnie. Usypano mu kopiec na wzgórzu, przezwanem górą Bekieszową.

jest dzielnym wojownikiem, a nobilitacja kilku mieszczan i chłopów, co męstwem odznaczyli się w bojach, wymownie świadczyła, jak dzielnemi siłami wojskowemi mogła rozporządzać Polska, nie uciekając się do pomocy najemnych rot cudzoziemskich.

Tworząc piechotę łanową, pragnął Batory rozwiać przesąd, panujący śród rycerstwa polskiego i szlachtę również skłonić do służby w piechocie. Jakoż Jan Zamoyski na wyprawę w roku 1581 wyprowadził oddział 600 piechurów, złożony z drobnej szlachty. Lecz przykład kanclerza nie znalazł naśladowców: służbę w piechocie w dalszym ciągu uważało rycerstwo za ubliżenie swemu dostojeństwu.

Sławną w Europie jazdę polską przekształcał Batory na sposób węgierski, wprowadzając ulepszenia w uzbrojeniu jeźdźców i, zmieniając olbrzymie kulbaki tureckie na siodła mniejsze i lżejsze. Wiele uwagi poświęcał artylerji, którą zajmował się jeszcze w Siedmiogrodzie, a zarazem podniósł sztukę inżynierską, sprowadzając z Włoch biegłych inżynierów.

W wojsku utrzymywał żelazną dyscyplinę. Artykuły hetmańskie, obowiązujące całą armję, budziły sarkanie mężnej lecz niesfornej szlachty. Powiadano o nich, że pisane są krwią, gdyż za ważniejsze przewinienia hojnie szafowały śmiercią A hetman Zamoyski, srogi wykonawca tych artykułów, nawet króla przewyższał surowością. Przestępców bez litości stawiał pod pręgierz lub skutych łańcuchami, woził za wojskiem. Nieraz za uchybienie grzmotnął winnego buławą, nie bacząc na szarżę i zasługi. Rotmistrza Pieniążka wlókł staj kilka za kołnierz przy swym koniu, by dać dowód, że za nieposłuszeństwo nikt się od kary nie wymknie. Zdarzały się i wyroki śmierci.

W obozie groźnie sterczała szubienica, rzucając postrach na warchołów, a całemu wojsku przypominając konieczność przestrzegania obowiązującej żołnierza dyscypliny.

Wyrzekał Jan Kochanowski z Czarnolasu, że zamarło w Rzeczypospolitej męstwo, że w przyłbicach rycerzy zdawna wysiadują kwoczki,

A rycerskie rzemiosło, którem Polska stała,
Tak że się nieprzyjaciół swych nigdy nie bała,
Staniało między ludźmi, zbroje pordzewiały,
Drzewca prochem przypadły, tarcze popleśniały,
Wszystkie granice puste, a Tatarzyn bierze,
Kiedy wy się najlepiej wzgadacie o wierze...

Król Stefan, niejednokrotnie sławiony przez wieszcza z Czarnolasu, porywając naród do wojny z Moskwą, zmiótł prochy z kopij polskich, starł rdzę z mieczów i zbroic, zbudził uśpione w sercach szlachty męstwo. A przez dbałość o różne rodzaje broni, przez udoskonalenie sposobów wojowania podniósł umiejętność wojenną w Polsce. Z jego szkoły wyszli znakomici wodzowie, jak Jan Zamoyski, Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, Stanisław Żółkiewski, pod jego opieką kształciło się młodsze pokolenie rycerstwa, co sławę wojenną Polski po całym świecie miało rozgłosić za panowania następnego króla.

Przywracając dawną świetność rycerskiemu rzemiosłu, które, jak wyrzekał poeta, „staniało między ludźmi", król Stefan zwrócił baczną uwagę na kozaków siczowych. Niepokoiły go nieustanne wyprawy kozackie na Tatarów i Turków, wywołujące straszliwy gniew sułtana, z którym Batory do czasu chciał w najlepszych pozostawać stosunkach. Bystry król widział niebezpieczeństwa, jakie zagrozić mogą Rzeczypospo-

łitej, gdyby na jej kresach utworzyła się wielka a niezależna siła zbrojna, na własną rękę podejmująca wojnę z sąsiadami. Niepokoił Batorego ten żywioł niesforny, wojowniczy, a w żadne karby nieujęty. Więc już w początkach swego panowania wysłał do Bracławia, Winnicy i Niemirowa wojewodę lubelskiego, Jana Tarłę, by przeprowadził śledztwo i karę wymierzył przywódcom samowolnych napadów kozackich na obce posiadłości.

Przed wojną moskiewską Batory przyjął delegatów od kozaczyzny siczowej, a we wrześniu 1578 r. wydał uniwersał, który był pierwszą próbą uporządkowania stosunków na Siczy. Starosta czerkaski i kaniowski, ks. Michał Wiśniowiecki, pod którego władzę zostali oddani kozacy, miał odebrać od nich przysięgę wierności. Ponadto uniwersał obowiązywał kozaków do zaprzestania najazdów na posiadłości tatarskie i tureckie, a 500 mołojców powoływał pod broń na stały żołd i służbę królewską. Wkrótce po wydaniu uniwersału Batory posłał kozakom chorągiew z białym orłem i 500 mołojców rozkazał zorganizować na wzór hajduków węgierskich [1]). Kozacy ci już w r. 1579 pełnili służbę strażniczą na kresach, a w roku następnym wzięli udział w wyprawie na ziemię siewierską.

Król Stefan, jako zwycięski wojownik, wielką sławą przez długie lata cieszył się śród kozactwa. Imię jego otaczano czcią. Pomimo to nie zdążył uregulować stosunków na Siczy, nie zdołał opanować awanturniczych, a jak wicher stepowy nieobliczalnych mołojców

---

[1]) Jak wykazują nowe badania, niezgodne jest z rzeczywistością podanie, jakoby Batory powołał pod broń 6000 kozaków i kazał ich zarejestrować.

i powstrzymać ich od łupieskich wypraw na Wołoszczyznę i ziemie sułtańskie.

W roku 1581-ym zjawił się na Zaporożu Samuel Zborowski. Pragnął on zmazać swe winy w wojnie z Moskwą i odznaczył się w bitwie pod Toropcem. Potem z hufcem zabijaków zjawił się pod Pskowem. Ale hetman Zamoyski, nie bacząc na gniew możnych braci Zborowskich, potraktował Samuela. jako banitę i poza obozem wyznaczył mu stanowisko Urażony a pełen fantazji rycerz po pewnym czasie oddalił się z pod Pskowa i ruszył na Zaporoże. Miał on zamiar zorganizować kozaków, stanąć na ich czele, rozpocząć na własną rękę wojnę z Moskwą, okryć się sławą, zasłużyć się przed narodem i uzyskać przebaczenie za popełnioną w swoim czasie zbrodnię. Jakoż udało mu się wzbudzić zaufanie zaporożców. Śmiały, awanturniczy charakter Samuela przypadł do gustu mołojcom. Okrzyknięto go hetmanem. Tymczasem wojna się skończyła. Zborowski zmuszony był wyrzec się swego zamiaru. Ale duch niespokojny pchał go do czynów awanturniczych. Więc snuł projekty wypraw na Wołoszczyznę, to znowu wespół z Tatarami zdobywać chciał Persję. Projekty owe nie doszły do skutku. Natomiast udało się Samuelowi zorganizować wyprawę morską na galery tureckie. Nie mogąc jednak dojść do ładu z niesfornem kozactwem, opuścił Zaporoże, tułał się jakiś czas po świecie i po doznaniu mnóstwa przygód, powrócił do Polski. Ale z kozakami podtrzymywał w dalszym ciągu stosunki i nie obcy był ich śmiałemu najazdowi na posiadłości tureckie w roku 1583. Najazd ten wywołał gniew sułtana, naraził Polskę Turcji i wielkie kłopoty sprawił Batoremu.

Tragiczne losy Samuela nie powstrzymały innych przywódców kozackich od samowolnych wypraw, a król, acz miał dość energji, by ład na Zaporożu zaprowadzić, zapoczątkował tylko unormowanie stosunków z kozakami, ale nie zdążył już ująć ich w karby.

Do najważniejszych reform z czasów Batorego należy ustanowienie trybunałów, które sejm r. 1578 powołał do życia. Jeszcze przed sejmem toruńskim Stefan zwrócił uwagę na konieczność ustanowienia sprężystego rządu, a przedewszystkiem wymiaru „świętej sprawiedliwości, aby się w niej ludziom dosyć działo". Ale sejm ten, szarpany waśnią stronnictw, rozszedł się, nic nie postanowiwszy. Dopiero w r. 1578, szlachta, widząc, jak wiele zależy Batoremu na uchwaleniu podatków na wojnę z Moskwą, wykorzystała tę okoliczność, zapowiadając, że na podatki dopóty zezwolenia nie da, dopóki sąd najwyższy nie będzie utworzony.

Dotychczas sądy najwyższe zarówno nad mieszczaństwem, jak szlachtą, spoczywały na barkach króla. Za dwóch ostatnich Jagiellonów wykonywanie sprawiedliwości budziło słuszne narzekania. Z powodu mnóstwa apelacyj do sądu królewskiego wytworzyła się ogromna zaległość spraw i zbrodni nieosądzonych. Taki stan rzeczy wprowadzał w życie zamieszanie i chaos, wywoływał niezadowolenie i usprawiedliwiony żal pokrzywdzonych, urągał poczuciu sprawiedliwości i prawa. Więc szlachta pragnęła odebrać królowi sądy najwyższej instancji, utworzyć trybunał, któryby działał szybko i sprawnie, a składałby się z sędziów przez szlachtę wybranych. Od udziału w tym sądzie chciano odsunąć senatorów i duchowieństwo, obawiano się

bowiem, że możni panowie, mając na widoku własne interesy, nie potrafią się wznieść na wyżyny bezstronności i z krzywdą stanu szlacheckiego sprawy sądzić będą.

Takie stanowisko doprowadzało niejednokrotnie do ostrych starć pomiędzy izbą poselską a senatem i niesłychanie utrudniało urzeczywistnienie koniecznej a doniosłej reformy. Sprawa, zatamowana sporami, ugrzęzła, jak wóz w piaskach i od wielu lat nie ruszała się z miejsca.

Zygmunt August nie przyczyniał się do załagodzenia sporu. Przerzucając się to na stronę senatu, to znowu popierając dążenia izby poselskiej, powiększał swą chwiejnością piętrzące się trudności. W czasie bezkrólewi sprawa reformy sądu najwyższego nie schodziła z porządku dziennego. Utworzono nawet sądy wojewódzkie ostatniej instancji, ale te nie zyskały uznania, a myśl utworzenia centralnego trybunału, którego wyroki byłyby bezapelacyjne, zyskiwała coraz więcej zwolenników.

I Batory był zwolennikiem wspólnego dla Korony trybunału. Nie mogąc, jak i poprzedni królowie podołać nawałowi spraw nieosądzonych, doskonale rozumiał, że stan rzeczy domaga się zmiany gruntownej. Ale godząc się na trybunał, nie myślał pozbawiać się całkowicie swej władzy sądowniczej. Chciał pozostawić sobie sądzenie spraw miejskich, a także spraw kryminalnych. Nadto nie myślał zrzekać się wpływu na sprawy, dotyczące dóbr i dochodów, tak królewskich, jak skarbu publicznego.

W ten sposób do walki pomiędzy senatem a izbą poselską wmieszała się wola króla.

Ale Batory wiedział, czego chce, a gdy życzeniu jego stało się zadość, cały swój wpływ rzucił na szale toczącej się walki i poważnione strony doprowadził do porozumienia.

Jakoż przy królu pozostawiono sądzenie na sądzie sejmowym spraw kryminalnych, pozostawiono mu sprawy o dobra i dochody oraz sprawy miejskie, a trybunałowi oddano do sądzenia wszystkie sprawy cywilne, które już przeszły przez sądy niższej instancji (ziemskie, grodzkie, podkomorskie, komisarskie), a skutkiem apelacji strony zainteresowanej miały podlegać raz jeszcze rozpatrzeniu i wyrokowi ostatecznemu. Nadto pod sąd trybunału oddano starostów i urzędników grodzkich, jeśliby nie dość pilnie wykonywali wydane przez trybunał wyroki lub też wręcz odmówili ich wykonania.

Dzięki wpływom króla i spór o skład trybunału został załatwiony.

Senatorowie, którym izba poselska pragnęła odebrać prawo wybieralności, gorąco protestowali przeciw temu ograniczeniu, dowodząc, że skoro ten przywilej przyznany jest ogółowi szlachty, to niepodobna żądać, by szlachcic, piastujący godność senatorską, miał być upośledzony z racji swego dostojeństwa. Wysunięto inny jeszcze argument, na który posłowie nie znaleźli odpowiedzi. Oto dowodzono, że skoro godność sędziego pochodzi z wyborów, a wybory zależą od szlachty, przeto szlachta musi samej sobie ufać i wierzyć, że godnych ludzi na odpowiedzialne i zaszczytne stanowiska powoła.

Nie bez walki zgodziła się izba poselska na ten punkt widzenia.

Większy jeszcze spór wywołał udział duchowieństwa, gdyż i wszystkie sprawy duchowne pragnęła szlachta sądzić samoistnie. Ale opór kleru był tak wielki, że groził całkowitem unicestwieniem reformy. Ostatecznie przyznano duchowieństwu sześć miejsc w trybunale i ustalono zasadę, że przy sądzeniu spraw duchownych zasiadać będzie równa liczba przedstawicieli obu stanów.

Wyborów do trybunału dokonywać miały co roku sejmiki deputackie, a każde województwo wybierało jednego lub dwóch sędziów trybunalskich, zwanych deputatami. Deputatów było 27: 11 wybierała Małopolska, a Wielkopolska 16. Godność deputacką można było piastować tylko rok jeden, lecz po upływie lat czterech deputat mógł być wybrany ponownie.

Deputaci obowiązani byli zjeżdżać się co roku najpierw do Piotrkowa dla sądzenia spraw wielkopolskich, a następnie do Lublina dla spraw małopolskich. Wyroki zapadały większością głosów, a były nieodwołalne. Król nie miał prawa ich zmieniać i nie posiadał prawa łaski dla skazanych.

Trybunał, powołany do życia najpierw dla Korony, ustanowiony został w roku 1581 dla Litwy, a zasiadał kolejno w Wilnie i Mińsku. Od roku 1589 trybunałowi koronnemu podlegały Prusy.

Ustanowienie trybunałów pociągnęło za sobą reformę sądów ziemskich i grodzkich, przyczyniło się do zmniejszenia ogromu pracy sądów sejmowych, spowodowało znacznie szybszy i sprawniejszy wymiar sprawiedliwości. Miały trybunały swe strony ujemne. Coroczne wybory nie pozwoliły wyrobić się deputatom i pozbawiały ich niezawisłości, jaką dać mogło sprawowanie urzędu czas dłuższy.

Nie od króla Stefana wyszła idea reformy, ale dzięki jego staraniom i wpływom została urzeczywistniona.

„Batory, — powiada prof. Balzer, — wyniósł się ponad stronnictwa, umiał wpłynąć na nie i usposobić je do wzajemnych ustępstw, w ten zaś sposób ułatwił dokonanie dzieła, którem zresztą sam, od początku swoich rządów, zajmował się gorliwie”...

Trybunały były wielką zdobyczą szlachty, były nowym klejnotem w koronie wolności szlacheckich. Ale ta doniosła a piękna reforma nie utrzymała się długo na właściwej wyżynie. Zepsucie, ogarniające społeczeństwo w XVII stuleciu, szeroką falą wtargnęło i do tych najwyższych przybytków sprawiedliwości. Przekupstwa, intrygi, krzywoprzysięstwa znieprawiły zczasem piękną instytucję i uczyniły z niej jedno więcej źródło niemocy, wiodącej naród ku przepaści zginienia.

Reformie sprawiedliwości towarzyszyły usiłowania, zmierzające do uporządkowania skarbu, który świecił pustkami, gdy Batory zasiadł na tronie. Skarbowość była jedną z najsłabszych stron życia państwowego Rzeczypospolitej, bo szlachta nie poczuwała się do obowiązku płacenia podatków, a kłopoty o środki na potrzeby państwa pozostawiała królowi, nie wnikając w to, skąd król ma pieniądze czerpać. Batory uczynił wielki wyłom w uporze szlachty, umiał bowiem rozpłomienić jej patrjotyzm i skłonić do ofiarności, jakiej ni przedtem, ni potem ani jeden z królów polskich obudzić nie zdołał. Żaliła się szlachta, sarkała, usiłowała opierać się żądaniu Stefana, ale ostatecznie ulegała jego woli i trzy razy z rzędu uchwalała pobory w niepraktykowanej przedtem wysokości. Gdy

jednak wojna została zwycięsko ukończona, masa szlachecka zacięła się w uporze i po dawnemu ani podatków od dochodu, ani ceł nie myślała płacić. Za szlachtą poszło duchowieństwo. Umiał i kler poruszyć Batory, gdy chodziło o potrzeby wojny, ale stały podatek był w dalszym ciągu tak śród szlachty, jak duchowieństwa, w najwyższym stopniu niepopularny. Ciężar podatkowy spadał na miasta. Obronił król mieszczaństwo przed sądami szlachty, ale nie zdołał dźwignąć kwitnących niegdyś miast polskich, a skutkiem swego upośledzenia coraz bardziej chylących się do upadku. Natomiast za panowania Batorego starano się zreformować i osiągnąć ulepszenia w podatku *pogłównym*, płaconym w jednakowej wysokości przez ludzi różnych zawodów bez względu na zarobki. Podatek pogłówny zmieniano na dochodowy, zaprowadzono zarazem ściślejszą nad wpływem podatków kontrolę.

Były to ważne zaczątki reformy finansów, świadczące, że za króla Stefana i w tej, najbardziej zaniedbanej dziedzinie gospodarki państwowej, wkraczano powoli na drogę poprawy.

Reformując wojsko i wymiar sprawiedliwości, wprowadzając ulepszenia w podatkach, nie dozwolił Batory rozpalić się waśniom religijnym. Już w Siedmiogrodzie otaczali go wyznawcy sekt najskrajniejszych. Skutkiem tego miał w Rzymie bardzo złą opinję. Jako lennik Turcji, zalecany przez sułtana do tronu, podejrzewany był o chęć wysługiwania się muzułmanom ku krzywdzie świata chrześcijańskiego. Pomawiano go nawet o sprzyjanie herezji. Więc w swoim czasie Rzym zwalczał jego kandydaturę, a nuncjusz papieski czynił wielkie wysiłki, aby zagrodzić mu drogę do

Polski. Za nuncjuszem szedł prymas Uchański, a za Uchańskim, z wyjątkiem paru biskupów, stało całe wyższe duchowieństwo katolickie. Ale okazało się wkrótce, że Stefan jest żarliwym katolikiem, a dobre stosunki z sułtanem utrzymuje dla wyższych względów politycznych.

Nuncjusze papiescy zachwyceni byli nowym królem polskim i w listach do Rzymu najpochlebniej wyrażali się o Batorym. Stosunki z Rzymem stawały się coraz bliższe i serdeczniejsze, bo wielkie plany, o których wojowniczy król myśleć nie przestawał, najzupełniej godziły się z zamiarami papieży.

Ale Batory nie był fanatykiem. Twierdził on, że nad ludźmi panuje król, lecz nad sumieniami Bóg. Przysiędze koronacyjnej, że „pokój między różniącymi się w wierze zachowa i utrzyma", przez cały czas swego panowania, pozostawał wiernym. Kiedy w r. 1577 zarówno w Krakowie, jak w paru innych miejscowościach zaczęły się napady na zbory kalwińskie, kiedy zaczęto znieważać pogrzeby protestantów, król surowo rozkazał tłumić tumulty. Nie podobał mu się szczególniej udział młodzieży akademickiej w tych manifestacjach. Więc w cierpkim, pełnym wyrzutów liście do rektora, doktorów i magistrów Akademji krakowskiej domagał się przedsięwzięcia stanowczych środków, by położyć kres wichrzeniu młodzieży.

— „Tych, — pisał, — którzy z imienia tylko są studentami, naprawdę zaś zachowaniem się nauce uczciwej są obcy, należy z akademji wypędzić, wśród reszty utrzymać karność i zmusić, by nosiła księgi — nie oręż"...

Gdy w r. 1581 młodzież napadła w Wilnie na pogrzeb protestancki, król z obozu pod Pskowem naka-

czał poskromić burzycieli i czuwać bacznie nad spokojem publicznym.

Stanowisko króla, który przeciwił się wszelkiemu gwałtowi, działało uspokajająco na podniecone umysły i utrzymywało na wodzy wzburzone namiętności.

Lecz dysydenci polscy, upewniający wszystkich, że za nowego króla „ledwie już kto katolikiem zostanie", a widzący w Batorym możnego protektora, doznali wielkiego zawodu. Stefan, którego religijność godziła się z wielkim a tajonym planem powołania pod broń państw chrześcijańskich przeciw Turcji, wielce cenił sobie dobre stosunki z Rzymem i, acz nie pozwalał na gwałty względem nowowierców, to jednak troskliwą opieką otaczał duchowieństwo katolickie, szczególniej zaś sprzyjał jezuitom. Pod tą opieką jezuici zręczną a żarliwą agitacją czynili wyłomy w szeregach nowowierców i gromadnie nawracali ich na katolicyzm. Król miał nawet nadzieję, że przy ich pomocy dokona dzieła zjednoczenia religijnego całej ludności w swem państwie. Po zdobyciu Połocka założył tam zaraz kolegjum jezuickie, a po utrwaleniu swej władzy w Inflantach takież kolegja powołał do życia w Dorpacie i Rydze.

Gdy do obozu pod Gdańskiem jezuici, zamieszkali w Wilnie, przysłali królowi życzenia i polecali mu sprawę kościoła katolickiego, Batory, odpowiadając bardzo uprzejmie, oświadczył w swym liście, że chwała kościoła i pożytek chrześcijaństwa zawsze były jego dążeniem. „A że do osiągnięcia tego zamiaru,—pisał,— zakon wasz jest nam nad inne nieodzownie potrzebnym, jest on nam i będzie zawsze najmilszym, co wam bardziej czynami, jak słowami okażemy"...

W instrukcji na sejmiki z r. 1582 wyraźnie powiedziano, że król radby widział i życzył sobie, „żeby wszyscy ludzie w państwach jego król. mości jednej a starożytnej byli wiary, jednako Pana Boga chwalili". Ponieważ do tej jedności najumiejętniej i najgorliwiej dążyli jezuici, więc Batory wspierał ich działalność i na kresach zwłaszcza rad widział ich placówki.

Ta gorliwość króla ogromnie zraziła Inflantczyków do Polski.

W Rydze, z powodu wprowadzenia kalendarza gregorjańskiego, doszło do napaści na jezuitów i buntu. Król ostrych środków zamierzał się chwycić, lecz niespodziewana śmierć przeszkodziła jego zamiarom.

W otoczeniu Batorego dużą rolę odgrywał uczony ksiądz Stanisław Sokołowski, profesor wymowy Akademji krakowskiej, mistrz teologji, nauk wyzwolonych i filozofji, spowiednik i kaznodzieja króla. Jednocześnie coraz większe znaczenie zdobywał głośny swoją piorunującą wymową Piotr Skarga, którego żarliwość apostolska niezapomnianemi głoskami zapisała się w dziejach kościoła katolickiego w Polsce.

Za króla Stefana zrodziła się również idea unji kościelnej na Rusi, a Skarga i Possewin byli tej idei gorącymi rzecznikami.

Tak więc Batory, acz nie schodził z drogi tolerancji, którą słynęła Polska po szerokim świecie, acz surowo tłumił wszelki gwałt, jakiego fanatyzm religijny dopuszczał się w stosunku do różnowierców, to jednak czynił wiele, by religję katolicką uprzywilejować w państwie i zapomocą jezuitów rozszerzyć jej wpływy, pomnożyć liczbę jej wyznawców. Lecz w przeciwstawieniu do swego następcy, Zygmunta III postępował przezornie, rozumnie. Nie rozżegał nienawiści

wyznaniowej tłumów, stał na straży wolności wyznań, był sprawiedliwy. Ponieważ duchowieństwo katolickie nie płaciło podatku stałego, więc uwolnił od tegoż podatku i duchowieństwo greckie. Miał miarę, dzięki której mógł popierać bojowników katolicyzmu, utrzymując jednocześnie „pokój między różniącymi się w wierze”.

Ze sprawami kościoła ściśle łączyła się w owym czasie sprawa oświaty.

Możny zakon jezuitów i na tem polu czynił postępy. Batory, sam człowiek wykształcony, a wysoko ceniący ludzi uczonych, zwrócił baczną uwagę na Akademję w Krakowie, a przywilejem z d. 7 lipca 1578 r. nadał kolegjum jezuickiemu w Wilnie takie same prerogatywy, jakich używała Akademja krakowska. A więc miała nowa uczelnia prawo nadawania stopni naukowych swoim wychowańcom, dobra jej narówni z dobrami kościelnemi uwolnione zostały od ciężarów publicznych, a młodzież, kształcąca się w nowym przybytku wiedzy, wyjęta została z pod sądownictwa grodzkiego i oddana pod sąd oraz zwierzchnictwo rektora. W marcu 1579 roku, przed wyprawą połocką, król przybył do Wilna. Radośnie witany przez jezuitów, nowym dokumentem potwierdził tytuł i prerogatywy nowej uczelni. W przededniu wielkiej wojny, śród szczęku oręża, tworzył dzieło, które przetrwało zawieruchy dziejowe i burze, a nazawsze z imieniem znakomitego wojownika zostało związane.

Król, na którego cześć sypały się w Wilnie mowy, wiersze, panegiryki, kazania, szczególniej mile przyjął powitanie młodzieży. Podanie głosi, że imieniem tej młodzieży przemawiał Jan Karol Chodkiewicz. Batory, zachwycony przytomnością umysłu i śmiałemi odpo-

wiedziami młodziana, miał mu przepowiedzieć, że zostanie kiedyś słynnym wojownikiem. Wielki znawca ludzi przepowiedział trafnie: groźne imię Chodkiewicza straszne było wrogom Rzeczypospolitej, a w całej Europie powtarzane z podziwem.

Akademja wileńska posiadała wydziały teologji, filozofji i sztuk wyzwolonych. Wyłączono z niej wykłady prawa i medycyny, gdyż jezuici uważali te przedmioty za niestosowne dla profesorów duchownych, mających przygotować młodzież głównie do stanu kapłańskiego, a dążyć do utrzymania i rozwoju wiary katolickiej w kraju.

Pierwszym rektorem został Piotr Skarga, a śród profesorów zasiedli obok Polaków cudzoziemcy różnych narodowości. Było w gronie profesorskiem trzech Anglików, był Portugalczyk Emanuel de Vega, głośny teolog, był Hiszpan, Antoni Arrias, sławny kaznodzieja i pogromca różnowierców.

Przed stworzeniem Akademji w Wilnie zamierzał król podnieść chylącą się do upadku Akademję krakowską, aby „nie uchodziła za ostatnią śród innych akademij w chrześcijaństwie”. Wiadomo, że zaraz w początkach swego panowania czynił wysiłki, by sprowadzić do Krakowa z zagranicy kilku słynnych uczonych. Jadący z polecenia króla do Włoch Jan Grzymała Zamoyski miał porozumieć się z upatrzonymi profesorami i uzyskać dla znakomitej niegdyś uczelni nowe przywileje od papieża.

Ale bunt Gdańska, a następnie wojna z Moskwą oderwały uwagę Stefana od spraw Akademji krakowskiej. Później przeważyły względy polityczne. Wszystkie rozporządzalne środki obracał Batory na wspomożenie nowej uczelni w Wilnie i kolegjów jezuickich

na Rusi i w Inflantach. Lecz starania o pozyskanie wybitnych sił naukowych i baczna uwaga, jaką w najtrudniejszych dla państwa chwilach zwracał na dzieło oświaty, szeroko rozsławiły w Europie imię króla-wojownika, jako przyjaciela nauk i protektora ludzi uczonych.

Niestety, krótkie, bo zaledwie dziesięć lat trwające panowanie nie pozwoliło Batoremu dokończyć dzieła reformy. Zapoczątkował on naprawę Rzeczypospolitej, zatrzymał rozkład państwa, opromienił nową sławą imię polskie w świecie, ale nie zdążył wypełnić wszystkich zadań, jakie miał przed oczyma. Ukończywszy zwycięsko wojnę z potężnym carem, pragnął ubezpieczyć granice wschodnie od napaści Tatarów, wzmóc siły wewnętrzne narodu i uchronić go od niebezpieczeństw, które w krótkim czasie dwukrotnie zawichrzyły państwo, a groziły w przyszłości wojną domową. Tą klęską, co zawisła nad Polską, było bezkrólewie i związane z wolną elekcją intrygi mocarstw zagranicznych.

Ale tymczasem zaszły wypadki, które poróżniły króla z narodem i zakłóciły wewnętrzny pokój Rzeczypospolitej.



STEFAN BATORY,

portret współczesny w refektarzu XX. Missionarzy w Krakowie.

XI.

ŚCIĘCIE SAMUELA I SPRAWA ZBOROWSKICH.

Wkrótce po zawarciu pokoju z Moskwą, Batory w otoczeniu panów litewskich i dostojników duchownych, między którymi znajdował się ksiądz Skarga, wyjechał do Inflant i zajął się urządzaniem tego kraju. Potwierdził Inflantczykom wolność wyznania augsburskiego, lecz bawiąc w Rydze, zażądał od magistratu oddania katolikom kościołów świętego Jakóba i św. Magdaleny. Osadził w tem mieście jezuitów, to samo uczynił w Dorpacie i Kiesi, a nadto przywrócił w Kiesi biskupstwo katolickie.

Inflantczycy, którym przywilej Zygmunta Augusta zapewniał przewagę protestantyzmu, wielce dotknięci temi rozporządzeniami, podnieśli protest, domagając się zachowania wszystkiego, co król poprzedni im przyrzekł. Ale Batory, nie zważając na protesty i prośby, uparcie trwał przy swojem. Postępując, jak w kraju zdobytym, mianował później na urzędy w Inflantach Litwinów i Polaków, czem wysoce oburzył ludność miejscową.

Król, jak widać było z traktowania nieszczęsnej krainy, zbaczał z drogi, którą kroczyła Polska Jagiellonów. Inflantczycy zaczęli się burzyć. Tu i ówdzie wybuchały zamieszki, a w roku 1585 z powodu wprowadzenia do Inflant kalendarza gregorjańskiego, pospólstwo w Rydze podniosło jawny bunt przeciw ustanowionym przez króla władzom. Wzburzeni mieszczanie zaatakowali jezuitów, odebrali im klasztor i kościół, napadli na stronników rządu, jednego z nich, Tasta, stracili publicznie na rynku, innych zaczęli ścigać i mordować. Później weszli w porozumienie ze Szwedami, którzy łakomie spoglądali na kraj zbuntowany i radzi byli połączyć go ze Szwecją.

Okazało się, że Batory, pomimo całej bystrości i wielkiego rozumu, nie przejął się jeszcze duchem owej polityki, dzięki której Rzeczpospolita przyciągała ku sobie ludy sąsiedzkie. Nie siłą i mieczem, lecz poszanowaniem odrębności narodowej, zrozumieniem potrzeb, zachowaniem zwyczajów, tolerancją, pozostawieniem całkowitej swobody w urządzeniach wewnętrznych spajali Jagiellonowie z Polską rozliczne ludy i kraje. W Batorym - wojowniku tkwił instynkt zdobywcy. W Inflantach chciał on rządzić, jak zwycięzca. Ale, narzucając Inflantom swą wolę, składał zarazem dowód, że zwraca uwagę na zjawiska, któremi nie zajmowali się jego poprzednicy.

Oto ku oburzeniu panów inflanckich, zajął się losem chłopów, traktowanych w sposób okrutny, a nie posiadających w tym kraju żadnej własności. Pragnąc ulżyć doli mas włościańskich, postanowił zakazać niemiłosiernie wykonywanej chłosty cielesnej i plagi zamienić na kary pieniężne. Król przyjął nawet deputację chłopską, co było faktem niebywałym, krzyczącym.

Lecz owa deputacja padła mu do nóg i błagała, by żadnej nie wprowadzał zmiany, bo każda nowość jeszcze straszniejszem uczyni położenie chłopów. Nie wierzyli nieszczęśliwi w polepszenie swej doli, wiedzieli, że pomimo wszelkich zakazów nie unikną chłosty, a w dodatku i kary pieniężne zmuszeni będą płacić.

Z Inflant udał się Batory do Warszawy.

Tu w pierwszych dniach października 1582 roku zebrał się sejm walny.

Król pragnął, by sejm zajął się sprawą poborów na pokrycie zaległego żołdu i długów, na wojnę z Moskwą zaciągniętych, obroną granic wschodnich przed napadami Tatarów, urządzeniem Inflant oraz sprawą bezkrólewia i elekcji.

Ale sejm podejrzliwie spoglądał na zwycięskiego króla i nie myślał uczynić zadość jego życzeniom. Domagano się dawniej, by sprawa elekcji i bezkrólewia została unormowana: dwa bezkrólewia ujawniły wielkie niebezpieczeństwa, wobec jakich stanąć może Rzeczpospolita, gdyby po śmierci każdego króla powtarzać się miały wypadki, poprzedzające wybór Batorego. Gdy jednak sprawę elekcji Batory wysunął, zbudziła się zaraz obawa, że król zechce sam wyznaczyć swego następcę. Szlachta, widząc we wszystkiem zamach na swe wolności, nie chciała mówić za życia króla o nowym królu. Posłowie, zasłaniając się brakiem instrukcji, postanowili odwołać się do braci-wyborców. W ten sposób uniemożliwili rozstrzygnięcie niezwykle doniosłej dla życia państwowego sprawy. Podobny los czekał inne wnioski. Kłócono się o Inflanty. Litwini dowodzili, że kraj ten jest prowincją litewską, Polacy z Zamoyskim na czele domagali się przyłączenia Inflant do Polski. Wreszcie wiele czasu

i wrzawy wywołała sprawa referendarza Stanisława Sędziwoja Czarnkowskiego, który dobra Żnin, dane mu niegdyś przez arcybiskupa Uchańskiego, chciał zatrzymać przy sobie, aczkolwiek prymasem został już Stanisław Karnkowski.

Czarnkowski, człek przebiegły, a wielkiej miary intrygant, zapozwany przed sąd nadworny, umiał zainteresować swą sprawą szlachtę i dopiął tego, że wielu posłów stanęło po jego stronie i domagało się od króla, by skasował sądy nadworne. Umysły były wzburzone. Wśród namiętnej dyskusji słynny z warcholstwa Jakób Niemojowski zawołał do króla:

— Miłościwy panie! zachowaj nam w całości nasze przywileje, a pozostaniesz naszym miłościwym królem, a jeśli nie, to będziesz Stefanem Batorym, a ja jestem Jakób Niemojowski!...

Sejm rozszedł się, nic stanowczego nie postanowiwszy.

Król, wystawiony na pociski szlachty, stającej w obronie prywaty, nie zrażał się zarzutami, nie ustępował przed hałasem i krzykiem. Czarnkowskiego skazał na oddanie nieprawnie zatrzymanych dokumentów i opuszczenie Żnina. Ale lekkomyślność szlachty, pomijającej ważne sprawy, a rozjeżdżającej się bez zabezpieczenia zagrożonych przez Tatarów granic, budziła w królu głuchy gniew i gorycz. To miał przecież do siebie ten wielki człowiek, że nie zniechęcał się trudnościami, że nie opuszczał rąk bezczynnie i nie przestawał czuwać nad bezpieczeństwem kraju. Opuszczony przez naród, wysłał nad Dniepr Zamoyskiego z zaciężnemi hufcami i rozkazał mu bronić przeprawy. Hetman świetnie wywiązał się z nowego zadania. Tatarzy, mając przed sobą wezbrane wody Dniepru

i stojące za Dnieprem w gotowości bojowej wojska, bez walki cofnęli się na swoje legowiska.

Dzielny pomocnik króla samą postawą swoją odwrócił grożącą Rzeczypospolitej burzę.

Batory, chcąc okazać narodowi, jak ceni wielkiego człowieka, nowy zaszczyt postanowił mu wyświadczyć. W tym celu wydał za niego za mąż bratanicę swą, Gryzeldę Batorównę, i latem roku 1583 wyprawił nowożeńcom w Krakowie tak wspaniałe a świetne wesele, jakiego ni przedtem, ni potem nie zanotowały kroniki polskie.

Wydarzenie to poruszyło opinję.

Zamoyski, człek nowy, wyszedłszy z pośród szlachty, w czasie bardzo szybkim nie tylko wyrósł ponad głowy swej braci, ale dzięki piastowanym godnościom kanclerza i hetmana oraz pokrewieństwu z królem, zagasił swą powagą wszystkich dostojników w państwie. Przedstawiciele dawnych rodów magnackich z zawiścią spoglądali na tę nową potęgę. Podejrzewano Batorego, że jednemu z synowców chce za swego życia zapewnić tron polski, zwłaszcza, że najmłodszy z nich, Andrzej Batory, kształcił się u jezuitów w Pułtusku. Zamoyski zaprzeczył później tym wieściom. Ale nie jest wykluczonem, że bezdzietny król, myśląc o następcy, chciał, zgodnie z opinją szlachty, w czasie ostatniej elekcji przygotować tron polski „Piastowi” i że tego Piasta widział w osobie swego kanclerza.

To pewna, że ślub Zamoyskiego z Batorówną zaniepokoił szlachtę i poruszył do żywego wielu magnatów, zazdroszczących kanclerzowi nowego zaszczytu.

Szczególniej dotknięci czuli się bracia Zborowscy.

Lecz Zamoyski był człowiekiem bystrym. Sam wyznawał, iż czynił ze swej strony wszystko, by wykazać, że nie napawa go pychą łaska pańska, że nie myśli wynosić się nad innych. Widząc zawiść Zborowskich, starał się ich ułagodzić i uczynić zadość ich pragnieniom. Więc Andrzejowi Zborowskiemu wyrobił dwa tysiące złotych rocznego jurgieltu, wstawił się do rodziny zabitego kasztelana Wapowskiego, by zezwoliła na skasowanie ciążącego na Samuelu wyroku banicji, wstawiał się do króla za Krzysztofem, który splamił się przeniewierstwem i na dworze cesarskim knuł przeciw Batoremu ciemne intrygi.

Ale Zborowscy byli nienasyceni. Widząc usłużność kanclerza, występowali z nowemi żądaniami, a występowali po swojemu, butnie, natarczywie. Najprzewrotniejszy z braci był Krzysztof. Popierając w swoim czasie kandydaturę austrjacką, utracił popularność śród szlachty. Wystawne życie przyprawiło go o ogromne długi, przed któremi uciekł z Polski. Znalazłszy przytułek na dworze cesarskim, intrygował przeciw królowi, a potem wszedł nawet w konszachty z carem i za 1.200 talarów wykonał w Lubece przysięgę na wierność Iwanowi. Była to oczywista zdrada, ale Krzysztof czuł się widocznie bezpiecznym, gdyż uspokoiwszy swych wierzycieli, zjechał do kraju i zjawił się na weselu Zamoyskiego.

Krzysztof, potrzebując gwałtownie pieniędzy, śmiał żądać od króla przyznania mu rocznej pensji po zmarłym w owym czasie wojaku Szperwejnie. Lecz król wiedział o ciemnych sprawkach Krzysztofa, pamiętał, że w swoim czasie nie mający skrupułów magnat wziął od niego w Siedmiogrodzie duże pieniądze, by mu pozyskiwać stronników, a później przerzucił się

jawnie na stronę cesarza. Wiedział nadto Batory, że Krzysztof porozumiewał się z carem. Pomimo to gotów był dać zdrajcy możność zmazania swych win w wiernej dla ojczyzny służbie. Ale bezczelność żądania do żywego oburzyła króla. Prośbie Krzysztofa odmówił stanowczo.

Urażony magnat zaczął knuć zemstę i do tych knowań wciągnął Andrzeja i Samuela. Trzej bracia zjechali się w Zborowie, rodzinnym zamku na Rusi i, jak mówiono, „na trawie zborowskiej" sprzysięgli się na zgubę króla. Zborowscy postanowili pozbawić Batorego tronu i koronę polską oddać własnemu kandydatowi.

Duszą tych knowań był przewrotny Krzysztof, ale najwięcej hałasu czynił Samuel.

Był to junak śmiały, szalony, nie znający żadnych więzów, a ważący się na największy hazard, natura bujna, niespokojna, zuchwała bez granic. Zaufany w bezkarność, nic nie robił sobie z ciążącego na nim wyroku banicji i swobodnie włóczył się po kraju. Szukając przygód, udał się po raz wtóry na Sicz i na własną rękę zorganizował wyprawę przeciw Turcji. Później znów zjawił się w Polsce i tysiącem szaleństw nieustannie zwracał na siebie uwagę. Otoczony zawadjacką kompanją, pił, hulał, najeżdżał domy szlachty, porywał z gościńca kobiety, dopuszczał się mnóstwa gwałtów i bezprawi.

Król już dawniej przestrzegał Samuela, by siedział spokojnie w swych dobrach pogranicznych i cierpliwie oczekiwał zniesienia wyroku. Ale zuchwały zabijaka nic już nie robił sobie z ostrzeżeń. Niepohamowany w języku, odgrażał się, że zdzieli Zamoyskiego

czekanem między oczy i zatłucze psa węgierskiego, jak nazywał króla.

Pogróżki i obelgi miotane przez Zborowskich, rozchodziły się szeroko, a o planach zasadzek i zamachów, przygotowywanych przez zuchwałych braci, krążyły coraz bardziej niepokojące wieści.

Gniewał się król, srożył się kanclerz i ostrzegał Zborowskich, by nie liczyli dłużej na jego opiekę.

Na nic nie zdały się wszelkie przestrogi.

Bracia nie zaprzestali knowań, a Samuel nie zmieniał trybu życia.

W ręce króla dostało się kilka nowych dowodów winy Zborowskich, a między innemi list Krzysztofa do Samuela. W liście tym Krzysztof żalił się, że król pragnie ród Zborowskich wytracić, odgrażał się Batoremu i zapewniał, że wkrótce zmieni się w Polsce istniejący stan rzeczy.

Niespodziewany wypadek całej sprawie nadał obrót nieoczekiwany.

Wiosną roku 1584-go Zamoyski wracał z Knyszyna do Krakowa. Samuel wraz ze swoją kompanją jechał śladami kanclerza i, następując mu na pięty, przechwalał się głośno, że razem ze swym wrogiem odbędzie uroczysty wjazd do Krakowa. Z różnych stron przestrzegano Zamoyskiego, by miał się na baczności. Obawiano się jakiegoś szalonego czynu ze strony Samuela, a jego charakter najzupełniej usprawiedliwiał żywione obawy. Gdy Zamoyski, będący starostą krakowskim, stanął w Proszowicach, znajdujących się już w obrębie jego władzy starościńskiej, doniesiono mu, że zbrojni ludzie Samuela stoją tuż pod Proszowicami, a sam Samuel znajduje się w Piekarach, majątku swej krewnej, Włodkowej.

Kanclerz, korzystając ze sposobności, umyślił pochwycić niebezpiecznego warchoła. W tym celu rozkazał Żółkiewskiemu otoczyć nocą Piekary, ująć żywcem banitę i przywieźć go do Proszowic. Żółkiewski wiernie wypełnił rozkaz. Niespodziewanie osaczony Samuel dostał się w ręce żołnierzy kanclerskich i w zakrytym powozie, jako więzień, odstawiony został do Krakowa. W ślad za nim jechał ze swym orszakiem Zamoyski.

Srogi kanclerz postanowił w straszliwy sposób rozprawić się z pochwyconym spiskowcem. Opierając się na komentowaniu prawa, doszedł do przekonania, że Samuela, jako banitę, lekceważącego wyrok królewski, władny jest ukarać śmiercią. Nie chciał przecież uczynić tego bez zezwolenia króla. Więc zapytał go listownie o opinję. Ale i król miał dość zdrady i knowań rozzuchwalonych braci. Według podania nieprzychylnych Batoremu pamiętnikarzy, miał on odpisać Zamoyskiemu: zabij psa, a kąsać nie będzie.

Otrzymawszy przyzwalającą odpowiedź, Zamoyski przestał się wahać: los Samuela został przesądzony.

Strach padł na Zborowskich i ich stronników. Nadaremnie przecież kołatali do króla i kanclerza, nadaremnie szlachta województwa krakowskiego domagała się od Zamoyskiego, aby sprawę Samuela, jako niezwykłą i nową, odesłał do rozważenia najbliższemu sejmowi.

I król i kanclerz zacięli się w uporze.

Dnia 26 maja 1584 r. na dziedzińcu zamku krakowskiego głowa Samuela spadła pod toporem kata.

Teraz w całym kraju podniósł się krzyk grozy.

Zborowscy poruszali niebo i ziemię, aby podburzyć szlachtę i na najbliższym sejmie pomścić hanie-

bną śmierć brata. Piorunując na króla i kanclerza, występowali, jako ofiary tyrańskiej polityki Batorego. Opowiadając straszliwe szczegóły o tem, jak Zamoyski pastwił się nad bezbronnym skazańcem, jak go moralnie torturował i dręczył, w jak okrutny i nieludzki sposób rozkazał go stracić, jak nadużył władzy i rzucił wyzwanie całej szlachcie, jak nie zawahał się popełnić zbrodni i pogwałcić prawa, dopięli tego, że dla tłumów szlacheckich nieszczęsny Samuel stał się bohaterem, wołającym o pomstę do nieba. Te tłumy widziały w Zborowskich mścicieli krzywdy brata-szlachcica, obrońców wolności przeciw krwawej tyranji.

Widmo ściętego Samuela rzuciło ponury cień na całą Rzeczpospolitą.

Utworzyły się dwa obozy, zbierające wszystkie siły do stanowczej walki. Obu stronom nie brakło argumentów i broni.

Zwolennicy Zborowskich krzyczeli, że Zamoyski popełnił niesłychane bezprawie, gdyż Samuel był skazany na banicję, ale bez utraty czci, a więc gardłem karany być nie mógł. A kanclerz i jego przyjaciele twierdzili, że wyrok banicji, nie pociągający za sobą śmierci w razie powrotu do kraju, nie miałby żadnego znaczenia, gdyż każdy banita mógłby w ten sposób nie opuszczać ojczyzny. Na to odpowiadano, że od bezkarności do kary śmierci droga jest daleka, że w ostateczności można było Samuela trzymać pewien czas w wieży, w żadnym zaś razie nie wolno było wydawać go na śmierć.

Rosło wzburzenie i z krańca w kraniec Rzeczypospolitej przelatywały gwałtowne huki, zapowiadające wojnę dwóch zbrojących się obozów

Stanowisko króla i kanclerza nie wolne było od zarzutów.

Mógł mieć biegły w prawie Zamoyski mocne argumenty, aby ze stanowiska prawa swój czyn usprawiedliwić. Ale temu czynowi brakło siły moralnej, gdyż wiedzieli wszyscy, że Samuel za zgodą króla przebywa w kraju, że król pozwalał wprowadzać go na swe pokoje, że acz tajemnie, widywał się z nim nieraz i w ten sposób sankcjonował bezprawny pobyt banity w Polsce. Zapewne że Samuel, jako gwałtownik i warchoł, popełniający tysiące bezeceństw, nie zasługiwał na pobłażanie, a jako człowiek, dopuszczający się zbrodni stanu, powinien był być pociągnięty do odpowiedzialności i nawet dać gardło, lecz za wyrokiem, któryby zapadł legalnie. Ale nie za swywolę na Siczy, nie za gwałty, nie za spiski, lecz za samowolny powrót, uświęcony w gruncie rzeczy przez króla i kanclerza, poniósł straszną karę nieszczęsny zawadjaka. Miał król słuszność, gdy chciał urwać łeb hydrze knowań i buntów, lecz popełniał ciężki błąd, gdy zezwolił ściąć Samuela za to, co sam tolerował i na co godził się milcząco.

Takie postępowanie nie odpowiadało godności króla i kanclerza, a świadczyło, że obaj wielcy ludzie zapamiętali się w gniewie, że niepewni, jakby się skończyła sprawa Samuela na drodze legalnej, nie wytaczali mu procesu o popełnione zbrodnie, lecz oddali go katu za czyn, do którego przez nich samych był upoważniony. Wprawdzie Zamoyski twierdził, że Samuel nigdy nie znajdował się w obrębie jego władzy starościńskiej, że gdyby wcześniej dostał go w swe ręce, uczyniłby to samo. Ale wiedzieli wszyscy, że wyrok nie mógł być wykonany bez zgody króla,

a król jeszcze w czasie ostatniego sejmu przyjmował u siebie banitę.

Nic dziwnego, że wobec takich okoliczności wzmagało się śród szlachty oburzenie przeciw królowi i Zamoyskiemu. Krew straconej ofiary zawsze działa na wyobraźnię. Krew Samuela, o którego męstwie, szaleństwach i nadzwyczajnych przygodach głośno było w kraju, przemawiała wymowniej do serc tłumu, niż argumenty prawnicze Zamoyskiego. Postać straconego rycerza rosła w oczach szlachty, stawała przed jej oczyma w blaskach męczeństwa i rozdzierającym głosem wołała o pomstę.

Ze swej strony Zborowscy czynili wszystko, aby wzburzyć kraj i przygotować siły do walki z nienawistnym królem. Puszczane w obieg pisemka, pełne okropnych opisów śmierci Samuela, gwałtowne mowy, efektowne sceny, a nawet tendencyjne malowidła czyniły swoje i skutecznie rozpalały namiętności.

Batory nie uląkł się krzyków.

W głowie jego dojrzewał wielki plan wojenny, wszystkie jego myśli zajęte były właśnie ziszczeniem olbrzymich zamiarów, o których nie przestawał myśleć. W marcu roku 1584 umarł Iwan Groźny. Następca jego nie był zdolny do rządów. Bojarowie podnieśli głowy i w stolicy carskiej rozpoczęły się waśnie, kłótnie, intrygi. Król postanowił wykorzystać te wydarzenia i wielki swój plan [1]) przedstawić senatorom, których w sierpniu 1584 roku zwołał do Lublina.

Ale na tym zjeździe sprawa Zborowskich przesłoniła wszystko i stała się głównym przedmiotem nara-

---

[1]) O planach Batorego w owym okresie traktuje rozdział następny.

dy. Stefan, widząc na co się zanosi, zdecydował się ukarać burzycieli, wezwać ich przed sąd i nowym strasznym przykładem raz na zawsze powstrzymać zbrodnicze wichrzenia magnatów. Senatorowie obiecali poprzeć króla, ale gdy przyszło do decyzji, czy przed sąd sejmowy zawezwać Zborowskich, rozstrzeliły się głosy i litościwe usposobienie polskie wzięło górę nad racją stanu. Arcybiskup Solikowski rozwiódł się szeroko nad łaskawością królów polskich, a zwłaszcza dwóch ostatnich: Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Dał następnie piękne przykłady wspaniałomyślności monarchów, którzy przebaczali swym poddanym winy i postępowaniem łagodnem przemieniali zaciętych wrogów w wiernych przyjaciół.

W ten sam ton, co Solikowski, uderzyli inni senatorowie.

Batory miał serce wspaniałomyślne, lecz twarde i nieprzystępne dla czułostkowości polskiej. I on umiał przebaczać, a postępowanie z Bekieszem, który z wroga stał się oddanym sługą szczęśliwego rywala, świadczyło, że król Stefan znał słabości natury ludzkiej i nie dał się powodować zrozumiałym u zwykłych ludzi uprzedzeniom. W stosunku do Zborowskich również wykazał wielką pobłażliwość. Ale zuchwałość braci, wchodzących w konszachty z wrogami własnej ojczyzny, przebrała miarę jego cierpliwości. Więc trwał nieugięcie przy swojem zdaniu i dopiął tego, że Krzysztof i Andrzej Zborowscy zostali pozwani pod zarzutem zbrodni przed najbliższy sąd sejmowy. Oskarżono ich o spisek przeciw osobie królewskiej, o zmowy na szkodę Rzeczypospolitej z obcemi mocarstwami i o obelgi, miotane na króla.

Wojenne i polityczne plany Batorego musiały ustąpić przed burzą domową.

Na sejmikach wyłącznie sprawą Zborowskich zajęte były umysły. Na sejmik proszowicki przybył Krzysztof Zborowski i, rozdzierając szaty z powodu śmierci Samuela, dowodził ku oburzeniu współczujących mu słuchaczów, że król cały ród Zborowskich postanowił wytracić. Na Zamoyskiego rzucił potworne oszczerstwo, wołając, że mściwy kanclerz za pośrednictwem dworzanina króla, niejakiego Pruskiego, chciał go otruć i w ten nikczemny sposób pozbawić żywota. Mowę swoją Zborowski zakończył:

— „A to się przed waszmościami wszystkimi oświadczam i opowiadam, że się mścić będę krwie brata mego niewinnej do śmierci nad nim i nad powinnymi jego"...

Słowa takie czyniły ogromne wrażenie.

Łatwowierna, lekkomyślna szlachta dawała ucho potwarczym zarzutom, wybuchała gniewem, nie dopuszczała do głosu zwolenników kanclerza. Do Mikołaja Zebrzydowskiego, który żył w przyjaźni z Zamoyskim, strzelono z rusznicy, gdy wchodził do kościoła.

Na sejmiku w Środzie rej wiódł Jan Zborowski. Gdy sekretarz królewski, wspominany tylekrotnie ksiądz Piotrowski, zaczął przemawiać w obronie Zamoyskiego, podniosła się piekielna wrzawa, a tłum rozwścieczony chciał mówcę rozsiekać. W Wiśni Stanisław Żółkiewski, broniący kanclerza, ściągnął na swą głowę pioruny oburzenia i do korda przeciw Herburtowi zmuszony był się porwać. Sejmiki w innych miejscowościach również odbywały się wrzaskliwie, śród ulewy wymysłów, świstu szabel i huku wystrzałów.

Nie wszędzie przecież brali górę Zborowscy.

W Sieradzu, w Łęczycy i na Mazowszu sejmiki wypowiadały się przeciw Zborowskim, a niektóre uchwaliły nawet podziękowanie Zamoyskiemu za to, że bez względu na osobę stał na straży prawa.

Na sejm walny w styczniu 1585 roku zjeżdżano się do Warszawy, jak na plac boju.

Król, kanclerz, wielu senatorów przybyło z licznemi zastępami uzbrojonych ludzi.

Przyciągnęli i Zborowscy z tłumem swych stronników, którym przywodził wojewoda poznański, Stanisław Górka, magnat możny, bogaty, a zuchwały i nienawidzący króla. Stronnictwo to rozłożyło się obozem pod Warszawą i od wielkiej manifestacji zamierzało rozpocząć wojnę z Batorym. Oto Zborowscy przywieźli ze sobą wielki obraz, wyobrażający stracenie Samuela. Ten obraz wraz z dziećmi nieboszczyka zamierzali wprowadzić na salę obrad sejmowych, „aby tem ludzie wszystkie ku żałości większej pobudzić". Dla podniesienia efektu chcieli potem wnieść przed sejm zwłoki Samuela. Lecz Batory, dowiedziawszy się o zamierzonej demonstracji, zapowiedział groźnie, że żartować nie będzie i trupa każe wrzucić do Wisły. Ta groźba zrobiła swoje: Zborowscy poniechali zamiaru.

Oba obozy w najwyższem naprężeniu czekały na otwarcie sejmu, oba gotowały się do stanowczej rozprawy.

Batory rozkazał przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Zamek królewski, opasany zewnątrz działami, roił się wewnątrz od zbrojnego ludu i rozbrzmiewał szczękiem oręża, jakby lada chwila bitwa miała się zacząć. Izba senatorska w dniu otwarcia obrad przedstawiała widok niezwykły. Za królem, kanclerzem,

marszałkiem stała straż z rusznicami, gotowemi do strzału I Górkę otaczali uzbrojeni ludzie. Wydawać się mogło, że lada chwila hukną strzały, świsną obnażone szable i krew obryzga ściany wielkiej sali. Ale stanowczość króla trzymała namiętności na wodzy. Stronnictwo Zborowskich nie śmiało rozpoczynać walki.

Kanclerz Zamoyski, zagajając obrady, zwrócił uwagę na ważne wydarzenia, wstrząsające Moskwą, a po kanclerzu przemówił król, nawołując zebranych do obrad rozumnych i do wytępienia domowego zła, ażeby mogła zapanować zgoda i błogosławiony pokój wewnętrzny, któryby pozwolił wysiłki narodu skierować nazewnątrz ku wielkim a szczytnym zadaniom.

— Wierzajcie mi, waszmościowie, - mówił Batory,— że wiele oczu zwróconych jest na przebieg tego sejmu, choćby dlatego tylko, że wielu pragnie, aby się coś zrobiło ponad spodziewanie w tem królestwie, które uważano za przedmurze chrześcijaństwa.

Obok zapełnienia pustego skarbu, zapłaty długów Rzeczypospolitej, wypłacenia żołnierzom zaległego żołdu i opatrzenia granic przed napadami Tatarów, chodziło królowi o wykorzystanie zamieszek w Moskwie.

Ale przemówienia króla i kanclerza, o ile dotyczyły wielkich spraw i przyszłości ojczyzny, nie budziły zainteresowania. Wszystkie myśli zajęte były jedną jedyną sprawą: sądem nad Zborowskimi. „Jakaś ślepota i zapamiętałość opanowała umysły”, powiada świadek tych wydarzeń Nie chciano o niczem radzić, nad niczem się nie zastanawiano. Dopiero gdy woźny wywołał trzykrotnie nazwisko oskarżonego, a instygator koronny, Andrzej Rzeczycki, zawezwał Krzysztofa, by stawił się przed sądem, dreszcz sen-

sacji wstrząsnął zebranymi. Z zapartym tchem czekano na rozpoczęcie procesu.

Lecz oskarżony, nieobecny w sali, nie stawił się na wezwanie, natomiast wystąpił kasztelan gnieźnieński Jan Zborowski i zażądał glejtu bezpieczeństwa dla brata. Było to osobliwe żądanie, bo oskarżony szlachcic, w myśl prawa *neminem captivabimus, nisi jure victum*, był wolny do chwili wyroku. Pomimo to król przychylił się do tego żądania, a później zgodził się nawet wydać oświadczenie na piśmie, że oskarżony będzie mógł przed wydaniem wyroku wyjechać, dokąd mu się podoba. I to wszakże nie odniosło skutku. Krzysztof nie stawił się przed sądem, a jako jego zastępcy wystąpili: Jan Zborowski i znany wichrzyciel Jakób Niemojowski

Zaczęły się rozprawy.

Instygator zarzucał Krzysztofowi udział w spisku przeciw osobie króla, podburzania Kozaków, intrygi z cesarzem, konszachty z carem i zarzuty te udowadniał zeznaniami świadków oraz własnoręcznemi listami oskarżonego.

Niemojowski przeczył gołosłownie wszystkiemu i domagał się, aby Krzysztofa powołano do przysięgi i uwolniono go od wszelkiej odpowiedzialności, jeśli pod przysięgą zaprzeczy stawianym mu zarzutom. Jan Zborowski w mowie, drgającej łzami i wzruszeniem. błagał króla, aby ulitował się nad zasłużoną krajowi rodziną, nie wyolbrzymiał błędów i nie przywiązywał zbyt wiele wagi do tego, co rozżalony Krzysztof pisał w zaufaniu do swego brata, a co ma charakter skargi, ale nie spisku. Odwołując się do miłosierdzia króla i senatu, żałosnym głosem wspomniał o straceniu Sa-

muela i pytał, azali nie dosyć już kary i krwi, by nowym ciosem nieszczęśliwą familję ścigać?...

— „Słowa Jana Zborowskiego, — powiada członek owego sądu, arcybiskup Solikowski, — wywołały łzy u senatu i posłów ziemskich, tak iż jęczenie prawie powszechne dało się słyszeć”...

Ale Zborowski nie poprzestał na odwoływaniu się do łaski króla, lecz puścił się na kręte drogi wywodów adwokackich i, tłumacząc po swojemu listy brata, dowodził, że Krzysztof, ofiarując carowi swe służby, chciał służyć nie przeciw Polsce, lecz innym wrogom Iwana. Instygator Rzeczycki ośmieszył tę obronę, lecz śród senatorów mowa Zborowskiego wzbudziła współczucie. Nadaremnie przecież prymas Karnkowski i arcybiskup Solikowski wstawiali się u króla za obwinionym, nadaremnie popierali ich prośby wojewodowie Dorohostajski i sławny Filon Kmita oraz inni senatorowie. Batorego gniewało okazywane przestępcy współczucie. W gruncie rzeczy, jak o tem świadczy niechętny mu Solikowski, król nie miał zamiaru nastawać na szyję Krzysztofa, gotów był nawet okazać mu swą łaskę, ale pod warunkiem, że winowajca stanie przed sądem i ukorzy się publicznie.

Tymczasem Krzysztof, nie czekając wyroku, oddalił się z Warszawy, opuścił Polskę i na Morawach znalazł sobie schronienie, a przed sądem zjawił się krewny Zborowskich, Ossoliński i oświadczył zuchwale, że Niemojowski nie posiadał żadnego pełnomocnictwa oskarżonego, bo Krzysztof nie uznaje kompetencji sądu. Były to czyste drwiny z całej sprawy, z senatu, z króla i Rzeczypospolitej.

Oświadczenie to wyczerpało cierpliwość Stefana. Zagrała w Batorym gorąca krew węgierska, płomień

gniewu uderzył na jego twarz—i w królu zbudził się szlachcic, którego śmiertelnie obrażono. W odpowiedzi na bezczelne oświadczenie bezczelnego wysłańca, Batory, drżący z gniewu, porwał się do szabli. Ossoliński umknął czem prędzej z przed oczu wzburzonego króla, a ten zawołał później do senatorów:

— Albo uczyńcie mi sprawiedliwość, albo rozwiążcie ręce, skrępowane waszemi prawami, a sam się pomszczę swej krzywdy...

A senat chwiał się i wahał, słuchał, co mówią posłowie i nie umiał zdobyć się na decyzję. Wszakże wytrwałość króla i dowody zbrodniczych knowań Krzysztofa obudziły wreszcie sumienia. Batory opanował senat i mógł mu dyktować swą wolę.

— „Bóg widzi,—przemówił pod koniec procesu,—jak niechętnie przystąpiłem do tej sprawy, jak długo wiele rzeczy znosiłem i czekałem na upamiętanie. Wszystko napróżno. Daremnie litowalibyśmy się nad tym, kto sam nad sobą nie miał litości. A jakkolwiek ciężka jest kara infamji, gdyż nie ustaje nawet ze śmiercią, przecież ze względu na zbrodnię jest jeszcze umiarkowana. Gdybyśmy lżejszą wybrali, otworzylibyśmy tylko wrota najszkaradniejszym występkom, a nadto stalibyśmy się pośmiewiskiem postronnych narodów. Kiedym się dowiedział, że oskarżony przybył do Warszawy i gdy wielu sądziło, że uda się do mnie i będzie błagał o przebaczenie, przepowiedziałem, że nic z tego nie będzie. Byłem prawdziwym prorokiem. Chociażbyśmy najłagodniejszy wydali wyrok, jaka stąd korzyść bądź dla niego, bądź dla nas? Żadna. O nas powiedzianoby słusznie, iż jesteśmy tak ciemni, że nie pojmujemy doniosłości obrazy majestatu, lub tak trwożliwi, że dla świetności tego rodu

nie odważyliśmy się zawyrokować tego, co według praw boskich i ludzkich zawyrokować należało. A z jego strony jaka może być nadzieja poprawy, gdy już tyle złożył dowodów, że jest wyzuty z wszelkiego wstydu. Przeto gdy chce być bezecnym, niechże nim będzie"...

Dnia 22 lutego zapadł wyrok, skazujący Krzysztofa na infamję i konfiskatę dóbr, a polecający starostom schwytać winnego i natychmiast ukarać go gardłem.

Sprawa Andrzeja Zborowskiego nie była rozpatrywana Król poprzestał na jednym wyroku. Lecz przeciw temu wyrokowi grono posłów ziemskich z Mikołajem Kazimirskim na czele w pożegnalnej mowie do króla zgłosiło protestację. Z ust Batorego padły słowa ostre i gniewne, jak ongi podczas sejmu toruńskiego, gdy przestrzegał szlachtę, do czego złota wolność doprowadzić ją może. Wszakże opinja Kazimierskiego nie była opinją całej izby poselskiej. Zabrał z kolei głos Świętosław Orzelski i potępił postępek kilkunastu kolegów, krytykował sejm i „malowanych posłów", a wkońcu błagał króla, aby w ciężkiej chwili zawichrzenia ojczyzny nie opuszczał narodu.

Tak zakończył się proces, którego echa długo jeszcze rozbrzmiewały po kraju i jątrzyły umysły.

Skazanie Krzysztofa dowiodło, że w Rzeczypospolitej istnieje siła moralna i prawo stoi na straży bezpieczeństwa państwa. Miecz sprawiedliwości, wzniesiony nad głową rozzuchwalonego magnata, był groźnem ostrzeżeniem dla tych, coby ośmielali się na własną rękę prowadzić politykę i wchodzić w konszachty z wrogami ojczyzny. Lecz burza, którą sam proces wywołał, oszczerstwa, miotane ze wszystkich stron na króla-tyrana, przepełniły serce Batorego go-

ryczą i smutkiem. W testamencie, sporządzonym wkrótce po procesie, uskarża się król na nikczemne potwarze, któremi imię jego szarpano, żali się nawet, że dla Polski wyrzekł się swej ukochanej ojczyzny i nadziei potomstwa, a wzamian za to zmuszony był pędzić żywot, pełen cierpkości i smutku.

Przejmująca nuta skargi rozbrzmiewa w słowach wielkiego wojownika.

Na szczęście, żywy umysł Batorego, jego natura ruchliwa i czynna, wreszcie wielkie plany nie pozwalały mu zatapiać się w rozpamiętywaniu doznanych krzywd i przykrości; wyczerpany polityką, znużony jałowością rozpraw sejmowych, król szukał wytchnienia w swej ulubionej rozrywce. Z Warszawy, czy z Krakowa przenosił się najczęściej na Litwę, zagłębiał się w przepaścistych kniejach i w łowach na dzikiego zwierza znajdował wypoczynek. Potem świeży, rześki, jakby odrodzony, powracał do spraw państwowych i z żelazną energją zabierał się do pracy.

Wierny swej idei, ostrożny, cierpliwy, wytrwały, bacznie śledził wszystko, co się dzieje na widowni Europy, ważył wypadki i czekał chwili, by stanąć do walki z nienawistną mu Turcją.

Śmierć Iwana Groźnego skupiła uwagę króla na Moskwie. Wydarzenia w stolicy carskiej wplótł Batory w koło swych olbrzymich planów i, pozbywszy się straszliwego ciężaru, jakim była sprawa Zborowskich, postanowił przystąpić do dzieła.

A dzieło to miało zapoczątkować nową epokę w dziejach Europy.

XII.

WIELKIE PLANY BATOREGO.

Dążność do utrzymania przyjaznych z Turcją stosunków niejednokrotnie budziła podejrzenia i wywoływała wieści, ubliżające honorowi króla. Batory zżymał się, gdy dochodziły do jego uszu echa tych potwarzy i, kładąc prawicę na rękojeści szabli, mówił z niezłomną wiarą w swe siły:

— „Szabla ta pokaże kiedyś za wolą boską, jak sprzyjam Turkom i jak boleję, że ojczyzna moja jest pod ich jarzmem!"

Ale położenie polityczne Rzeczypospolitej długo wymagało okazywania sułtanowi przyjaźni. Batory w tej przyjaźni posunął się tak daleko, że kazał stracić Iwana Podkowę, a sułtana, gdy skarżył się na napady Kozaków, upewniał, że ujmie ich w żelazne karby dyscypliny, a w razie nieposłuszeństwa gotów jest wytępić ich doszczętnie.

Uważając, że siły Rzeczypospolitej i Siedmiogrodu nie zmogą potęgi tureckiej, król czekał sprzyjających okoliczności. Najbardziej zagrożonym przez Turcję był cesarz, ale sojusz z Habsburgiem nie leżał w pla-

nach Batorego. Na chwilę bowiem nie przestał on marzyć o tem, by z pod władzy cesarskiej wyrwać Węgry północne i zjednoczyć rozszarpaną ojczyznę. Więc i cesarz Rudolf miał się na baczności. Nie ufając Stefanowi, przez dobrze opłaconych szpiegów starał się dowiadywać o każdym kroku króla. Nadaremnie w takich warunkach dyplomacja papieska starała się o pogodzenie obu monarchów. Wiedziano w Wiedniu o spisku panów węgierskich, którzy Batorego chcieli ogłosić swym królem. Nadto pomiędzy Rudolfem a Stefanem toczył się głośny spór o dobra Szatmar i Nemeth, których zwrot uważał król za sprawę swego honoru, a cesarz długo wahał się i namyślał, nim zdecydował się zaproponować odszkodowanie.

Pomimo piętrzących się trudności Batory, wielki partjota węgierski, nie przestaje myśleć o wojnie z Turcją i o zjednoczeniu całych Węgier. Ale jest cierpliwy i czeka sposobności.

W roku 1578 pisze do jednego ze swych powierników:

— „Pamiętam o tem, czego odemnie wymaga miłość ojczyzny i mojej rodziny. Wszystko dla ojczyzny, nawet śmierć jest dobra. Ale potrzeba mocnych podwalin, bo sobie zgotowałbym bezowocną pracę i złą sławę, a ojczyźnie olbrzymie niebezpieczeństwo. Trzeba czekać na sposobność i prosić Boga, aby dał mi powód i środki, bym się mógł przyczynić do dobra i utrzymania ojczyzny”...

Chorowity Rudolf nie rokował nadziei długiego życia. Więc roił sobie Stefan, że bez rokoszu mogliby go Węgrzy po śmierci Rudolfa ogłosić swym królem.

— „Przyjdzie czas oswobodzenia Węgier!” — pisze w tym-że liście, a pewność siebie bije z każdego słowa.

Ale bez zwycięstwa nad Turcją nie może być mowy o całkowitem wyzwoleniu Węgier. Rzym, pragnący zjednoczyć wszystkie państwa chrześcijańskie przeciw sułtanowi, wie o tem dobrze i tem większe nadzieje pokłada w Batorym. Dzielny a wojowniczy król polski staje się w oczach dyplomacji papieskiej mężem opatrznościowym. On ma dać hasło do wyprawy na Turcję, stanąć na czele lądowych sił Europy i rozpocząć śmiertelną wojnę z niewiernymi. W drugiej połowie 1582 roku nuncjusz papieski Bolegnetti szeroko omawia ze Stefanem plan ligi chrześcijańskiej przeciw Turcji. Król całem sercem sprzyja temu planowi, lecz jest nietylko statystą i płomiennym patrjotą węgierskim: jest jeszcze znakomitym wojownikiem. Zna dobrze potęgę wojenną Turcji, jej wielkie środki materjalne, nieograniczoną władzę sułtana oraz karność i bitność jego wojsk niezliczonych. Sądzi, że doprowadzenie do skutku ligi nie jest łatwem przedsięwzięciem. Powiada, że nie można brać pod uwagę młodego i chorowitego cesarza, niepodobna liczyć na pomoc pokłóconej z Hiszpanją Francji, ani na potężnego króla Hiszpanji, której bezpośrednio nie zagraża Turcja. Poróżnieni są ze sobą monarchowie chrześcijańscy, wojska ich wiele pozostawiają do życzenia, a wszechwładny sułtan posiada sam jeden olbrzymie a karne zastępy wojowników, na nikogo może się nie oglądać i z nikim nie potrzebuje się liczyć. Nie odrzuca Stefan projektu, ale żąda, by papież zjednoczył chrześcijaństwo, a wtedy i Rzeczpospolita stanie do apelu.

Rzym zaczyna marzyć o pozyskaniu dla swych planów Iwana, o połączeniu sił Polski i Moskwy, ale, jak wiadomo, misja Possewina nie daje rezultatów. Więc plan ligi nie przestaje być w Rzymie aktualnym.

Pomiędzy Grzegorzem XIII a Batorym znowu pośredniczy Possewin. Papież liczy na Wenecję, na Hiszpanję i na znaczniejszych książąt włoskich, nie wątpi, że uda mu się pozyskać wkońcu cesarza i cara, ale duszę całego przedsięwzięcia widzi w Batorym. Król zapytany, z jakiemi siłami gotów byłby przystąpić do ligi, odpowiada, że Polska mogłaby bez trudu wystawić 30.000 jazdy i 10.000 piechoty, a gdyby do sprawy zabrać się z całego serca, to możnaby siłę zbrojną Polski powiększyć do 100.000 żołnierza. Siedmiogród mógłby dostarczyć 20.000. Wszakże ostrożność w obliczeniach króla wspólne siły Rzeczypospolitej i Siedmiogrodu sprowadza do 50.000. Batory podejmuje się i z taką siłą ruszyć przez Wołoszczyznę i Bułgarję aż pod same mury Konstantynopola, oczywiście pod warunkiem, że w wojnie wezmą udział inne państwa chrześcijańskie. Ma jednak wielkie wątpliwości, czy liga dojdzie do skutku i czy wytworzy się taki stan rzeczy, by z czystem sumieniem mógł wezwać do walki i Polskę i Siedmiogród. Powtarza ciągle, że do wojny z Turcją trzeba przygotować ogromne środki materjalne i siły ludzkie, albowiem,—powiada, — „ludzie na wojnie nie rodzą się, lecz umierają”. Dyplomacja Rzymu walczy z mnóstwem trudności, sprawa ligi natrafia na trudności coraz większe.

Król rzuca ostrożnie myśl inną:

Wielką rolę w wojnie z Turcją mogłaby odegrać Moskwa, lecz na cara niepodobna liczyć. Gdyby jednak kiedyś na tronie moskiewskim zasiadł król polski, wtedy, rozporządzając zasobami dwu wielkich państw, mógłby zniszczyć potęgę turecką. Do myśli tej król stale powraca, niejednokrotnie mówiąc nuncju-

szowi, że najpewniejsza droga do Konstantynopola prowadzi przez Moskwę.

Śmierć Iwąna Groźnego spowodowała następstwa, sprzyjające śmiałym planom króla.

Na tronie carskim zasiadł Fiedor, o którym bawiący w Moskwie Lew Sapieha pisał, że „rozumu ma barzo mało, albo nic". Car bez własnego zdania, bez energji i woli, słaby, chwiejny, upośledzony na umyśle, nie budził szacunku, ni grozy. W jednej chwili wyprostowali się przygnieceni do ziemi żelazną stopą Iwana bojarowie i rozpoczęli walkę o wpływy i władzę. W stolicy doszło do rozruchów. Wtedy to Lew Sapieha pisał do króla, że ziemię moskiewską ogarnęła zawiść i niezgoda, że nigdy nie było lepszej sposobności do jej podboju, że sami Moskale oczekują kroków wojennych ze strony Polski, że gotowi są na wielkie ustępstwa i spodziewają się wkrótce ujrzeć Batorego w murach swej stolicy.

Pod wpływem tych wiadomości król Stefan oblicza swe siły i zastanawia się, w jaki sposób przystąpić do dzieła. Brak środków pieniężnych staje się główną jego troską.

— O! gdybym miał pieniądze! — odzywa się do Possewina, który dzieli troski króla i płonie jego wielką myślą.

Nadaremnie jednak jezuita czyni wysiłki, by skłonić Rzym do współdziałania z Batorym. Grzegorz XIII jest politykiem ostrożnym, pragnie zgody monarchów chrześcijańskich, nie sprzyja nowej wojnie z Moskwą. Possewin chce jechać do Rzymu, by szczegółowiej wielkie plany omówić, pragnie zarazem wystarać się o zasiłki pieniężne dla króla w Wenecji i u w. ks. toskańskiego. Wysłaniec papieski robi, co może,

a pobudza go do czynu Zamoyski, dowodząc, że Turcja zbiera swe siły przeciw Moskwie, że w istniejącym stanie rzeczy łatwo może ją opanować. Gdyby zaś do tego doszło, Polska z dwu stron byłaby osaczona przez Turcję, a to mogłoby pociągnąć za sobą najfatalniejsze skutki tak dla Rzeczypospolitej, jak dla całego chrześcijaństwa. Jezuita, znajdujący się pod urokiem króla, stara się osobiście przekonać Rzym o konieczności przyjścia Batoremu z pomocą. Ale otrzymuje polecenie, by nie opuszczał Polski. Co więcej! projekt starania się o środki pieniężne dla króla uznano w Rzymie za niestosowny.

Batory nie zraża się stanowiskiem papieża. W sierpniu 1584 roku zwołuje senatorów na walną radę do Lublina, „ponieważ takie sprawy przypadły, które niecierpią żadnej zwłoki, ani do sejmu odłożyć się ich nie godzi". Nieszczęsna sprawa Zborowskich krzyżuje wysiłki Stefana. I sejm styczniowy 1585 roku niemal wyłącznie tej sprawie poświęca swą uwagę. Posłów Fiedora, co przybyli na sejm z propozycją pokoju, król przyjmuje zimno, oświadczając, iż zgodzi się na rozejm dziesięcioletni, ale pod warunkiem, że Nowogród, Psków, Wielkie Łuki, Smoleńsk i Siewierz przyznane będą Litwie.

— „Ojciec Fiedora, — powiada groźnie Batory, — nie chciał mnie znać, lecz poznał. Z synem będzie to samo!"...

Ale sejm, do którego należało zawieranie przymierzy, odrzucił wnioski króla i przedłużył z Moskwą rozejm na dwa lata, żadnych nie stawiając warunków. Wtedy Zamoyski zaprosił do siebie posłów carskich i w myśl planów króla tak przemówił:

— Książę wasz jest chory, nie możecie oczekiwać po nim potomstwa. A jeśli pozostaniecie bez głowy, staniecie się łupem Turków i Tatarów.

Wobec tego zapytywał, czy w razie śmierci w. księcia, nie chcieliby Moskale połączyć się z Polską na tych samych zasadach, co Litwa. Wskazywał na sąsiedztwo granic, pokrewieństwo języków, mówił o swobodzie wyznania i przed oczyma wysłańców carskich świetne otwierał horozynty. Lecz posłowie nie chcieli się wypowiedzieć, twierdząc, że nie mogą mówić o niczem, czego nie przewiduje instrukcja. Proponowali tylko, by król wysłał do Moskwy posłów, a car Fiedor chętnie ich wysłucha.

Tymczasem zaszły wypadki, które dla zamiarów króla miały ogromne znaczenie. Oto w kwietniu 1585 roku zmarł Grzegorz XIII, a miejsce jego zajął Sykstus V, mąż rzutki, energiczny, skłonny do przyjęcia planów rozległych i śmiałych. Batory wszedł zaraz z nowym papieżem w najściślejsze stosunki, a do Moskwy wysłał za zgodą senatorów Michała Haraburdę. Król zaniepokojony był wieścią, że agenci austrjaccy zabiegają o tron moskiewski dla arcyksięcia Maksymiljana. Haraburda miał zbadać sprawę i zarazem traktować z bojarami w sprawie unji z Moskwą. Jakoż poseł proponował układ, którego mocą Polska i Litwa miały na zawsze połączyć się z Moskwą. Jeśliby wpierw umarł Batory, to na tron polski miał wstąpić Fiedor, a jeśliby wpierw umarł Fiedor, to Batory zasiadłby na tronie moskiewskim. Lecz Moskale odparli, że nie godzi się mówić im o śmierci ich pana, a w późniejszej naradzie ponawiając swe oświadczenie, dodali, że o propozycji usłyszanej donieśli metropolicie, arcybiskupom, biskupom i całemu soborowi,

a metropolita z całym soborem pod groźbą klątwy zabronił im mówić o rzeczy tak strasznej, jaką jest śmierć cara.

Król, straciwszy nadzieję, by na drodze układów mógł porozumieć się z Moskwą, postanowił chwycić się miecza.

Sykstus V, acz równie jak jego poprzednik pragnął utrwalić pokój między Polską a Moskwą, przechylił się wkońcu na stronę planów Batorego, obiecał go wspierać w wielkiem przedsięwzięciu i przysłał nawet jako pierwszy zasiłek 25.000 dukatów. Stefan zwołał sejm walny na luty 1587 roku, a jak świadczą pisarze współcześni, zarówno oddany królowi Hejdensztejn, jak nieprzychylny mu Solikowski, tym razem wojenne plany króla mogły liczyć na uznanie. Przestano w Rzeczypospolitej lękać się Moskwy, a świetne perspektywy, jakie nowa wojna otwierała, olśniewały szlachtę.

— „Umysły ludzkie wielce się odmieniły. Podatki na wojnę ochoczo miano uchwalić” — pisze Solikowski.

— „Wszyscy do zamysłów króla się przychylali”,— świadczy Hejdensztejn.

Nowy wiatr powiał po rozległych ziemiach Rzeczypospolitej. Miecz sprawiedliwości wzniesiony nad zbiegłym Krzysztofem Zborowskim, opamiętał niesfornych magnatów. Wiedziano już, że z warchołami, gotowymi posunąć się do zdrady, król żartować nie będzie. A wobec wielkości jego planów przestała syczeć zawiść, ucichły na chwilę wyrzekania i skargi. Naród uwierzył w króla. I w samej Moskwie nie wątpiono, że Batory zatknie niebawem swój zwycięski sztandar na murach Kremlinu. Niejeden z bojarów

radośnie oczekiwał tej chwili. Wszechwładnie rządzący za bezwolnego cara Borys Godunow, tępiący bezlitośnie swych wrogów, budził śród wielu Moskali głuchą nienawiść. Przed tyranją krwawego wielkorządcy coraz więcej zbiegów moskiewskich szukało schronienia na gościnnych ziemiach Rzeczypospolitej.

Wszystko zdawało się sprzyjać wielkim zamiarom.

Pod dobrą wróżbą zwołany został sejm na początek 1587 roku.

Zbliżała się godzina wielkiego czynu. Zwycięska wojna z Moskwą, a potem krucjata państw chrześcijańskich przeciw Turcji pod przewodnictwem Polski z jej bohaterskim królem na czele, oto wobec jakiego zadania stawała Rzeczpospolita, a z nią cała Europa! A ostrożność Batorego, jego przezorne obliczenia, jego ocena potęgi tureckiej, wreszcie jego wytrwałość, męstwo i genjusz wojenny wróżyły powodzenie tym epokowym dla dziejów świata zamiarom. Nigdy większych i śmielszych planów nie podejmowała Polska i nigdy nie stała w obliczu tak doniosłego zadania!

Sejmiki, obradujące w grudniu 1586 roku, powolne były tym razem życzeniom króla. Wieść, że za Batorym stoi wpływowy a energiczny Sykstus V, musiała oddziaływać na umysły szlachty i zapalać ją do wielkiego dzieła.

Śród takich okoliczności, jak grom gruchnęła wiadomość, że dnia 12 grudnia 1586 r. król Stefan Batory zmarł w Grodnie.

Wraz ze śmiercią króla runęły w gruzy jego epokowe plany.

ZAKOŃCZENIE.

Wielki król, wielkiemi sprawami pochłonięty, miał jedną tylko żyłkę, jedną namiętność, której oddawał się z ogromnem upodobaniem, a która stała się podobno przyczyną jego śmierci. Był zapalonym, opiewanym w pieśniach myśliwcem. Tak w czasie pokoju, jak na wojnie nie umiał odmówić sobie ulubionej rozrywki, aczkolwiek nigdy dla niej nie zapominał o swych obowiązkach. Gdy okoliczności nie pozwalały zabawiać się dłużej, często o zmroku, przed wschodem słońca zapuszczał się w knieje i powracał z upolowaną zwierzyną, gdy wszyscy jeszcze byli pogrążeni we śnie. W czasie łowów nieraz spotkała króla przygoda. W lutym 1586 roku, przebywając w puszczy niepołomickiej, omal nie postradał życia. Oto pod ciężarem sani i koni pękł lód na bagnisku, przez które przejeżdżał. Konie zapadły się w wodę, król omal nie utonął. Służba wraz z dworzanami rzuciła się na ratunek, ale Batory, widząc niebezpieczeństwo, na jakie mogliby się narazić ratujący, stanowczym głosem zabronił komukolwiek zbliżać się do siebie i o własnych siłach, wlokąc się z trudem na brzuchu po pękają-

cym lodzie, dobrnął szczęśliwie do brzegu. W grudniu 1586 roku, polował kilka dni w borach litewskich, nie zważając na silne mrozy i wiatry przejmujące. Przeziębił się i chory przyjechał do Grodna. Dwaj lekarze królewscy Simonius i Buccela, nie mogąc się zgodzić na określenie choroby, kłócili się zawzięcie, a tymczasem król dogorywał.

Nagła śmierć wywołała mnóstwo najrozmaitszych pogłosek i plotek. Wieść niosła, że króla otruto, a trwająca długi czas po jego zgonie kłótnia między dwoma lekarzami, budziła niezdrową ciekawość i sensację. Istotna przyczyna śmierci pozostała nieznana i prawdopodobnie nigdy już wyświetlona nie będzie. Podobno król, mimo wielkich sił fizycznych i ciała krzepkiego a zahartowanego, jak stal, cierpiał oddawna na jakąś tajemniczą chorobę, miewał ataki epilepsji, a odniesiona w młodych latach rana na lewej nodze nigdy się nie zabliźniała.

Zwłoki Batorego blisko półtora roku spoczywały w Grodnie. Dopiero w końcu maja r. 1588 sprowadzono je do Krakowa i uroczyście pochowano w katedrze na Wawelu. Przy biciu dzwonów ze wszystkich kościołów ruszyły ku trumnie olbrzymie procesje i jako orszak żałobny uszykowały się na czele pochodu. Zkolei posuwała się piękna a bogato przystrojona jazda, za nią maszerowali z rozwiniętemi sztandarami chorążowie ziem i województw. Dalej kroczyli senatorowie z godłami królewskiemi: mieczem, jabłkiem, berłem i koroną. Wóz żałobny ciągnęło 12 koni, przykrytych kapami z czarnego jedwabiu. Trumnę pokrywał również czarny całun, ozdobiony pośrodku złototkanym krzyżem. Po bokach trumny szli dworzanie z płonącemi pochodniami. Tuż



POMNIK STEFANA BATOREGO W KATEDRZE NA WAWELU.

za wozem jechał rycerz z dobytym mieczem, a za nim, jak chciał obyczaj, na wspaniałym, a z przepychem przybranym koniu, sunął jeździec, mający wyobrażać postać zmarłego króla. Następnie w otoczeniu posłów zagranicznych szedł nowy król polski, Zygmunt III Waza, a za nim, podtrzymywana przez dwóch bratanków Batorego, postępowała królowa Anna. Senatorowie, rycerstwo i tłumy ludu zamykały orszak żałobny.

Śród przejmującego jęku rozkołysanych w stolicy dzwonów zwłoki wniesiono do katedry. Po mszy świętej kanonik krakowski, ks. Hieronim Powodowski wygłosił mowę żałobną, po której, jak nakazywał ceremonjał ówczesny, rzucono na ziemię godła królewskie, pokruszono pieczęcie i strzaskano kopję. Trumnę ze zwłokami włożono do grobu.

Blisko lat trzysta w tem samem miejscu spoczywały prochy Batorego. Dopiero w r. 1877 przy częściowem odnawianiu katedry, natrafiono pod pomnikiem króla Stefana na ozdobną trumnę cynową, w której mieściła się druga, drewniana. Gdy odchylono spróchniałe wieko tej drugiej, oczom patrzących ukazały się szczątki królewskie. Dobrze zachowana czaszka, spoczywająca na aksamitnej poduszce, nakryta była takąż aksamitną czapeczką, którą ozdabiała wycięta ze srebrnej blachy korona. Zwłoki przykryte były po piersi kapą ze złotogłowiu. Po prawej stronie obok berła spoczywała sławna szabla Batorego. Na widok tych szczątków i pamiątek, głębokie wzruszenie ogarnęło nielicznych uczestników uroczystości. Zajęto się naprawą obu trumien i wraz z prochami umieszczono je 29 sierpnia 1877 roku w grobach królów polskich.

Jakże zmieniły się czasy od owej chwili, gdy w obecności Zygmunta III wnoszono zwłoki króla Stefana na Wawel!

Wokoło grobu wielkiego wojownika i całej katedry roztasowali się żołnierze cesarza, potomka tych samych Habsburgów, których Batory był wrogiem nieubłaganym, a którzy całkowicie opanowali jego ojczyznę i, zgodnie z odwiecznem dążeniem zaborczej dynastji, zagarnęli pod swe berło część rozszarpanej Polski.

Dzisiaj wiekuistego spoczynku już nie zakłóca królowi zgiełk żołnierzy cesarskich.

* *
*

Śród wielkich statystów i wodzów, co wpływ na losy narodu wywarli, Stefan Batory należy do postaci przodowniczych. Pod każdym względem był to mąż niezwykły. Szlachcic węgierski, wyniesiony ze skromnego wojewody na jeden z najpierwszych tronów w Europie, dbał wielce o godność monarszą, umiał swój majestat królewski otaczać wspaniałością, umiał imponować dziedzicznym monarchom, ale umiał również być oszczędnym, prostym i skromnym. Prostota, największa ozdoba ludzi wielkich, była wybitną cechą Batorego. Osobiste jego potrzeby, jak świadczą współcześni, należały do najumiarkowańszych. Poprzestając zawsze na małem, w czasie wojny żył po spartańsku. Nigdy nie unikał trudów najuciążliwszego pochodu i nie szukał wygód. Jako nocne schronisko wystarczał mu polowy namiocik, w którym nie było ni ławki, ni stolika. Dzieląc dolę żołnierską, zadowalał się prostą strawą, a gdy w dzień pragnął odpocząć, kładł się do

snu na gołej ziemi, lub co najwyżej pozwalał usłać sobie posłanie z chrustu, przysypanego listowiem. Widziano nieraz króla, jak pozostawiwszy za sobą kredense i kuchnie, wydobywał z torby zimne mięsiwo, czasem zwykłą żołnierską wędzonkę i jadłem swojem dzielił się po koleżeńsku z towarzyszami broni. W czasie bitwy nie narażał się bez potrzeby, ale nie unikał niebezpieczeństw i nieraz śród gradu pocisków imponował otoczeniu olimpijskim spokojem. Kochał się w czynach rycerskich, cenił męstwo i odwagę, a mieszczan i chłopów za zasługi na placu boju wynosił do godności szlacheckiej. Lubił ludzi uczonych, sam słynął, jako mąż światły i wykształcony. Wolne chwile poświęcał polowaniu lub książkom. W pracy był zapamiętały, w wymowie zwięzły i prosty. Nie lubił słów szumnych, nienawidził gadulstwa Polaków. W instrukcjach na sejmiki prosił nawet szlachtę, by nie wybierała posłów-gadułów, bo ci i przed trzema wiekami byli plagą życia publicznego w Polsce. Jak ognia wystrzegał się samochwalstwa i wszelkiej próżności. Przeglądając notaty swego posła, który miał książąt niemieckich zawiadomić o zawartym z Moskwą pokoju, wykreślił własnoręcznie zbyt samochwalcze ustępy.

— „Unikajcie nawet cienia próżności, — powiedział, — i zostawcie te rzeczy innym, aby je opowiadali!”...

Z Polakami porozumiewał się po łacinie, którą władał wybornie, ale uczył się języka polskiego. Pod koniec roku 1581 dokładnie już rozumiał, co mówią posłowie, lecz publicznie nie przemawiał po polsku. Sądził, że król wszystko powinien czynić bez zarzutu, a nie doszedł jeszcze do takiej biegłości w polszczy-

źnie, aby mógł bez przygany z mową w języku polskim wystąpić. /

Wielki patrjota węgierski, nigdy jako Węgier nie sprzeniewierzył się obowiązkom króla polskiego. Bolejąc nad strasznym losem swej ojczyzny, chciał wyzwolić Węgry i gotował się do śmiertelnej z Turcją rozprawy, ale widział w swym planie pożytek i sławę Rzeczypospolitej. Służył Polsce całem sercem, nie żałując sił, zdrowia i mienia. Nie było w tem przesady, gdy zapewniał, że „dla dobra sławnej tej korony i wielkiego księstwa litewskiego" chętnie „krew swą przeleje i zdrowie swe położy"..

Dziesięcioletnie panowanie Batorego świadczy, że sam poprzestając na małem, nie szczędził siebie, by Polskę uczynić silną i sławną.

W epoce niesłychanych okrucieństw, w epoce morderstw i prześladowań, szalejących niemal w całej Europie, w dobie, kiedy na tronach zasiadali Iwan Groźny i Filip II, król Stefan był niewątpliwie najłagodniejszym i najbardziej ludzkim czasów swoich monarchą. A jednak żaden z ukoronowanych morderców i okrutników nie wysłuchał tylu, co Batory obelg i zarzutów. Krzyczała szlachta, że jest tyranem. Wrogowie króla puszczali w obieg potwarze pisemka, nazywali go katem wolności szlacheckiej, widzieli w nim krwawego despotę. Zbigniew Ossoliński cieszył się w swym pamiętniku ze śmierci króla-tyrana, a długo jeszcze po zgonie Batorego nie przestawały rozbrzmiewać oszczerstwa, poniewierające jego cześć i pamięć.

Ile król musiał przecierpieć, jaką goryczą przepełnione było jego serce, świadczy o tem fakt, że gdy mu doradzano, by na następstwo po sobie zalecił

bratanka Andrzeja, odrzucając te rady, odpowiedział posępnie:

— Nie chcę go wydać na jatki!...

Nieraz przecież oddawano Batoremu pełną sprawiedliwość. Jan Januszewski, witając go po powrocie z wyprawy połockiej, podniosłemi słowy wychwalał przymioty charakteru i duszy wielkiego wojownika.

— „W tobie, — mówił, — najdzie każdy to, co w każdym cnym królu znaleźć potrzeba. Jest rozum, jest czujność, jest umiarkowanie rzeczy, jest sprawa, jest biegłość, łaska i dobrotliwość i szczęście wielkie, a co większa! jest w tobie płomień prawej wiary pałający, jest grunt wszystkich rzeczy dobrze usadzony, który cię przystojnie pomazańcem bożym czyni i to w tobie sprawuje, że wszyscy wyrodkowie słusznie ciebie się bać i wstydać muszą... Tyś przywrócił Koronie wolność i swobodę i odgromiłeś jej nieprzyjacioły. Tyś ratował upadłą, uweseliłeś smętną, obroniłeś zewsząd ogarnioną i granic jej własnych częścią doszedł, częścią przeszedł, częścią jeszcze dochodzisz, tak że za ciebie prawie na nogi powstaje i takąś ją prawie światu wszystkiemu okazał, że snać i kraje postronne jedne nas i ciebie błogosławionym być opowiadają, drudzy pod obronę i skrzydła twoje garną się, trzeci zaś przed tobą się lękają i miasta swe i granice mocno opatrują!”...

Inny ze współczesnych, prymas Karnkowski nazajutrz po śmierci króla pisał, że „porwany jest zpośród nas ten, w którym teraz złożone były nadzieje i powszechne zbawienie nas wszystkich”.

A Sykstus V, dowiedziawszy się o zgonie Batorego zawołał wzruszony:

— „Izrael stracił zbawiciela!”

I w mowie do kardynałów sławił Stefana, nazywając go królem wielkodusznym i dzielnym monarchą, który nie upadał na duchu śród przeciwności losu, nie cofał się przed niebezpieczeństwami, a ważył w swej głowie wielkie i rozległe plany.

W dziejopisarstwie polskiem różnie oceniano Batorego. Największy z historyków naszych, Lelewel zarzucał mu, że starał się w Polsce republikańskiej utwierdzić zasady monarchizmu, że, zastraszywszy szlachtę, zapoczątkował rozterkę, która później przyprawiła kraj o opłakane zgiełki i zawichrzenia. Tadeusz Korzon odmówił mu nawet nazwy wielkiego wodza i widział w nim tylko zdolnego oficera. Natomiast badacz i znawca wojskowości polskiej, K. Górski nazywa Batorego genjuszem wojennym, a większość dziejopisów zalicza go do największych i najdzielniejszych królów i stawia go tuż obok Bolesława Chrobrego!

To pewna, że jak każda potężna indywidualność, miał i król Stefan popędy despotyczne. Niezawsze liczył się z prawami, których strzec był winien, a chcąc ukrócić swywolę magnatów, wbrew prawu i z pozostawieniem cienia na swej pamięci wydał Samuela Zborowskiego na ścięcie. W Inflantach, dając powodować się jezuitom, nie wykazał tego ducha tolerancji, jaką słynęła i przyciągała ku sobie ludy Polska Jagiellonów. W kraju, garnącym się do Rzeczypospolitej, wywołał swem postępowaniem niezadowolenie, dopuścił do zamieszek i buntów. I w stosunku do kozaków niezawsze miał rękę szczęśliwą. Grożąc im pomstą za napady na Turków i Tatarów, wywołał taki gniew śród mołojców, że poseł królewski Głębocki, wysłany na Sicz z ostatniem ostrzeżeniem, porwany

został przez rozjuszonych kozaków i siłą wrzucony do Dniepru.

Popełniał Batory błędy w polityce wewnętrznej, być może, że jako wódz również nie wolny był od zarzutu. Ale faktem pozostanie, że on był twórcą i duszą tak planów, jak wiekopomnych wypraw na Moskwę, że był wskrzesicielem sławy rycerstwa polskiego i wychowawcą wojennym całego pokolenia, które już po jego śmierci zasłynęło zwycięstwami, co podziw świata budziły.

A już wyłącznie jest Batorego zasługą, że nie pozwolił spać i gnuśnieć narodowi, że umiał z tego narodu wykrzesać święty płomień zapału i porwać go do czynu. On pierwszy w tym narodzie dostrzegł w całej rozciągłości straszliwe niebezpieczeństwo, idące ku Rzeczypospolitej od Moskwy i, nie ustraszywszy się potęgi cara, poniósł miecz zwycięski w jego posiadłości. Zrozumiał, powiada o Batorym autor największego i najnowszego dzieła o Iwanie Groźnym, K. Waliszewski, „że ta Polska ucywilizowana, ogładzona, liberalna, warcholska i katolicka musiała albo pochłonąć swego wielkiego sąsiada i narzucić mu swą kulturę i swój ustrój polityczny, lub też zostać przez niego pochłoniętą".

Zupełne zwycięstwo Rzeczypospolitej miało zapoczątkować współżycie z Polską jeszcze jednego narodu, zupełne zwycięstwo Moskwy musiało sprowadzić na naród polski sromotną niewolę. Batory chciał rozstrzygnąć to wielkie zagadnienie dziejowe, a wszystko świadczyło, że rozstrzygnie je na korzyść Polski.

„Rosja, — pisał szowinistyczny dziejopis rosyjski Karamzin, — nienawidziła Batorego, ale darzyła go szacunkiem, gdyż on, będąc wrogiem naszym, dopeł-

niał tylko powinności, jaką monarsze wskazuje dobro kraju"...

Tę powinność rozumiał król Stefan, jak żaden z jego następców.

Bez idei marnieją ludzie, narody i państwa.

Batory, dla którego wojna z Moskwą była w jego monumentalnym systemie politycznym dopiero początkiem całego szeregu dzieł epokowych, rozpalając na szarem niebie polskiem gwiazdę wielkiej idei, nie był fantastą, lecz politykiem wyrachowanym, obliczającym zimno widoki powodzenia. Ten bezczeszczony za życia i po śmierci król polski wierzył i w naród, i w siebie, i w sprawę, której wszystkie siły a nawet życie gotów był poświęcić.

Ani mądry jego poprzednik, ani jego małoduszny następca nie mogli odegrać tej olbrzymiej roli, do jakiej czuł się powołanym Batory.

Zygmunt August, twórca nieśmiertelnej unji, był politykiem niepospolitym, ale nie posiadał ni hartu duszy, ni woli Stefana. Mądrej dyplomacji ostatniego Jagiellona nie wspierał miecz, gotowy do ciosu. Naród za tego króla lękał się potęgi moskiewskiej, ale nie chciał z nią walczyć. A Iwan Groźny czuł swą nad Zygmuntem Augustem przewagę i aż po Wisłę wyciągał krwawe i drapieżne szpony. Dopiero Batory poskromił zapędy moskiewskiego tyrana i programowi jego własny przeciwstawił program.

Zygmunt III, mały następca wielkiego króla, odwrócił się od idei swego poprzednika. Podobnie jak Batory zdobywszy tron polski w walce z Habsburgami, nie miał odwagi przeciwstawić się dążeniom zdradliwej dynastji, lecz zabiegał o jej przyjaźń, a ta przyjaźń drogo kosztowała Rzeczpospolitą. I podobnie

jak Batory rozporządzał dwoma państwami, lecz nie umiał znaleźć dla obu wspólnej drogi i idei wspólnej. Polakiem był w Szwecji a Szwedem w Polsce. Stracił Szwecję i oba narody uwikłał w długoletnie wojny. Król Stefan zdusił samowolę magnatów, król Zygmunt rozpętał ją nanowo. I mimo sprzyjających okoliczności nie wznowił planu Batorego w stosunku do Moskwy.

Ale idee wielkiego króla żyły w pamięci ludzkiej, zwłaszcza śród tych, co należeli do jego powierników. A jednym z tych powierników był rycerz, cieszący się tak ze względu na swą głowę, jak szablę, wielkiem uznaniem króla i kanclerza. Ten skorzystał z zawieruchy, szalejącej na ziemi moskiewskiej i, odniósłszy świetne nad Moskalami zwycięstwo, wkroczył do stolicy carskiej, zasiadł na Kremlinie i rządził Moskwą, a lud moskiewski bił mu czołem i słuchał jego rozkazów.

Tym znakomitym rycerzem był późniejszy hetman i kanclerz wielki koronny, Stanisław Żółkiewski.

Małoduszność Zygmunta III unicestwiła wspaniałe owoce świetnego zwycięstwa i mądrej polityki hetmana.

Więc mężowie, co jak Żółkiewski w dalszą spoglądali przyszłość, z głębokim smutkiem rozmyślali o braku woli kierowniczej i wielkiej idei przewodniej, która przyświecała Polsce, gdy na sławnym tronie zasiadał Stefan Batory.

A w miarę tego, jak bladła powaga Rzeczypospolitej, jak nierząd rozprzęgał jej życie, jak coraz groźniejsze niebezpieczeństwa waliły się na jej rozkołatane ściany, wspomnienie dzielnego króla stawało się coraz droższem pozbawionemu wielkich przywódców narodowi.

Granitowa postać Batorego olbrzymiała w perspektywie czasu.

Wielbiciel Juljusza Cezara nosił niewątpliwie w swych piersiach iskrę owego genjuszu, co pożar dziejowy rozpala i na losach świata waży.

Przedwczesna śmierć zgasiła tę iskrę.

Koniec.

LITERATURA.

Monografji Stefana Batorego literatura nasza dotychczas nie posiada, acz same ogłoszone drukiem materjały są bardzo bogate i pozwoliłyby już dzisiaj na napisanie wyczerpującego dzieła o Batorym i jego panowaniu. Praca prof. Wincentego Zakrzewskiego p. t.: S t e f a n B a t o r y, jak objaśnia podtytuł, jest „przeglądem historji jego panowania i programem dalszych nad nią badań". Pierwotny tytuł tej pracy, drukowanej w „Przeglądzie Polskim", brzmiał: „Jak należałoby badać dzieje Stefana Batorego?" Cenne to dzieło, zwraca uwagę na kwestje najmniej zbadane, stawia szereg pytań, które należałoby rozwiązać. Ale nie jest w ścisłem znaczeniu tego słowa monografją Stefana Batorego. Niewielka, lecz źródłowa, zawierająca sporo cennych szczegółów biograficznych rozprawa ks. Zalęskiego pisana jest, jako „psychologiczne studjum nad Batorym", a zajmuje się głównie stosunkiem króla Stefana do kościoła. Dużo nowych szczegółów, dotyczących panowania Batorego, dostarcza w swych szkicach Pawiński; na ważne zagadnienia zwraca uwagę w przedmowie do opublikowanych materjałów, odnoszących się do spraw wojennych Batorego, ks. Ignacy Polkowski. Autorowie dawniejsi, jak Albertrandy, Szlachtowski poprzestawali na kronikarzach z epoki Batorego. Praca niniejsza, pisana dla szerokiego ogółu, opiera się jedynie na źródłach, ogłoszonych już drukiem i na ważniejszych opracowaniach, nie ma też pretensji do wyczerpania tak bogatego tematu, jakim jest postać i panowanie Stefana Batorego.

Poniżej wykaz źródeł i dzieł, któremi autor posiłkował się przy pisaniu pracy niniejszej.

I. Źródła dziejowe w wydaniu Adolfa Pawińskiego: **Stefan Batory pod Gdańskiem w 1576 – 7 r.** Tom III. Listy, uniwersały, instrukcje. Warszawa, 1877. — **Początki panowania w Polsce Stefana Batorego 1575 – 7 r.** Tom IV. Listy, uniwersały, instr. Warszawa, 1877. — **Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego.** Tom VIII. Warszawa. — **Akta metryki koronnej co ważniejsze z czasów Stefana Batorego.** Tom. XI. Warszawa 1882. — **Sprawy wojenne króla Stefana Batorego.** Diarjusze, relacje, listy i akta. — **(Acta historica res gestas Poloniae illustrantia).** Zebrał i wydał X. Ignacy Polkowski. Kraków, 1887. — **Pamiętniki do historji Stefana, króla polskiego...** z rękopismów zebrane i wydane przez Edwarda hr. Raczyńskiego. Warszawa, 1830.— M. Bielski. **Dalszy ciąg kroniki polskiej...** od 1587 do 1598 r. Warszawa, 1851. — Rajnolda Hejdensztejna: **Dzieje Polski od śmierci Zygm. Augusta do r. 1594.** Tom I—II. Petersburg, 1857. — Jana Dymitra Solikowskiego: **Krótki pamiętnik rzeczy polskich...** Petersburg i Mohilew, 1855. — **Bezkrólewia ksiąg ośmioro, czyli dzieje polski od zgonu Zygm. Augusta...** skreślone przez Świętosława z Borzejowic Orzelskiego. Tom I—IV. Petersburg i Mohilew, 1856. — **Pamiętniki o Samuelu Zborowskim** zebrane przez L(ucjana) S(iemieńskiego)... Poznań, 1844. — **Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa Zborowskich.** Zebrał Żegota Pauli. Lwów, 1846.— Piaseckiego Pawła: **Kronika.** Kraków, 1870. — Broel Plater hr. Wład.: **Zbiór pamiętników do dziejów polskich.** Warszawa 1858. — **Pisma** Stanisława Żółkiewskiego. Wydał August Bielowski. Lwów, 1861. — Niemcewicz J. U.: **Zbiór pamiętników historycznych o dawnej Polsce.** Warsz., 1822.— X. Jan Piotrowski: **Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków.** Wydał A. Czuczyński. Kraków, 1884. — **Pamiętniki Millerowe** do panowania Stefana Batorego. Poznań i Trzemeszno, 1840. — **Źródła do dziejów polskich** wydawane przez M. Grabowskiego, A. Przeździeckiego i M. Malinowskiego. Tom I—II. Wilno, 1844. — **Московскія посольства въ Польшѣ.** Часть I. Издалъ Ѳ. Верж-

бовскій. Варшава, 1903. — Книга посольская метрики Великаго Княжества Литовскаго съ 1573 по 1580 годъ. Издана М. Погодинымъ и Д. Дубенскимъ. Москва, 1843. — М. Кояловичъ: Дневникъ посл. похода Стеф. Баторія на Россію (осада Пскова) и дипломатическая переписка того времени. Петербургъ, 1867. — Christophori Varsevicii: **In obitum Stephani Primi, regis Poloniae oratio.** Cracoviae, MDLXXXVII.

II. Albertrandy: **Panowanie Henr. Walezjusza i Stef. Batorego.** Kraków, 1861. — Jan Szlachtowski: **Dziesięć lat panowania Stef. Batorego.** Kraków, 1850 (praca nieskończona). — Józef Szujski: **Dzieje Polski.** Tom III. Kraków, 1894. — Wincenty Zakrzewski: **Stefan Batory.** Kraków, 1887. — Ten-że: **Stosunki stolicy apost. z Iwanem Groźnym.** Kraków, 1872. — Ten-że: **Po ucieczce Henryka.** Kraków, 1878. — X. Stanisław Załęski: **Stefan Batory.** Kraków, 1886. — Ten-że: **Wojenne plany Batorego w latach 1585—6.** Przegląd Powszechny, 1884. — Adolf Pawiński: **Stefan Batory pod Gdańskiem** (Źródła dziej. Tom III). — Ten-że: **Synod Piotrkowski w r 1577.** (Źródła dziej. Tom IV). — Ten-że: **Stefan Batory jako myśliwiec.** (Źródła dziej. Tom XI). — Dr. Ludwik Boratyński: **Stefan Batory i plan ligi przeciw Turkom.** Rozpr. Wydz. hist. filoz. Tom XLIV. — Tadeusz Korzon: **Dzieje wojen i wojskowości w Polsce.** Tom II. Kraków, 1912. — Wacław Sobieski: **Trybun ludu szlacheckiego.** Warsz., 1905. — Michał Baliński: **Dawna Akademja Wileńska.** Petersburg, 1862. — Wacław Sobieski: **Król a car.** (Studja histor.). Lwów-Warszawa, 1912. — Juljan Sutowicz: **Sprawa Zborowskich na sejmie 1585 r.** Przegląd Polski, 1875. — Oswald Balzer: **Geneza trybunału koronnego.** Warszawa, 1886. — M. J. A. Rychcicki (M. hr. Dzieduszycki): **Piotr Skarga i jego wiek.** Kraków, 1868. — Juljan Bartoszewicz: **Anna Jagiellonka.** Kraków, 1882. — Dr. Ch. Schiemann: **Russland, Polen und Libland bis ins 17 Jahr.** II Band. Berlin, 1887. — Joseph von Hammer: **Geschichte des Osmanischen Reiches.** Tom III. Pest. 1828. — K. Waliszewski: **Ivan le Terrible.** Paris, 1904. — Ѳ. Вержбовскій: Отношенія Россіи и Поль-

ши въ 1574—1578 г. по донес. папскаго нунція В. Лаурео. — Журн. Минист. народ просв. Часть CCXXII, отд. 2. — Сергѣй Соловьевъ: Исторія Россіи. Томъ VI. Москва, 1856. — Александра Трачевскаго: Польское безкоролевье по прекращеніи династіи Ягеллоновъ. Москва, 1869. — Н. М. Карамзинъ: Исторія Государства Россійскаго. Книга III. Петербургъ, 1843.

TREŚĆ.

PORTRETY.